

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LI.

ROK XIII.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Lipca 1888 r.



SOFIZMATA
I ICH PRZYCZYNY.

W rozprawach sejmowych, w wymowie wszelkiego rodzaju, ale szczególniéj sądowéj, w polemice dziennikarskiéj, w sporach naukowych popełniają ludzie mnóstwo błędnych rozumowań już-to z wiedzą i umyślnie dla zmylenia i oszukania przeciwnika, już-to mimowiednie i w dobréj wierze przez niezachowanie prawideł porządnego wnioskowania, lub wyciąganie konkluzyi z niedowiedzionych premis, czyli przesłanek. Jeżeli mówiący lub piszący umyślnie chce obłąkać i otumanić słuchacza, *resp.* czytelnika, rozumowanie jego nazywamy sofistycznem, jego samego sofistą, a cały argument sofizmatem; jeżeli zaś sam on jest w błędzie, nie wiedząc o tém i błąd ten chce innym wpoić, argument jego mianujemy paralogizmem.

Sofizmatów i paralogizmów jest tak wielkie wojsko, że wyliczyć ich nie masz sposobu, albowiem ile form zdania naszego, tyle może być błędów umyślnych lub mimowolnych. Wymykają się téż one porządnéj klasyfikacyi i od czasów Arystotelesa do naszych logicy pracują nad ich uporządkowaniem, traktując bądź osobno, bądź przy wykładzie prawidłowego i zasadnego rozumowania. Nie myślę zatém nudzić czytelnika przepisywaniem z książek rozmaitych łamigłówek i wybiegów sofistycznych, raz dlatego, że je każdy prawie przypomina sobie ze swoich czasów szkolnych; powtóre dlatego, że człowiek sumienny nigdy się nie ucieka do sofizmatów i umyślnego wprowadzania w błąd swoich bliźnich: przeciw sofistom fachowym znowu nie pomogą żadne przestrogi.

Niektóre z sofizmatów są tak wyraźne i pospolite, że dość ile-tyle bacznéj uwagi czytelnika lub słuchacza, ażeby je zdemasko-

wał. Jakoż, gdy ktoś czego innego dowodzi, niż zamierzył; gdy bierze za rzecz dowiedzioną to, czego dopiéro trzeba dowieść; gdy podaje za przyczynę zjawiska lub zdarzenia to, co nie zostaje w żadnym związku z owém zjawiskiem lub zdarzeniem; dość pilnie uważać, a nadewszystko znać istotne przyczyny rzeczy, ażeby się nie dać obłąkać. Bywają sofizmata wyrazowe i myślowe, kiedy wyrazy bierzemy w inném znaczeniu we wniosku, aniżeli w premisach; kiedy przeskakujemy ogniwa pośrednie i t. p. Wszystko to nie jest bardzo ciekawe, chociaż przydać się może, tak jak przydają nam się zszeregowane błędy gramatyczne, ażeby służyły za ostrzeżenie przeciw niepoprawnemu mówieniu i pisaniu. Wszakże wiadomostki te, jak już nadmieniono, łatwe są do znalezienia po elementarnych książkach logiki. Nas tu zajmą takie błędne rozumowania, które na oko wydają się poprawnemi, a jednak do fałszywych prowadzą wniosków. I takich jest wielkie mnóstwo; możnaby o nich osobne dzieła pisać, jak to uczynił Jeremi Bentham; ale w krótkim artykule trzeba poprzestać ledwie na niektórych, częściéj się zdarzających w spółczesném piśmiennictwie.

Do takich zaliczamy: odwoływanie się do powagi osobistéj, do wieku, do przodków, do zdania wielkiéj liczby; zarzuty czynione z powodu należenia do pewnego stronnictwa, sekty lub szkoły naukowéj; nareszcie sofizmata płynące ze zbyt pośpiesznego uogólniania i fałszywych analogii. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Czy powaga może służyć za dowód prawdziwości pewnego twierdzenia? Powołujemy się na powagę cudzego zdania zwykle wtenczas, gdy sami nie możemy dowieść tego, co twierdzimy, lub gdy dowód własny wzmacniamy podobnemi twierdzeniami innych. Wartość czyli ważność cudzego zdania zależną jest od tego, kto je ogłosił. Jeżeli to był człowiek znający fachowo, jak nazywamy, pewien przedmiot, pewną naukę, rzemiosło; wówczas powaga jego zdania może służyć za dowód. Jeżeli w sądzie stawa świadek naoczny, roztropny, sumienny, prawdomówny, świadectwo jego może stanowić dowód. Jeżeli historyk powołuje się na innych, dawniejszych historyków, spółczesnych zdarzeniom opowiadanym, na ludzi stojących blisko głównych działaczów, na pisarzy niełatwowiernych, miłujących prawdę, dostatecznie ukształconych do rozumienia rzeczy—powaga taka może zasługiwać na naszę wiarę. Widzimy z tego, ilu to warunkom powinna zadość czynić powaga, ażeby mogła służyć na dowiedzenie prawdziwości jakiegoś zdarzenia lub zjawiska. Kiedy więc czytamy powoływane bez różnicy zdania rozmaitych ludzi, rozmaitych epok, długie cytaty z Sancho-

niatona, biblii, talmudu, Konfucyusza, prawodawstwa Manu i t. p. zaczynamy przypuszczać, że autor nie mógł dowieść prawdziwości swojego twierdzenia, skoro się powołuje na świadków tak różnéj wartości, i że nas chciał olśnić erudycyą. Już zaś gdy szewc ma świadczyć o wartości machiny, któréj budowy nie zna i funkcyi nie rozumié, lub krawiec o wartości systemu astronomicznego, nie ucząc się nigdy kosmografii; zdanie ich nie może służyć do poparcia twierdzenia, że machina jest dobra lub system astronomiczny zasadny. I szewc i krawiec mogą być ludźmi najuczciwszymi, ale czytelnik, słuchacz prędzéj będą polegali na zdaniu, jak w tym razie, mechanika i astronoma, aniżeli na zdaniu tamtych. Powaga tedy w pewnych razach może służyć za dowód, w innych nie ma żadnéj wartości. Tymczasem słyszymy nieraz odwoływanie się do uczciwości tam, gdzie konieczna jest znajomość fachowa przedmiotu; uczciwość ma swoję powagę, ale nie wynagrodzi nieuctwa: ztąd sofizmat, że przecież ludzie tak zacni omylić się nie mogli.

Ale nawet fachowa powaga nie zawsze strzeże od błędu; przeciwnie, dlatego, że fachowa może uwieczniać błędy. Z dziejów astronomii wiadomo, jak powaga Ptolemeusza długi czas przeszkadzała przyjęciu systematu Kopernika; a znów historya medycyny uczy nas, jak powaga Arystotelesa i starożytnych lekarzy tamowała przyjęcie odkryć Harvey'a na polu fizyologii, i co ważniejsza pośród samych lekarzy, a więc ludzi fachowych. Powiadają, że Harvey po ogłoszeniu swoich odkryć dotyczących krążenia krwi, budowy serca, stracił zupełnie praktykę lekarską. Nie trzeba sądzić, że w XVII w. tylko było to możliwe, i że dzisiaj byłoby niemożliwe. Dzisiaj, równie jak niegdyś, ludzie wolą wierzyć na słowo, niż sądzić i badać własnemi zmysłami. I teraz słyszymy i czytamy, jako dowody, takie odwoływania się do powagi: tak a tak powiedział Tacyt, tak znów Szekspir albo W. Hugo. Czasami jest-to tylko okrasa retoryczna, ale częściéj służy za dowód, chociaż jest tylko sofizmatem lenistwa. Sami nie chcemy, albo nie umiemy myśléć, czynić poszukiwań, doświadczeń; praca to mozolna, często bezskuteczna; daleko wygodniéj powołać się na innych. Proszę pomyśléć, ile się w naszéj historyi politycznéj oraz w dziejach literatury powtarza przez dziesiątki lat i wieki najfałszywszych twierdzeń i poglądów o zdarzeniach, ludziach, instytucyach, dzięki jedynie powadze Długosza, M. Wiszniewskiego, lub nawet mniéj zasłużonych autorów!

Do téj saméj grupy sofizmatów należy argument brany ze czci dla umarłych; nazywają go rozumowaniem chińskiém: przodkowie tak postanowili. Cześć dla umarłych i strach przed nieboszczyka-

mi dały początek długiemu szeregowi praktyk zabobonnych, z których nieprędko a może nigdy się ludzie nie otrząsną. Życie ich, mądrość nadzwyczajna, pokrewieństwo z bogami, wszystko to czyni ustawy ich nietykalnemi. Ludzie czasów odległych, zwani starymi lub starożytnymi, olbrzymieją w wyobraźni późniejszych liliputów. Można się do syta nasłuchać i naczytać o ich mądrości, która się zamieniła w przysłowia, o ich cnotach niedoścignionych przez teraźniejszych karłów, o doświadczeniu życiowém, któremu nasze nigdy nie sprosta. Gdy teraźniejsze pokolenie dokona jakiegoś wynalazku, ulepszenia, wnet wielbiciele starożytności wertują dawnych autorów i już w owych zamierzchłych wiekach znajdują ten wynalazek, dodając sceptycznie: Nic nowego pod słońcem, wiedział o tém Salomon.

Na takie wychwalanie doświadczenia i mądrości starożytnych nieboszczyków słusznie już podobno Bakon odpowiedział, że właściwie starożytnymi nie byli Egipcyanie i Grecy, ale my obecnie żyjący; my to jesteśmy od nich starsi i doświadczeńsi. Indywidualnie biorąc, rzadko syn od ojca jest doświadczeńszy; ale zbiorowo każde pokolenie następne musi być doświadczeńsze od poprzedniego. A chociaż w jedném lub drugiém społeczeństwie może się zdarzyć, skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, jakby cofanie się nauki, sztuki, bogactwa, uobyczajenia do dawno minionego barbarzyństwa; nie można jednak tego utrzymywać o narodach żyjących w szczęśliwszych warunkach.

Biorąc na ogół, można wieloma przykładami z rozmaitych sfer życia rodzinnego, ekonomicznego i politycznego wykazać, iż czasy i ludzie, stosunki ich i obyczaje naszych czasów są, w porównaniu z dawnemi, o wiele znośniejsze, moralnie i materyalnie lepsze. Powoływanie się zatém na umarłych, krępowanie ich wolą i urządzeniami woli i urządzeń, jakie następnym pokoleniom okażą się zbawienne, jest rozumowaniem sofistyczném. To co odpowiadało potrzebom i wyobrażeniom tamtych, może już nie odpowiadać naszym. Społeczność ludzka rozrasta się, rozwija; mnożą się i wikłają stosunki, zjawiają się potrzeby, zgoła natura człowieka uważana za niezmienną, także ulega powolnym modyfikacyom. Starzy więc nie mogli ani się za nas najeść, ani za nas myśléć. Niejedno z ich doświadczeń, niejedna z prawd przez nich zdobytych ostały się i mają dla nas takąż jak i dla nich wartość; uznajemy ich pożytek i prawdziwość; ale daleko więcéj poszło do lamusa zabobonów i przesądów. Wszystko to oczywiście nie usprawiedliwia lekkomyślnego targania za brodę siwéj starożytności; ma nas jedynie strzedz od chińskiego rozumowania i ślepego uwielbienia prze-

szłości, jéj doświadczeń, wyższego jakoby rozumu i cnót niezrównanych.

Kiedyindziéj powołują się ludzie w sądach swoich na zdanie ogółu, wielkiéj liczby, lub co się temuż równa, na opinią powszechną. Cała Warszawa mówi tylko o cudownym doktorze Gagatkiewiczu. Jest-to sofizmat. Najprzód cała Warszawa liczy przeszło 400 tysięcy mieszkańców, z których mnóstwo nie wié, co lewa a co prawa ręka; powtóre, ci którzy u Gagatkiewicza szukali porady, gdy się dowiedzieli, że cudowny doktór dopiero wtenczas wziął się do medycyny gdy mu szewstwo nie dopisywało, przestali się leczyć i o nim mówić. Potrzecie, gdy zaczęto rozgłaszać, że jakiś niedokończony aptekarczyk fabrykuje szewcowi lekarstwa i obaj dobrze na tém wychodzą, powstało oburzenie przeciw oszustowi... i wprawdzie nie cała Warszawa ale mnóstwo ludu oburzającego się głośno na wyzysk, pocichu zazdrościło cudownemu doktorowi sutych honoraryów. Czy wszystko tak było, jak tu opowiedziano, nie sprawdzałem; stronnicy cudotwórczego doktora utrzymywali wtenczas (przed 25 laty), że to zazdrość patentowanych doktorów zmyśliła te kalumnie: to wszakże pewna, że nie cała Warszawa zajmowała się szewcem-lekarzem. Albo, innym razem przybył hecarz z małpami, impresario z aktorką, cyrk z końmi; odbył się pogrzeb znanego aktora: i znów całe miasto zajmuje się tylko aktorką, hecarzem, cyrkiem i pogrzebem. Hiperboliczne uniesienia reporterów dziennikarskich brane są za opinią powszechną; wydymane głupstwem lub zazdrością sprawozdania za sąd ogółu. Zdawałoby się, że ze słownika znikły wyrazy: niektórzy, pewna część, wielu a zastąpiły je: cały, wszystek. Powie ktoś: to tylko nie ścisłość wyrażenia. Prawda; ale jakże niedorzeczne powstają z niéj wnioski. Aktorom, literatom, linoskokom roi się w głowie, że są gwiazdami pierwszéj wielkości, skoro o nich mówi cała Warszawa.

Wielkie liczby nie są bez znaczenia, gdy na nich porządna statystyka wyniki swoje opiera; uciekamy się do nich, gdy chodzi o poznanie woli ogółu w pewnych sprawach praktycznych; ale jeżeli niemi chcą się zasłaniać poszukujący prawdy teoretycznéj lub kryteryum w dziełach estetycznych, w ocenianiu etycznéj strony czynów ludzkich, wnioski opierane na liczbie, na tłumie nie mają żadnéj lub bardzo małą wartość.

Najczęściéj może w rozprawach czy to sejmowych, czy dziennikarskich spotykamy sofizmata ułożone w formie zarzutów, że ten, kto należy do tego lub owego stronnictwa, do takiéj lub innéj sekty, szkoły naukowéj, nie zasługuje na naszą odpowiedź, albowiem i moralnie i umysłowo niżéj stoi od swoich przeciwników. Wyra-

żano to niegdyś zdaniami: *noscitur ex sociis*, albo *noscitur ex cognominibus*, a po naszemu: powiedz mi z kim przestajesz, a ja ci powiem kim jesteś.

Wiadomo, że pewne nazwy czyli raczéj przezwiska, nie zawierające w sobie z początku nic ubliżającego dla osób, do których je stosowano; z czasem, gdy się rozwinęło bujniéj życie polityczne i naukowe, nabrały krzywdzącego charakteru, lub przynajmniéj taki charakter przywiązują do nich ci, którzy przeciwników swoich chcieliby pokonać, zdruzgotać. Zamiast naukowo ich zbijać, przekonywać o szkodliwości pewnych projektów, o fałszywości pewnych teoryi, przeciwnicy zwykle wzruszają ramionami i jednym wyrazem chcą dać poznać, że projekt, teorya, człowiek, będący ich autorem, nic nie są warci, że to co taki autor głosi musi być fałszem.

Jakoż, nic pospolitszego nad przezwiska: konserwatysta, radykalista, ultramontanin, materyalista, pozytywista, spirytualista, metafizyk. Dość zastosować do przeciwnika jedno z tych przezwisk, ażeby u swoich, u jednomyślnych, wygrać sprawę i przekonać ich, że hipoteza, teorya przeciwne naszym są całkowicie fałszywe, a człowiek, który je wyznaje, nie wart nam piasku podawać. Niech tylko czytelnik przypomni sobie polemiki dziennikarskie z ostatnich lat, lub rozmowy prowadzone w kołach prywatnych. Ile to wymysłów, nie argumentów musieli słuchać i dotychczas słuchają np. arystokraci i demokraci, Darwiniści i pozytywiści, konserwatyści i liberalni. Gdy krzykną: radykał, żydofil, feudał, chłopoman, ultras, sprawa przegrana. Zaciekłość stronnicza nie przebiera w przezwiskach; gdy te nie skutkują, zachwala argumenta kijowe; na wykonawcach rady nie zbywa. Pomijając etyczną stronę tych argumentów dębowych, używający przezwisk zapominają, że drażnienie a dowodzenie są dwie rzeczy różne, że przyczepienie do imienia przeciwnika jakiéjś pogardliwéj nazwy jeszcze nie rozstrzyga sporu. Przyczepienie etykiety do flaszki lekarstwa informuje nas ściśle o jego naturze; ale przyczepianie do ludzi nam nienawistnych tak nieokreślonych przezwisk, dla podkopania ich dobréj sławy, talentu lub nauki, grzeszy lekkomyślnością i jest sofizmatem.

Błędne są również wnioski płynące ze zbyt pośpiesznego u o g ó l n i a n i a. Przejechał ktoś błyskawicznym pociągiem przez Francyą; spotkał się w wagonie z gadatliwym i chwaliburą Francuzem; powróciwszy do domu, opowiadajacy ci Francuzi próżni i lekkomyślni. Rozpacz dzisiejszych dziennikarzy nad zepsuciem obyczajów francuskich dlatego, że zięć prezydenta Rzeczypospolitéj handlował orderami; chwalenie uczciwości Niemców dlatego, że *Stubenmaedchen* zwróciła podróżnemu zapomnianą sakiewkę; potępia-

nie całych warstw społecznych, instytucyi dlatego, że wielu a może tylko mniejszość, do tych warstw, stanów i instytucyi należąca, godna jest w istocie nagany, słowem uogólnianie zbyt pośpieszne dodatnich lub ujemnych stron narodów, klas społecznych, wyciąganie ztąd ogólnéj konkluzyi jako prawa powszechnego jest sofizmatem. Jeżeli w głoszeniu takich wniosków z powierzchownéj obserwacyi nie zachowamy pewnéj ostrożności, pewnych zastrzeżeń na rzecz jednostek, do których owe wnioski w żaden sposób nie przystają, popełniamy sofizmat i niesprawiedliwość.

Ale oto jeszcze jeden zdradliwy wniosek wyprowadzany z analogii. Zdawien-dawna upatrywano podobieństwo między życiem człowieka a czterema porami roku; między organizmem indywidualnym a społecznością ludzką; między ziemią a innemi planetami. Z podobieństw tych wnioskowano, że każdy człowiek musi miéć swoję wiosnę i lato, że czém są w organizmie komórki, tém w społeczeństwie ludzie, że arterye i żyły to drogi lądowe i wodne, że jak jednostkowy organizm rodzi się i umiera tak samo narody i państwa; że jak ziemia ma mieszkańców tak i inne planety mają prawdopodobnie ludzi. Otóż wszystkie te rozumowania i wnioski oparte na podobieństwie są albo metaforami, albo indukcyami bardzo niedokładnemi. Jako figury krasomówcze, jako ilustracye myśli piszącego porównania takie mogą być tolerowane—ale jako dowody niczego nie dowodzą. Jeżeli z sobą porównywamy dwóch ludzi, dwie rzeczy, dwa zjawiska, muszą się oni z sobą zgadzać jeżeli nie we wszystkich punktach, to przynajmniéj w istotnych, ażeby wniosek przystający ściśle do jednéj rzeczy mógł być zastosowany do drugiéj. Tymczasem podobieństwo zachodzące np. między komórką pewnego organizmu a człowiekiem jako jednostką społeczną chroma w najistotniejszych punktach. Gdy używający takiego porównania zapomina, że mówi figurycznie i po długich stronnicach zapewnia nas, iż dowiódł tożsamości organizmu jednostkowego ze zbiorowym, popełnia sofizmat, bo właściwie niczego nie dowiódł, tylko zabawił naszę wyobraźnią mniéj lub więcéj udatnym obrazem.

Wiemy wprawdzie, że z wyjątkiem matematyki i tych nauk, do których ona może być zastosowana, o pełnéj prawdzie i doskonałéj ścisłości wyrażenia nie może być mowy; że zatém skazani jesteśmy tylko na wnioski mniéj lub więcéj prawdopodobne. Niemniéj jednakże i w tych naukach, do których liczba, waga i eksperymentacya nie mogą być zastosowane, pilniejsze przestrzeganie logiki, głębsze wniknienie w sporną kwestyą, liczenie się ze swojém zdaniem ustrzegłyby nas od wielu sofizmatów, które codziennie powtarzamy, lub podane przez innych, połykamy.

Nie obiecując sobie, ażeby ta homilia kogokolwiek zachęciła do ważenia zdań swoich i cudzych, poszukajmy przyczyn i źródeł, z których płyną sofizmata.

Pierwszą i najłatwiejszą do usunięcia przyczyną sofizmatów jest nieznajomość prawideł porządnego wnioskowania. Zaradzić temu może książka. Jeżeli rozumujący postępuje w dobréj wierze a nie wié, co znaczy *ignoratio elenchi*, *petitio principii*, *non causa pro causa*, dość, ażeby zajrzał do logiki. Nie jest to przedmiot ani tak trudny do zrozumienia, ani tak suchy, by mógł odstręczyć chcącego myśléć i pisać zasadnie.

Daleko obfitszém źródłem sofizmatów jest nasza łatwowierność, przyjmowanie za prawdziwe zdań ogólnych niesprawdzonych i wnioskowanie z nich konsekwentne wprawdzie, ale pomimo téj konsekwencyi prowadzące do mylnych wyników. Już dawno zauważono, że błędy siedzą w ogólnikach. Otóż umysł nasz przez lenistwo woli wierzyć, niż się mozolić nad sprawdzaniem uogólnień pośpiesznych, wygłaszanych *à priori* z niezamąconą pewnością siebie, w formie aksyomatów. Zdaje się ludziom, a to nietylko prostakom lecz i uczonym, że są obdarzeni intuicyą i odrazu, bez żadnego dowodu mogą w swojéj cząstkowéj i ograniczonéj obserwacyi streścić doświadczenie całego rodu ludzkiego. Przyjmują więc ogólniki, po przodkach odziedziczone lub przez żyjących utworzone, za pewniki niezbite. Do téj kategoryi należą wszystkie przesądy: będzie nieszczęście, albowiem przy stole siedzi nieparzysta liczba osób; zbłądził w drodze, gdyż pojechał w dzień feralny itp. Są-to bardzo pospolite przesądy, o których nie potrzeba długo rozprawiać; niemniéj jednak pewném jest, że wpływają one na czynności mnóstwa ludzi, najprzód przez zamącenie rozumu, a następnie skutkiem tego na błędne postępowanie.

Takie grube i pospolite przesądy nie są właściwe tylko bezmyślnym tłumom w życiu codziennėm; gnieżdżą się one i w nauce chociaż w formie subtelniejszéj. Cóż bowiem pospolitszego nad przesąd, że myślom naszym muszą odpowiadać rzeczy i zjawiska świata zewnętrznego, że każdy wyraz jest nazwą rzeczy lub realnego stosunku zachodzącego między niemi, słowem, że istnieje doskonały paralelizm między światem podmiotowym a przedmiotowym. Całe systemata filozofii wysnuwano z tego niesprawdzonego niby-pewnika: o czém myślę, to musi istniéć, w przeciwnym bowiem razie nie mógłby ten przedmiot powstać w mojéj głowie. Muszą istniéć: sprawiedliwość, piękno, dobro, idee i archetypy same w sobie, gdyż o nich mogę myśléć. Uznając za dowiedzione, że byt obiektywny i myśl są identyczne, że prawa obojga są te same; oby-

wano się bez kontroli świata zewnętrznego; wygodniéj bowiem jest siedziéć w pokoju i z pustéj głowy snuć prawa dla historyi i przyrody, niż sprawdzania ich szukać w przyrodzie i dziejach ludzkich.

Przyrodzoną nazywamy tę skłonność umysłu naszego do wierzenia w pierwszą lepszą wiadomość; jest-to słabość, z któréj nas leczy doświadczenie. Gdyśmy się raz sparzyli na takiéj wiadomości, rodzi się powątpiewanie, nazywane początkiem mądrości; zaczynamy przypuszczać, że i inne wiadomości mogą być nieprawdziwe; powątpiewaniu zaś kładzie kres doświadczenie własne lub wiarogodne cudze. Chcąc zatém uniknąć błędnego wnioskowania, należałoby wszelkie niedowiedzione zdania, uogólnienia, opinie sprawdzać. Zajęłoby to nadzwyczaj wiele czasu i pracy, mniéj byśmy byli bogaci w książki, mniéj czytali bezcelowych sporów, ale za to suma naszych wiadomości byłaby więcéj wartą, zmniejszona ilość ich byłaby nagrodzona jakością. Ale jak tu sprawdzać, gdy drukarz staje i woła o pośpiech? Tym pośpiechem tłómaczą się dziennikarze; inni są radzi, że jutro będą mogli odwoływać wczorajsze nowiny, a potém znów to samo, i tak bez odpoczynku. Więc cóż? O wszystkiém wątpić, nikomu nie wierzyć, ażeby się ustrzedz sofizmatów? Nie wszystkiemu literalnie, ale bardzo mało czemu i tym mniéj im ludzie są ciemniejsi i lekkomyślniejsi.

Albo weźmy interes w znaczeniu korzyści lub szkód, jakich działacz, mówca, autor oczekują z pewnego projektu lub reformy, i przyglądajmy się walce stron interesowanych. Chodzi, dajmy na to, o dwa systematy osuszania mieszkań, albo o ściągnięcie kundmanów do jednego z dwóch konkurujących zakładów pogrzebowych. Interesowani poruszają niebo i ziemię, cytują Pismo św. i kodeks, puszczają insynuacye, apelują do swojéj uczciwości, ażeby tylko spółzawodnika złamać. O sofizmatach nie myślą, a może ich nazwy nie słyszeli; niemniéj jednak nietylko rozumują sofistycznie, ale gotowi są do czynów, nie zupełnie zgodnych z kodeksem. Interes jest niesłychanie wymownym, a z rozmaitych interesów, materyalny najwymowniejszy i najbardziéj sofistyczny. Bez dobrego imienia ludzie mogą trawić, ale bez trawienia żyć nie mogą i to nam objaśnia zaciętość walki chlebowéj. Pod tym względem świat ludzki nie jest lepszy od zwierzęcego. Proszę posłuchać, co mówią literaci o literatach, prawnicy o prawnikach, doktorzy o doktorach, rzemieślnicy o rzemieślnikach. Każdy spółzawodnik jest nieukiem, szarlatanem, kauzyperdą, partaczem.

Któż zresztą nie pamięta rozumowania plantatorów amerykańskich, gdy chodziło o wyzwolenie czarnych niewolników? Dzisiaj jeszcze potomkowie królików bawełnianych domagają się osobnych

wagonów dła czarnych spółobywateli, gdyż podobno zbytecznie śmierdzą, chociaż praca ich nie śmierdziała. Jak wymowną była szlachta, gdy chłopów miano uwłaszczyć! Lordowie angielscy grozili swojéj ojczyźnie najazdem papizmu, gdy się gotowała emancypacya katolików; pruskie junkry widzą ruinę swojego rolnictwa, jeżeli cło na zboże nasze nie będzie podwyższone: słowem interes siedzący w worku, widzi w zagrożonym wyzysku jedyne kryteryum swoich argumentów: jeżeli tego worka dotkniecie, świat się zawali.

Zpośród pobudek działających na kierunek postępowania ludzkiego, interes może być nazwany najdzielniejszą i najpowszechniejszą; on téż najbardziéj wykrzywia nasze poglądy. Wpływ jego bywa tym silniejszy, im człowiek mniéj sobie zdaje sprawę ze swojego postępowania, im on głębiéj siedzi w nim samym. Częstokroć mimo wiedzy, instynktownie bronimy lub potępiamy ludzi, zasady, urządzenia niby w imię najświętszych celów, a w gruncie mówi przez nas interes. Nieświadomi pytają: na co i po co, *cui bono*? Po bliższém wejrzeniu w sprawę przekonywają się, że chodziło o utrzymanie jakiegoś przesądu, o stanowisko jakiéjś klasy społecznéj, do któréj należymy: słowem, frazeologia ogołocona z retorycznych kwiatków pokazuje nam interes, spodziewaną korzyść, przewidywaną szkodę, których heroldem stał się sofizmat.

Mniéj już aniżeli interes, ale zawsze dość często źródłem sofizmatów bywają n a m i ę t n o ś c i: gniew, zazdrość, pogarda, nienawiść. Słuchajmy mówiących, czytajmy polemizujących z sobą. Przeciwnik zwykle nazywa się płazem, nieukiem, zacofańcem niezasługującym na to, by się z nim rozprawiano. Gdy polemizujący stanie na téj niedościgłéj wysokości, argumenta uważa za rzecz niepotrzebną; wystarcza mu pogardliwy frazes lub wyraz i sprawa skończona. Ironia, sarkazm, w potrzebie nawet karczemny epitet wystawiają przeciwnika w błazeńskiéj czapce ku uciesze buńczucznego tryumfatora. Słuchacze i czytelnicy zdumiewają się nad tą studnią uczoności; nie ważą słów, nie badają rzeczy, tylko z zadowoleniem mówią, do siebie: a to go w kozi róg zapędził.

Apelowanie do uczuć i namiętności jest pospolitym wybiegiem retoryki wszelkiego rodzaju. Trzeba słuchacza rozczulić, przestraszyć, oburzyć; trzeba mu wykazać do jak zgubnych następstw prowadzi pewna hipoteza, ażeby z owocu sądził o drzewie. Plagi i klęski publiczne przypisywali autorowie pogańscy religii chrześciańskiéj: bogowie się na was zagniewali. Jakiś zwolennik teoryi ewolucyjnéj fałszował pieniądze i poszedł do kryminału. Patrzcie, woła moralista, do czego prowadzi Darwinizm. Efekt został sprawiony: chrześcianie na pal, Darwiniści do obory.

Nienawiść przeniesiona do stosunków międzynarodowych, religijnych i wyznaniowych daje początek niezliczonym sofizmatom zabarwianym przez źle rozumiany patryotyzm. Francuzi malują Prusaków tak czarno, że nawet zęby niemieckie czarno wyglądają; Prusacy nie pozostają dłużni i widzą we Francuzach wcielenie wszystkich występków z dodatkiem głupoty. Czytającego dzieła religijne, zwłaszcza historyczne, dziwić musi wiekowa nienawiść wyznań. Protestanci do dziśdnia powtarzają legendy zaprawione satyrą a skierowane przeciw katolicyzmowi. Nienawiść-to nie pozwala nam widzieć w przeciwnikach, jakiegokolwiek rodzaju stron jasnych, dodatnich; widzimy tylko ciemne i ujemne. Nic potworniejszego nad to uwiecznianie pogardliwych i nienawistnych sądów, jakie przedstawiciele narodów, sekt, klas społecznych wzajem o sobie wygłaszają! Każdy Żyd, to szachraj; każdy Niemiec, to serwilista; każdy Francuz, to letkiewicz; każdy Polak, to próżniak i utracyusz. Są-to nietylko pośpieszne uogólnienia, lecz nadto sądy zabarwione nienawiścią lub pogardą. Samochwalstwo narodowe, wyznaniowe, klasowe składają się z samych sofizmatów; nienawiść jest potężnym motorem spraw ludzkich, ale budowy jéj nietrwałe, jak wszystko na fałszu oparte.

Nakoniec do przyczyn sofizmatów zaliczamy fanatyzm zarówno czerwony jak i biały, oraz ducha sprzeczności czyli opozycyi *quand même*. Powiadają, że tylko fanatycy wprawiają w ruch bezwładną i bezmyślną masę ludzką; że trzeba fanatycznie ukochać pewną myśl i fanatycznie ją przeprowadzać w czyn, ażeby cośkolwiek znaczyć i jakikolwiek rezultat w życiu osiągnąć. Prawdopodobnie ci, co tak mówią, mają na myśli zapał, umiłowanie przedmiotu, mocną i wytrwałą wolę, lecz nie fanatyzm, który słusznie nazywamy ślepym. To bowiem, co fanatyzm w dziejach ludzkich zrobił, stanowi najczarniejszą ich stronnicę, a dowody i rozumowania, któremi dzieł swoich bronił, należą do najwstrętniejszych sofizmatów. Dość tu przypomnieć fanatyzm wojen religijnych wszystkich czasów i fanatyzm polityczny nie obcy naszym: apologie obu roją się sofizmatami.

Inną barwę mają sofizmata płynące z ducha przekory, z opozycyi dla opozycyi. Zdarza się w zebraniach publicznych i prywatnych, że sprawa będąca w dyskusyi została wyczerpana; przytoczono dowody za i przeciw, zgodzono się na takie lub inne postanowienie. Nagle występuje opozycyonista, chcący uchodzić za mędrszego od wszystkich i swojém uniwersalném nie pozwalam paraliżuje postanowienie. Czelność i bezczelność, dyalektyczne łamańce, język cięty i wyprawny mieszają szyki, zgromadzenie się

rozchodzi bez rezultatu, a jeżeli się nie rozchodzi, krytyk nad krytykami, chcąc zachować urok swojéj bystrości, konkluduje: cokolwiekbyście uradzili, ja jednak pozostaję przy swojém.

Jaki jest cel sofizmatów? bo przecież chyba nie dla zabawy je ludzie wymyślili. Był jakiś Anglik, nazwiskiem Gerard Hamilton, poseł do izby niższéj, który tylko jednę mowę podczas swojego mandatu wygłosił i ztąd zwany *single-speech*. Otóż, chociaż sam mało mówił, wydał jednakże do użytku kolegów na początku bieżącego wieku „Logikę parlamentarną.“ Zadaniem autora było nauczyć mówiących posługiwania się sofizmatami, ażeby czarne uczynić białém, a krzywe prostém. Sofizmata zatém nie są bez celu obmyślone i używane.

K.





ZE SPUŚCIZNY PO GABRYELI.

Usposobienia namiętne i wybuchowe łatwo się zapalają i skłonne są do czynów bohaterskich, do poświęceń nadzwyczajnych, do pracy przechodzącéj niemal ich siły; ale téż łatwo ulegają smutkowi, rozczarowaniu, zobojętnieniu, gdy im jedna lub druga sprawa się nie powiedzie, gdy doznają zawodu na téj lub owéj osobie, gdy doświadczą niedostateczności swego przygotowania lub swéj potęgi. Jeśli zaś usposobienia takie łączą się z rozumem bystrym i przenikliwym, a pochopnym do uogólnień; to doznawszy bankructwa swych nadziei, wytwarzają sobie systemat, usprawiedliwiający je w ich sumieniu przynajmniéj od podejmowania zagadnień powszechnéj doniosłości, od przedsiębrania czegoś, co poza sferę pojedyńczych, drobnych usiłowań wychodzi. Po części czują, po części wmawiają trochę w siebie niezdolność do dzieł wielkich, ścieśniają jak najwęziéj pole swojéj twórczości, z goryczą przypominając sobie dawniejsze wysokie poloty. Jest w takiém zachowaniu się natur płomiennych i rozumne zastosowanie sił do zamiarów i samozachowawcza chęć oddziaływania przeciwko prądowi, który je poprzednio unosił, i trwożliwa obawa, czy i w tak dobrowolnie ograniczonéj dziedzinie potrafią jakieś przedsięwzięcia przywieść do skutku.

Jedną z takich natur była niewątpliwie Gabryela.

W dzieciństwie już burzyły się w niéj uczucia, wychodzące po za kres zwykłych w tym wieku objawów i prowadzące do postanowień hazardowych a w źródle swém szlachetnych, bo nie-samolubnych: hartowanie się na wzór Spartanek, pragnienie dzielenia czynów rycerskich, chęć poświęcenia się dla ogółu.

W pierwszéj młodości jakże łatwo i jak szybko przechodziła od uczucia najwyższéj błogości i uszczęśliwienia do przepaścistego smutku i rozpaczy, lubującéj się nie tylko w rozmyślaniu o śmier-

ci, ale nawet w gotowaniu jéj sobie za pośrednictwem szkła tłuczonego...

Gdy fale jéj uczuć i myśli przyszły do pewnéj równowagi; gdy ustaliły się przekonania pod wpływem brata Erazma, zapalonego demokraty; gdy znalazła cel życia w głoszeniu i urzeczywistnianiu zasady miłości, braterstwa, równości; gdy najwyższe i najogólniejsze idee przejmowały jéj duszę: wówczas tworzyła najpiękniejsze swe dzieła, wówczas świeciła przykładem poświęcenia zarówno w szczuplejszym zakresie wywalczenia dla kobiet odpowiedniejszego stanowiska w społeczeństwie jak i w rozleglejszym—zabieganiu o szczęście dla kraju.

Wtém przyszły niepowodzenia, zawody, rozczarowania, naprzód w 1849, a następnie jeszcze większe w kilkanaście lat późniéj. Serce Gabryeli zapłynęło goryczą, która wylewała się z początku satyrą i sarkazmem, ale potém spowodowała osłabienie energii, poczucie bezsilności, świadomość wreszcie bankructwa moralnego. Hasła niegdyś niebiańsko dźwięczące w jéj uchu, teraz rozlegały się w niém zgrzytem.

Przekonawszy się, że najwznioślejsze heroizmy nie zastąpią armat i karabinów, najgorętsze modlitwy nie zmienią nieprzepartéj siły wypadków, najszlachetniejsze uniesienia nie wystarczą za rozum, naukę, ład i karność, „jeśli się ziarnem ciągłéj pracy nie rozsieją“, jeśli widomym owocem nie zaświadczą swéj potęgi: straciła „wszelką na piękności, czułości i inne tym podobne wyrazy wrażliwość“, zaczęła „z wielkiém poszanowaniem li tylko prawdy dowiedzione uznawać“ i wzięła się do bliższego z naukami ścisłemi zaznajomienia. „Od arytmetyki szkolnéj do astronomii, od najprostszych wykładów zoologii, chemii, fizyki do dzieł specyalnie różnym gałęziom medycyny, antropologii lub kosmologii poświęconych“, przez trzy lata bez przerwy wszystko to studyowała, ażeby choć tylko „wiedzieć“ o wszystkiém, wiedzieć „same tylko d o w i e d z i o n e rzeczy“, wiedzieć to, „co ludzie wiedzą z p e w n o ś c i ą“. Z czytania tego nauczyła się „o niedowiedzionych prawdach nie rozumować a w dowiedzione kłamstwa nie wierzyć“ (1).

W takiém trzeźwém usposobieniu umysłu nie mogła już oczywiście Gabryela pogodzić się z najwznioślejszym nawet romantyzmem, któremu sama przedtém hołdowała. „Największém niebezpieczeństwem dla kraju—pisała wówczas do młodéj przyjaciółki—są wszyscy kochankowie ojczyzny. Ojczyzna jest p o t r z e b ą człowieka; zdaje mi się, że stokroć lepiéj wyjdziemy na tém, gdy oj-

---

(1) List z 27 marca 1870, pisany w Dębowéj Górze.

czyznę pod tym skromniejszym względem uważać zaczniemy; tylko chlebem, powietrzem, napojem, domem, bezpieczeństwem, oświatą, miejscem pracy, możliwością nagrody, prawem, sprawiedliwością, siłą, dobrobytem, godnością naszą wśród obcych — tylko tém niech będzie ojczyzna. Kłaniam uniżenie wszelkim Beatryczom i pięknym paniom, które wśród mgły przedświtu lub po rosie wieczornéj snują się nad przepaściami, a ciągle w studenckie uszy poszeptują, wołając: Cezara! Cezara! Strułam się ich romansami — trzy razy mogłabym się odrodzić, a jeszcze nie przyszłabym do zdrowia“ (1).

To był protest ogólny przeciw hasłom doby romantycznéj w oświetleniu Krasińskiego; a wynikiem naturalnym było téż osobiste zachowanie się względem projektów choć trochę ogólniejszéj natury. Przejęła się nieufnością do ludzi; sądziła, że ją otacza sama niechęć w różnych stopniach „od obojętności, która uciec rada, do wstrętu, który rad dokuczyć“, że nieprzyjaźni jéj czyhają tylko, by ją schwytać na jakim błędzie, by ją upokorzyć. Gdy przyjaciółka podsuwała jéj myśl założenia ogródka froeblowskiego, Gabryela, lękając się rozczarowania w razie niepowodzenia, odpisuje: „nie mam już własnéj duszy do przegrania, lecz gotowabym przegrać dusze ukochanych moich“, a wyjaśniając ten wstręt do przedsięwzięć szerszych, dodaje: „chcesz mówić o zarobku, o fakciku, o pojedyńczym człowieku, ograniczoném godzinami zdarzeniu, ha, to służę — kiedy trwam, muszę funkcyonować — lecz nie mów i nie myśl daléj, szerzéj, wyżéj, a zresztą myśl, jeśli chcesz, — nie wystawiaj się na szwank próby“ (2).

A jak było z innemi przedsięwzięciami, tak téż i z autorskiemi. Zachęcana, przynaglana przez znajomych, ażeby pisała, odpowiadała zazwyczaj, że nie ma „z czego“ pisać, bo jest bardzo mało wrażliwa na przedmioty zewnętrzne, bo ma tępe zmysły wzroku, słuchu, dotyku, że odczuwa tylko ból a jest „opieszała i niezdarna“ do pochwycenia przyjemności w jéj delikatnych, „lecz tém samém najwdzięczniejszych odcieniach.“ Zapewniała ironicznie, że zazdrości troszeczkę innym autorom i autorkom, iż nie może jak oni pisać „z dykcyonarza“. Osoby te — powiada — „mają taką łatwość i wprawę, że choćby na los szczęścia wyciągnęły jakiebądź wyrazy, wnet z nich układają wcale gładkie okresy, tak podobne czasem do zdań pomyślanych, że rozpoznać trudno.“ Usiłowała wprawdzie przezwyciężyć się i zabierała się do tworzenia, lecz zazwyczaj po

(1) List z 1-go czerwca 1866, pisany w Pszczonowie.
(2) List z 24 kwietnia 1868, pisany w Dębowéj Górze.

napisaniu kilku lub kilkunastu arkuszy porzucała robotę, ażeby już do niéj nigdy nie powrócić. W samém nawet pisaniu nerwowa jéj natura bardzo zmienną się okazywała. „Przychodzą na mnie — pisała raz — chwile jakiéjś zadziwiającéj łatwości; wydziwić się nie mogę wtedy, jak to było podobném, abym ja pierwéj trudność jaką czuła, tak mi się prędko myśli z wyrazami jedne po drugich rodzą, że tylko o to się lękam, czy nie zbyt pospolite i oklepane, bo mi się zdaje, że je poprostu między najpowszedniejszemi rupieciami znajduję, że to przede mną na stoliku leży. Najczęściéj w takich chwilach coś bardzo zwyczajnego na przeszkodzie staje: obiad, herbata, goście, inne obowiązkowe zajęcie; więc odchodzę spokojna. Drugiego dnia chcę skończyć—wszystko przepadło; zapomniałam, a jeśli pamiętam, to mi się niekształtnie układa, plącze, psuje, krzywi— ostatecznie ginie zupełnie.“ Stąd w papierach Gabryeli znalazło się sporo rozpoczętych zaledwie opowiadań, rozprawek, szkiców do przyszłych utworów, które radziła innym wykonać, wreszcie zdań pojedyńczych, uwag, spostrzeżeń; ale żadnéj niema całości— gdyż autorce brakło tego potężnego pędu idei, co w dobie jéj lat twórczych do pisania ją zmuszał, czyli, jak ona sama się wyrażała, brakło jéj wesołości, „bo pisać mogła wtedy jedynie, kiedy była wesoła.“

Okruchy te ze spuścizny literackiéj po Gabryeli oddane mi zostały do rozporządzenia. Drukować ich niepodobna, chyba kiedyś w nowém zbiorowém wydaniu jéj pism, ale wiedzieć o nich warto; niektóre bowiem rzucają jaśniejsze światło na znane skądinąd cechy jéj twórczości lub życia, inne posłużyć mogą do charakterystyki czasu, w którym tworzyła.

Określić daty ścisłéj powstania ich ani z zewnętrznych, ani z wewnętrznych znamion nie można; tyle tylko powiedzieć da się, że napisane były prawie wszystkie dobrze po roku 1850, w czasie, gdy bujania romantyczne już przemijały, gdy zapał ustępował miejsca rozwadze, a często ironii i sarkazmowi; gdy idee ogólne usuwały się z widnokręgu najulubieńszych myśli autorki, a charaktery i wypadki szczegółowe do niego wchodziły.

Z powodu takiéj cechy tych pozostałości, w przedstawieniu ich trzymać się będę porządku chronologicznego według treści, podając naprzód te, gdzie wspomnienia autorki sięgają do czasów dzieciństwa, a dopiéro potém te, w których wrażenia lat dojrzalszych się odbijają.

Zanim jednak do tego przystąpię, winienem zrobić uwagę ogólną. Gabryela celowała przedewszystkiém w spostrzeżeniach i charakterystykach psychologicznych, w odtwarzaniu myśli i uczuć

osób, zwracających na siebie jéj uwagę; ponieważ jednak uznawała łączność ścisłą ciała i duszy, chętnie téż i szczegółowo kreśliła fizyonomie ludzkie, uwydatniając w nich głównie ich wyraz. Z powodu krótkowzroczności nie mogła ona chwytać łatwo i swobodnie mnóstwa fizyonomii, ale te, które pochwyciła, umiała odtworzyć z siłą niepospolitą. Wiedziała ona o téj właściwości swych zmysłów i umysłu i raz ją sformułowała w słowach następnych: „Żadnego pejzażu w szczegółach nie rozpoznam; linie i kolory zewsząd mi się rozpływają w jakąś mętną, rozmazaną perspektywę. Na obrazie zasługa rysunku jest prawie stracona dla mnie; ocenię układ, pomysł, dam się najfatalniéj wszystkim skurczom oszukać.... Muszę zbliska się przypatrzyć, żeby znaczenie fizyonomii zrozumiéć; czasem rozumiem tak głęboko, że widzę, co pod skórą i kośćmi w piersiach, a co pod czaszką w mózgu najtajniéj się kryje. Rzadkie są wszelako chwile mego jasnowidztwa; myopizm rozwinął we mnie pewne lenistwo do spostrzeżeń. Bardzo tego żałuję, bo spostrzeżenia *c'est mon fort*... Ja zgóry już wiedząc, że nie zobaczę, mało patrzę i tak się przyzwyczaiłam nie patrzéć, że częstokroć zupełnie ślepą jestem. Wszyscy koło mnie poznają się na wielu drobiazgach i symptomatach pierwéj, niż ja się dowiem, lecz gdy się dowiem, albo gdy już chcę się dowiedziéć, albo gdy mi przypadek coś pod oczy podsunie: wtedy straszliwéj nieomylności dochodzę. Bywały chwile, w których modliłam się, żeby zapomniéć przelotnego spojrzenia, nie myśléć o pewnym wyrazie oblicza, módz w siebie wmówić, że usta inaczéj się zakrzywiły w uśmiechu...“

Takich błyskawicznych spostrzeżeń i takich do głębi sięgających charakterystyk niemało się znajduje nie tylko w pismach Gabryeli drukiem ogłoszonych, ale i w tych resztkach, jakie w papierach jéj znaleziono, a których ona do druku oczywiście nie przeznaczała.

Rozejrzyjmy się w tych okruchach.

I.

Ze wszystkich urywków, które przeglądałem, do najwcześniejszych chwil życia Gabryeli sięga ten, gdzie ulegając dopominaniu się przyjaciół „o podatek od życia“, a nie mając „z czego główszczyzny zapłacić“, wydobyła ze skarbnicy wspomnień jedno o swém życiu pensyonarskiém i zamierzyła skreślić wizerunek niepospolicie utalentowanéj koleżanki, Elżbiety.

Uznając prawdę spostrzeżenia, że „przy schyłku życia z zadziwiającą wiernością wracają do myśli obrazy pierwszych lat dzie-

cińistwa i wstępnéj młodości, — a po stracie wszystkich osobistych nadziei serce najłatwiéj ruch swój organiczny odzyskuje, gdy się nie do najdroższych, do najpiękniejszych, najważniejszych, lecz poprostu do najstarszych przyczepi pamiątek", — Gabryela przeniosła się duchem w czasy pobytu swego na pensyi Zuzanny Wilczyńskiéj w Warszawie i osnuwając około wspomnienia najzdolniejszéj uczennicy wątek swéj opowieści, nakreśliła i postać zacnéj a sympatycznéj przełożonéj i zwyczaje niektóre na pensyi panujące.

O Wilczyńskiéj, tak wybitne miejsce w dziejach wychowania kobiecego u nas zajmującéj, nieraz Gabryela w pismach swych wspominała i to z największém uznaniem i uwielbieniem (1); ale nigdy tak szczegółowo nie zanalizowala jéj rysów zewnętrznych i duchowych; nigdzie indziéj z takiém zajęciem i przejęciem nie skreśliła jéj stosunku do wychowanek. Ustęp ten zasługuje ze wszech miar na poznanie.

Mówi tu Gabryela o swéj ukochanéj przełożonéj, jaką była około roku 1830, kiedy przeszło sześćdziesiątkę liczyła. Oto jéj słowa:

„Była-to kobieta dobrego wzrostu, dobréj tuszy, z siwiejącemi włosami, przy niewielkich wprawdzie ale bardzo czarnych oczach; twarz miała okrągłą lub raczéj trochę kwadratową, nos krótki (w młodości zadartym być musiał, wtedy rozszerzył się tylko); cerę dość ciemną, a że z alzackiéj pochodziła rodziny, więc przyniosła z sobą wielką skłonność do rozdęcia gardła i gdy ją pierwszy raz widziałam, między brodą a szyją nie było żadnego zagłębienia. Bądź-co-bądź nigdy, od pierwszego do ostatniego spojrzenia, tak anty-artystyczne rysy nie zrobiły na mnie wrażenia brzydkości. Widziałam daleko piękniejsze, widziałam bardzo piękne nawet, a przecież zdarzyła się dla każdéj pewna chwila niekorzystna, w któréj mogłam się dopatrzyć, jaki szkielet pod świetną powłoką ukryty, w jaką potworność lub w jaką karykaturę dałoby się ich podobieństwo przeprowadzić. Otóż takiéj chwili nie przypominam sobie nigdy na twarzy p. Wilczyńskiéj: zawsze była smutnie poważną, surową, a jeśli kiedy wyraz swój zmieniła, co zresztą nie tak rzadko się zdarzało, choć mnie wówczas od uśmiechu do uśmiechu wieki całe mijały—ale to zwykły dziecinny pomiar czasu; rzecz wiadoma, że dzieciom tygodnie dłuższemi się wydają od miesięcy w dalszém życiu, zawsze się téż zdaje, że dzieciństwo najdłużéj trwało; wszystko co nie jest codziennem, dzieciom się rzadkiém wydaje; nic dziwnego, że więc uśmiech p. Wilczyńskiéj był w na-

(1) Zob. mianowicie w „Pismach Gabryeli", 1885/6, t. V, str. 548—551.

szych pojęciach rzadkością nadzwyczajną — jak żyję tak nie spotkałam się już w życiu mojém całém z drugim takim słonecznym uśmiechem. Nie dość, że twarz uśmiechniętą rozpromieniał i piękną czynił, ale jeszcze pogodą, ciepłem, wiosną, latem był dla tych, na których padał.... Lękam się, by wyrazów moich obojętni czytający ludzie za przesadę stylową nie wzięli. Prawda, że mi z pierwszą myślą nie napłynęły odrazu; musiałam ich daléj poszukać, ale dlatego właśnie, że miałam więcéj niż myśl do oddania, miałam nagle wrócone poczucie owéj twarzy, owego uśmiechu, owéj dobroci kochającéj, która prosto spojrzeniem w serca płynęła, któréj ostatniém wspomnieniem dla mnie jest łagodne, uśmiechnięte, jak w powitaniu i w błogosławieństwie ciche oblicze umarłéj.

„Stare moje towarzyszki, ile ich jeszcze zostało na świecie, nie zapomniały pewnie, jakie to wrażenie na nas widok p. Wilczyńskiéj sprawiał. Niech tylko ukazała się wśród największego gwaru, krzyku i dokazywania, wnet jakby makiem zasiał. Ręka, podniesiona z grzeszną intencyą rzucenia komuś kajetu na głowę, sztywniała w powietrzu; usta, rozwarte polskim wykrzyknikiem zniecierpliwienia, drętwiały bez głosu; figiel, tańczący po oczach jak światełko po chacie góralskiéj Gersona, przysłaniał się powiekami spuszczonemi na trzymaną w ręku książkę; zdawać się mogło, że bóstwo grozy czarodziejską różdżką uciszyło szumy fal morskich. Dzisiaj nie mogę sobie téj władzy wytłómaczyć. Wiem, że p. Wilczyńska była dobrą aż do łatwowierności, ustępną aż do niespostrzeżenia własnéj krzywdy, a cichego i miłosiernego serca, jak na błogosławieństwo ewangieliczne, że ją kochałyśmy wszystkie, że w chwilach gorętszego uniesienia, jedna drugiéj świadcząc o prawdzie, przysięgała na imię p. Wilczyńskiéj; bo jak mamę kocham nie w znaczeniu, lecz w trochę zbyt częstém użyciu na wartości straciło trochę, przeszło więcéj w przysłowie; inni przecież ze zwyczaju co kilka słów powtarzają: jak Boga kocham; u nas na pensyi mówiono: jak mamę kocham przy byle okoliczności: jak mamę kocham, strasznie mi się jeść chce! Ach! jak mamę kocham, trąciłaś mię i zrobiłam kleksa na kajecie!... Lecz imienia p. Wilczyńskiéj nie brałyśmy tak nadaremno; używało się w ważniejszych, niezawsze wprawdzie stosownych do jéj życzeń zdarzeniach. Np. słyszéć można było czasem: No, panny, możecie cały dzień mówić po polsku; ja biorę czapkę i obiecuję, że jéj żadnéj dziś nie oddam—jak panią Wilczyńską kocham....—Znaczenia czapki objaśniać zapewne nie potrzebuję; — wyszła ona podobno z użycia, lecz dosyć jeszcze takich zostało, które ją na własnéj nosiły głowie. U p. Wilczyńskiéj prawem było, żeby dzień jeden po

francusku, drugi po niemiecku rozmawiać; w niedzielę wszystkie europejskie języki tolerowano. Skutkiem téj dziwnéj napozór lecz tradycyjnéj ustawy język polski powinien był trochę ucierpiéć; tymczasem zupełnie w ogólnéj sumie inaczéj wypadało. Wychowanki p. Wilczyńskiéj odznaczały się czystością swojéj polszczyzny, pięknym francuskim akcentem i zupełną nieznajomością języka niemieckiego. Ta osobliwość, przez parę dziesiątków lat i więcéj niezmiennie się utrzymująca, dostarczyła mi późniéj wielu hipotez i wniosków...—teraz do pierwotnego wracając założenia, raz jeszcze powtarzam, że ogólne ukochanie dla naszéj ochmistrzyni wcale mię nie zadziwia, bo tylko było w prostym, logicznym i naturalnym stosunku z rzeczywistém usposobieniem wrodzonych jéj skłonności; ale dlaczego tak jéj bałyśmy się ogromnie, tego sobie wytłómaczyć nie mogę. Wolnoby mi było zapewne bojaźń tę nazwać uszanowaniem bez granic, respektem, karnością; piękniejsze to są wyrazy, ale na cóż w nie, jak w bawełnę, szczerą prawdę obwijać?... Uszanowanie i karność pewnoby się objawiły w sumienniejszém wypełnianiu jéj woli, dogadzaniu jéj chęciom — a tém właśnie na nieszczęście ani za siebie, ani za drugie pochwalić się nie mogę. Był-to sobie strach najzwyczajniejszy, bojaźń najistotniejsza, bojaźń tchórzów wobec niebezpieczeństwa, złoczyńców wobec sędziego. Lękałyśmy się p. Wilczyńskiéj, gdyśmy co złego zrobiły; lękałyśmy się także, gdy przechodziła przez klasę, gdy któréj z nas do jéj pokoju iść trzeba było, gdy odpowiedziéć, poprosić, podziękować [wypadało]. Zwykle siedząc na fotelu w środkowéj klasie, a na wszystkie inne mając widok otwarty, p. Wilczyńska albo sama w czasie lekcyi książkę jaką czytała, albo na wyrywki to starsze, to młodsze panienki przywołując, im sobie czytać kazała. Pamiętam, że każde wezwanie podobne, do ostatniéj chwili, nie obeszło się dla mnie bez wrażenia. Choć najpewniejszą siebie byłam i uśmiech na twarzy p. Wilczyńskiéj widziałam, nie mniéj przeto pierwsze wyrazy drżały mi w piersiach jak po zbyt przyśpieszonym biegu. A kiedy — o dniu nieszczęśliwy! — kiedy mię raz niespodzianie p. Wilczyńska zaczytaną w Melinie de Cressange czyli Podziemiach zamku d'Orfeuil pochwyciła,— no, mam prawo powiedziéć, że nigdy późniéj przed nieszczęściem żadném, przed żadną trwogą tak nikczemnie twarz moja nie zbladła, jak przed jéj spojrzeniem surowém. Surową jednak nie była, rzadko bardzo karała, tylko gdy już naznaczyła pokutę, to nikt od niéj nie wyprosił.... Możeć zresztą nastąpiło jakie złagodzenie skróconego czasu, lecz my tego nie widziały; nam się zawsze wydawała nieubłaganą jak Fatum."

Ten wizerunek przełożonéj pensyi, uznanéj przez rząd królestwa kongresowego za „wzorową“, jest ciekawym przyczynkiem do dziejów wewnętrznych edukcyi naszéj publicznéj, przyczynkiem autentycznym, bo pochodzącym od świadka naocznego, nie skrępowanego w swych zeznaniach niczém więcéj jak miłością prawdy i drogiém wspomnieniem osoby, co jéj („dała chleb ciała i chleb duszy, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje.“) Nie mniéj interesujące są szczegóły obyczajów szkolnych wśród panienek drugiéj i trzeciéj klasy. W sferach drugiéj klasy panowała wtedy despotyczna opinia, że kto z płaczem na pensyą przychodzi, to mazgaj, co mu się uczyć nie chce. Gdy która z „nowotnych“ rozrzewnienie okazywała, starsze odzywały się zazwyczaj do najdaléj siedzącéj uczennicy: „czy nie wié, gdzie się podział kałamarz od łez pożegnania?“ Zapewne każdéj z wyznawczyń tego spartanizmu szkolnego serce się ściskało i łzy po policzkach płynęły, gdy się przychodziło żegnać ostatecznie z rodzicami, „ale prędko tego zapominały lub tém surowsze właśnie dla innych były, im cięższe z owéj chwili wspomnienia na sumieniu dźwigały.“ „Która się prędzéj z żalu otrząsnęła, prędzéj z koleżankami zapoznała, prędzéj w ład lekcyi i zwyczajów wpadła, ta réj wodziła, tę wszystkie uważały za dzielną i oléj w głowie mającą dziewczynę.“

Inne klasy miały odmienny obyczaj. Trzecia np. była wtedy siedliskiem „pańskich fumów“ według utartego między młodszemi wyrażenia. Tam „najpierwéj dowiedziano się o rodowodzie każdéj nowotnéj, tam zliczono zaraz i skrytykowano jéj sukienki, wyśmiano odwiedzających ją krewnych lub znajomych, przymówką ciśnięto plebejuszowskiemu pochodzeniu, a starsze nawet panienki, bardzo nieliczną dodatkową czwartą klasę składające, nie śmiały wręcz przeciw despotyzmowi tych małych arystokratek wystąpić i czasem tylko z ich niedokładnych wiadomości w historyi, z ich omyłek w jeografii pozwalały żartować sobie; — jeśli się za jaką pognębioną ofiarę przesądów ujęła która z odważniejszych, ciężko to późniéj odpokutować musiała; gradem na nią sypały się szyderstwa, przedrzeźniania, nawet częstokroć żadnego prawdopodobieństwa nie mające plotki. Raz całą pensyą obiegło, że piękna panna Ł. ma owe niéładne do nazwania krosty na głowie, dlatego bo się nadzwyczaj oburzyła, gdy biednéj córce piwowara najstaranniéj poprzepisywane kajety wielkiemi żydami umyślnie poplamiono. Ta sprawa aż przed samę p. Wilczyńską się wytoczyła. Sąd się odbył publicznie wobec dorosłych i dzieci. P. Wilczyńska mówiła wiele pięknych rzeczy, ze wzruszeniem głębokiém skazała winowajczynię na odpisanie własną ręką uszkodzonych papierów, a za

potwarz zmyśloną—przez cały tydzień w nocnym czepku chodzić jéj kazała". Zrobiło to—jak powiada Gabryela—wielkie wrażenie na drugoklasistki; długo potém dokuczały owym czepkiem pannie „z historycznego rodu starych Kownackich pochodzącéj". Pomiędzy wspólniczkami jednak psotnego figla wrażenie kary rychło się zatarło; przełożona o różnych tego rodzaju swawolach rzadko się dowiadywała, bo skarżenie zarówno w wyższych jak niższych sferach było przez opinią potępiane, a prócz tego nie lada kto miał odwagę iść na skargę przed Wilczyńską. Drugoklasistki potrafiły też same sobie radzić; bo „chociaż pewna uległość dla starszych pensyonarek była niby prawem ogólném i chociaż młode guwernantki, bliższe im wiekiem, dość pilnie prawa tego przestrzegały, nie mniéj jednak rój drobnych wróbelków, przy zdarzonéj sposobności, stado tak zwanych gąsek klasy trzeciéj wydziobał nieraz i spłoszył". Gabryela nazywa (z łagodną ironią) ten stan usposobień klasowych „istną miniaturą europejskich społeczeństw przy wprowadzeniu chrześciaństwa: arogancya zepsutéj cywilizacyi w starciu z dzikością nieokrzesanego barbarzyństwa; trochę wyżéj nad zepsuciem odosobnienie rozumnych, trochę niżéj pod barbarzyństwem bezmyślność dziecinna".

Co do etykiety towarzyskiéj, drugoklasistki, zgodnie ze swym szorstkim spartanizmem, nie odznaczały się wielką grzecznością W klasie zazwyczaj wołały się po nazwisku, lub przezwisku, wrazie gdy było parę sióstr to po imieniu chrzestném; o wiele starsze pensyonarki i te, do których się dłużéj urazę jaką czuło tytułowano poprostu: panno: szukają panny, przyszłam po pannę, niech mi panna to zrobi itp. Gdy się zaś rzekło do któréj „pani", to było echem „wielkiego świata", stanowiło, esencyą, wyskok, elegancyą świąteczną pensyonarskiéj uprzejmości".

Wspomnienia pobytu na pensyi, nader żywo tkwiące w duszy Gabryeli, nasuwały jéj tłumy postaci koleżanek i pobudzały do ich rozpamiętywania. Oprócz rozpoczętéj powieści o Elżbiecie nakreśliła ona szkic „Wspomnień pensyonarskich", dając materyał innym do opracowania. Przesunęła tu, jak w latarni czarnoksiąskiéj, sylwetki kilkunastu kobiet, kreśląc w krótkości, jak się przedstawiały na pensyi i jakie było ich życie późniejsze. Widzimy więc tu dziewczęta pogardzające kłamstwem, nienawidzące przymusu, które wyszedłszy za mąż mają piekło w domu; to gieniusze klasowe, raczéj dobre niż kochające, które oddawszy rękę dla stanowiska w świecie, rychło umierają; to kochliwe panienki, co z każdego profesora osobną powiastkę w głowie swéj układają, o każdym młodzieńcu, który w kościele blisko nich stanie, tworzą sobie cudne

domysły, i potém już romansowego usposobienia pozbyć się nie mogą; to pokorne i ciche, które następnie męża biorą pod pantofel; to aferzystki; to lubiące pozowanie już od dzieciństwa, to przyszłe kokietki—słowem, galerya bardzo bogata i wielce urozmaicona, szkoda tylko, że w samych suchych zarysach.

Z całéj téj galeryi na jednę postać zwrócę baczniejszą uwagę, gdyż w niéj jedno z najgłębszych swych przekonań upostaciowała Gabryela. Była ona, jak wiadomo, nawskroś religijną, ale religijność chciała widziéć wolną od ciasnych fanatyzmu i doktrynerstwa formułek; stąd kamienny dogmatyzm był dla niéj wstrętnym. W postaci „Ludwiki" chciała wskazać, jak się wyrabiają w latach dziecinnych umysły, które w przyszłości mają się stać posłusznemi księży Golianów owieczkami. Ksiądz Golian był dla Gabryeli symbolem oschłego katechizowania w duchu ultramontańskim. Otóż Ludwika na pensyi była to bardzo zdolna, bardzo nerwowa dziewczynka: „niema entuzyastka, milcząca poetka." Przypadkowo tylko dowiadują się pensyonarki, że kocha Joannę,—będącą geniuszem klasowym—ale Joanna zajęta innemi koleżankami: Elżbietą, Cecylią oraz nauką, mało na nią zważa. Ludwice zawsze trudno było się wypowiedziéć, a że potrzebowała wywnętrzenia, miała serce pełne niezużytkowanych do niczego uczuć i pragnień. Zdolności jéj umysłowe były więcéj bierne niż czynne; tworzyła ona spostrzeżenia i ideały, ale punktu łącznego pomiędzy niemi brakowało jéj zupełnie; stąd rozwijało się w niéj życie głównie wewnętrzne: Ludwika rozpatrywała się w sobie i tęskniła bez końca, ale co z tego zrobić, nie wiedziała wcale. Rozmowa z Joanną podsyciła w niéj pragnienia; raz przełamawszy „lodową nieśmiałość", czuła całe szczęście wywnętrzenia się, całą potrzebę dopełnienia się drugą istotą. Ale właśnie rozmowa poufalna z Joanną była pierwszą i ostatnią zarazem; bo gieniusz klasowy opuścił pensyą. Ludwika, zrażona późniéj kilkoma nieszczęśliwemi próbami, zaczęła w sobie rozwijać pierwsze zawiązki nieufności i żalu do ludzi. Świat, w który weszła, był to drobniutki średnio majątkowych obywateli świateczek. Spotyka się tu z całą seryą najniefortunniejszych konkurentów; ten nie znając jeszcze pyta, czy mu w domu bywać pozwolą, z drugim się targuje, by mu nie przeszkadzał; inni znów mówią jéj najpospolitsze komplementy o jéj oczach, o jéj piękności, oświadczają się po kilku kieliszkach starego wina, aż się nakoniec zdarza zarozumiały panicz, którego ona znieść nie może, a który jednak naraża ją na plotki całéj okolicy. Ludwika wyjeżdża do Warszawy słaba i rozdrażniona; spotyka się z młodym i fanatycznym spowiednikiem.—Przyszedłszy do tego punktu w kreśleniu swéj postaci, Gabryela robi wielce zna-

mienną uwagę: „Na nieszczęście, tego całego przejścia rozwinąć nie można sumiennie, bo Golian-by wyklął; ale możnaby zdradziecko odzwierciedlić prawdę bez dodawania sądów; bez komentarzy przenieść się w osobistość księdza, nie dopowiadać słów przez niego niedopowiedzianych, nie analizować tego, co się w nim lub w niéj dziać mogło; nie zwewnątrz o nich pisać, ale po kronikarsku zzewnątrz; zachować akcent poważny temu, który mówi o zdeptaniu świata, i akcent entuzyazmu téj, która się ciągnie miłością ku niebu,—wreszcie zakończyć prawdą. Ludwika wyrzekła się rodziny, wyrzekła wszelkich dóbr przemiennych, odtrąciła doczesność, zamknęła się w celi klasztornéj i jest szczęśliwą. Niech wody przepłyną nad górami, niech się wulkany pod nogami rozstąpią, niech ginie ojciec, matka, niech łzami cały ród ludzki opłynie: jéj dobrze, jéj spokojnie, bo oczy w niebie i w krzyżu Chrystusa utkwiła—jest szczęśliwą, a szczęśliwi przecież w każdéj sprawie zawikłanéj słuszność wygrywają“...

W związku z szeregiem myśli, które się złożyły na odmalowanie zmiany zaszłéj w Ludwice pod wpływem fanatycznego księdza, jest inny urywek pism Gabryeli, przedstawiający stosunek wiedzy do religii. „Zdaje się ludziom—powiada nasza autorka—iż póki tajemnicy w naturze, póty Boga w sercu ludzkiém; dlatego jezuici łatwo trafiają do przekonania władców i czułostkowych duszyczek, wychwalając świętość nieciekawych prawdy tego świata umysłów; a nawet wiele poczciwych, z dobrą wiarą religijnych istot lęka się to pewnych faktów dowiedzionych, to pewnych przebłysków głębiéj sięgających badań, żeby im błogiego spokoju wiary nie zamąciły“. Ostrożność taką uważa Gabryela jako słuszną może „dla pojedyńczych wyjątków“, ale nie dla ogółu ludzkości, gdyż dla takiego ogółu, jéj zdaniem, prawdziwszy jest aforyzm wprost przeciwny umieszczonemu na początku rozumowania, czyli innemi słowy: „póki tajemnicy i nie wytłómaczonych zjawisk w przyrodzeniu lub w dziejach, póty zaprzeczenia religijnego w rozumie“. Przyznaje słuszność filozofom, utrzymującym, iż tajemnica była jedyném źródłem religii, ponieważ „całe epoki i ludy całe tak często brały jakiś niezbadany fenomen natury za Boga swojego, a jakąś pomyłkę za jego prawo, czy téż co najmniéj za cud jego doraźnéj woli“. Lecz prawdziwa, głęboka, istotna religijność może naprawdę zapanować wtedy dopiero, gdy wszelka tajemnica się usunie, gdy wiedzą obejmiemy cały wszechświat i przekonamy się, co jest nad ten wszechświat wyższego, doskonalszego, mędrszego. „Wtenczas tylko—mówi Gabryela—gdy się zakończy praca ziemska na rozpoznanie prawdy, może się zacząć praca niebieska na zdobycie zbawienia. Wspól-

na jedynie, rozpowszechniona, zasobna we wszelkie szczegóły prawda może być zdrowym i trwałym materyałem, z którego człowieczeństwo wspólne swoje ideały wyznaczać i w który wcielać je będzie. Gdy się zrozumić naturę, dopiero spokojnie i zgodnie wszyscy uwierzą w Boga". Na gruncie takiego przekonania zwraca się Gabryela przeciwko nieprzyjaciołom nauki, lękającym się, żeby oświata nie nadwerężyła wiary: „Łaskawy księże, dajmy na to, Golianie!— woła—zakazujesz nam się uczyć chemii i fizyki; albożeś zapomniał o tém, że wszelka prawda od Boga pochodzi, czy też rozróżniasz i gatunkujesz prawdy na naukowe i moralne, ziemskie i niebieskie,—to jakbyś Boga na wyższego i niższego rozdwajał, boć wszelka prawda od Boga pochodzi, więc gdy jest prawdą, jest zupełnie równa prawdzie drugiéj, a niéma prawd dyabelskich, bo dyabeł tylko ojcem wszelkiego kłamstwa jest; żadnéj prawdy niéma w nim, ale on jest w każdém kłamstwie i w każdym kłamcy; a Bóg jest w każdéj prawdzie i w każdym prawdę mówiącym—i bożą jest każda prawda, bo każda jest równie niezmienną i nie uchyloną i konieczną. Tak to jest bożą prawdą, że trzeba kochać bliźniego, jak i to, że woda z 1 części wodoru a z 2 części kwasorodu się składa. Nie przemożesz tego, że zawsze ludzie źli będą i ludziom źle będzie, gdy nienawidzieć zaczną miasto kochać i miłować, —i nie przemożesz tego, aby $2 + 2 = 4$ nie było. Ani dla ciebie, ani dla papieża Bóg tego cudu nie zrobi".

II.

Do drugiego działu zaliczam te okruchy twórczości Gabryeli, w których podaniową czy mityczną treść do opracowania brała, ponieważ wątek taki odpowiada téj fazie jéj wykształcenia, gdy pod wpływem zwrotu do poezyi ludowéj pisała „Mainę i Kościeja", „Lilie" itp. Tego rodzaju pozostałości mamy tylko dwie, tj. początek „pieśni o Lechu" i powieść o „Peryi".

Niewątpliwie, pomysł pieśni o Lechu powstał z duszy poetki wpierw, nim Deotyma swego „Lecha" jako pierwszą cząstkę „Polski w pieśni" ogłosiła; być może nawet, że wydrukowanie tego utworu spowodowało zaniechanie przez Gabryelę pracy w tym kierunku.

Według pomysłu naszéj autorki, matką Lecha była bogini, królowa Karpat, mająca tron na najwyższéj górze, ale ojcem—człowiek—guślarz. Piękny jest, wspaniały obraz siedziby macierzy lechowej.

Dumnie, wysoko nad bratnie opoki
Góra ku bogom zabiegła w obłoki
I tak zabiegła, że piorunne chmury,

Pokłonem padłszy przed szczytem téj góry,
Nie śmiały powstać—tylko u jéj łona
Jak białych ptaków gromada strwożona
Zawisły lodem;—słońce ponad niemi
Lub nocą księżyc oczyma srebrnemi
Patrzył ciekawie. Ludziom tajemnica,
Co tam wzrok słońca widział lub księżyca...
. . . . Czasem w nocnéj porze
Nagle na niebie kraśne błyśnie zorze —
To łuną biją królowéj źrenice,
To ona patrzy, żeby olbrzym który
Skały marmuru albo złota góry
Nie wziął bezkarnie za państw jéj granicę.
Czasem pogoda na niebios powodzi
Żegluje w złotéj brata słońca łodzi
I znowu nagle przed górala okiem
Jak zdrada czarnym zaćmi się obłokiem;—
To ona także, to ona królowa,
Gdy smutną myślą zaciężay jéj głowa,
W błękicie niebios czoło sobie myje,
A cień jéj splotów słońce światu kryje:

Czasem wśród ogólnego milczenia na ziemi, w owéj górze cudowne jakieś rozlegają się dźwięki: „niby to lasy szumią ludzką mową, Niby łabędzie z hymnem pożegnania ponad śmiertelnych wzlatują mieszkania“. Poetka zwyczajem pieśni ludowéj, pyta, komu to królowa Karpat śpiewa:

Czy bogu Słońcu, że jéj tron lodowy
Rozświetla codzień połysk brylantowy?
Czy matce Nii, że z głębi pieczary
Stopy jéj grzeje podziemnemi żary?
Czy Poświstowi, czy bladéj Nocenie?

I odpowiada: Nie! Królowa nuci piosenkę synowi swemu,—który ma oczy „z tego kwiatu, co go po zbożach wiosna sieje latu, tylko z nich czasem cicha łezka ścieka I po téj jednéj łezce dyamentowéj Mógłby kto poznać, że dziecię królowéj Jest także dzieckiem człowieka“.

Raz syn ten ukochany, bawiąc się z matką, wziął w rączki „gwiazdę złotą, co jéj u czoła, jako kropla rosy U listka białéj lilii, błyszczała“, ale będąc synem człowieka nie mógł jéj utrzymać; gwiazda zleciała na ziemię, a Lech patrzył za nią tęsknie i błagał matkę, by go puściła, bo pragnął polecieć tam, dokąd gwiazda poleciała i widzieć to, co ona widziała. Królowa znając wyroki przedwieczne, nie sprzeciwiała się synowi, ale go pragnęła jeszcze przy sobie zatrzymać, kazała więc mu czekać, aż nazbiera ziela do napoju, który ma go najmężniejszym i najpotężniejszym uczynić. Był-

to „napój z wawrzynu“; po jego wypiciu Lech nagle z dziecka urósł na młodziana:

A jako kwiatkom w narodzenia wiośnie
Pod ziemią duszno i ciemno jak w grobie,
Póki mogiły nie odwalą sobie
I nowém życiem nie błysną na ziemi
Wolnym oddechem, listkami wolnemi;
Tak duszno, ciemno w górzystym obłoku
Lechowéj piersi, Lechowemu oku,
Nieznanéj żądzy niepojęta władza
Ledwo mu w łonie serca nie rozsadza:
Chciałby już siły doświadczyć ramienia,
Chciałby czy niebios rozwalić sklepienia,
Czy ziemię rozbić, czy świat stworzyć nowy,
Byle żył, działał dumny syn królowéj.

Matka chce go jeszcze przy sobie zatrzymać, choćby na dzień, choćby na chwilę jednę, gdyż bogini rozstając się z synem „Taką jest słabą, lękliwą i biedną Jak każda matka między śmiertelnemi, Jak każda biedna kobieta téj ziemi“. Zaczyna więc przekładać synowi niebezpieczeństwa, jakie go na ziemi czekają...

I na tém pieśń się urywa. Nie będąc zwolennikiem tworzenia wielkich poematów na tle mityczném w czasach dzisiejszych, nie czuję dotkliwego żalu, iż Gabryela pracę swą nad Lechem przerwała, lecz zarazem dodać muszę, że ze wszystkich znanych mi prób odtworzenia legendowéj postaci (Skorski, Woronicz, Deotyma), urywek powyższy ma najwięcéj prostoty i naturalności ludowéj, i najwięcéj wdzięku artystycznego.

„Powieść o Peryi“ należy do rodzaju alegoryi, przed laty wielce ulubionych. Gabryela podejmuje wątek przez Moore'a obrobiony i opowiada, jak jedna z owych istot szczęśliwych, igrających swobodnie w promieniach słońca lub szybko żeglujących po morzu obłoków, znudzona samémże szczęściem jednostajném i nieprzerwaném, zapragnęła poznać Radość i Cierpienie. Ponieważ jednak Radość trudno osiągnąć, bo jest daleko, postanowiła spróbować Cierpienia i zleciała na ziemię. Na pierwszym zaraz wstępie spotkała się ze śmiercią młodéj i pięknéj dziewczyny, która jeszcze ani życia ani szczęścia nie zaznała, a opuścić musiała matkę ukochaną, co drżąca i blada trzymała na piersiach jéj głowę bezsilną. Zdawało się Peryi, że to najwyższy stopień cierpienia, lecz gdy ujrzała, iż córka i matka znajdują pociechę w wierze, w nadziei życia przyszłego, zrozumiała, że są bóle sroższe. Po śmierci dziewczyny, Perya wleciała w serce osieroconéj matki, która cierpiała każdéj chwili aż dotąd, póki z uśmiechem nie powitała zgonu, co ją od

cierpień wybawił. Gdy Perya sądziła, że już cięższéj boleści nie dozna, ujrzała „wśród ciemnych drzew białą szatę pięknéj dziewicy: oczy łzami zalane, pierś łkaniem rozdarta, a w ustach smutne słowo: nigdy!“ Był to dla Peryi widok całkiém nowy: „ta boleść bez choroby, ten smutek bez grobu.“ Połączywszy się z duchem cierpiącéj, uczuła, że „jedna chwila zniszczyła dawne, dawne, ale wielkie szczęście, że przeszłość i przyszłość jéj życia rozdzieliły się jakby gromem piorunu zerwane, że jak długie, jak powolne dni płynąć będą, tak ona dnia żadnego żadną nie powita nadzieją.“ Wtém zdaleka słyszéć się dały śpiewy wesela i zbliżył się orszak godowy; dziewica powstała nagle, otarła oczy, uśmiechnęła się nawet. Wówczas Perya „tak mocną, tak niepojętą uczuła boleść, jakiéj we wszystkich wspomnieniach smutku znaleść nie mogła, i bezsilna w łzie ukrytéj na bukiet dziewicy spadła. Chwil parę minęło, nim zdołała powietrzne skrzydła rozwinąć.“ Poznała już całą naukę cierpienia; wiedziała, że smutno umierać, smutniéj płakać umarłych, ale najsmutniéj w cierpieniach być wesołą. I chciała wrócić między dawne towarzyszki, ale zatrzymał ją anioł promienny, wskazując otwarte niebios podwoje i mówiąc: „Pójdź, siostro moja, bo kto cierpiał na ziemi, ten potém z nami w raju szczęśliwym być godzien!“

III.

Obrazki z życia rzeczywistego—ale już nie pensyonarskiego—jakby wyjęte z „Książki pamiątek“ albo „Białéj Róży“, stanowić mogą trzeci dział pozostałości po Gabryeli.

Mamy tu rozpoczęte dzieje wędrówki młodéj nauczycielki, sieroty, któréj na poczcie nikt nie żegnał, nikt rad i przestróg nie udzielał, jadącéj przez Łomżę do Wielkich Gruckich, gdzie miała zastać wdowca nadętego a skąpego. W liście smutnie ironicznym opisuje nauczycielka stryjowi na Ukrainie, jedynemu przyjacielowi i opiekunowi, szczegóły téj podróży, a mianowicie spotkanie się z rubachą-szlachcicem, nienawidzącym panków dumnych, żartującym grubiańsko po za oczyma z panny guwernantki. Nauczycielka postanowiła go obłaskawić i użyła wybiegu, jak dla zabawienia dzieci, boć istotnie ten rubacha dzieckiem był pod względem umysłowym. Nie zwracając więc na niego niby żadnéj uwagi, wydobyła śliczną edycyą ilustracyi Grandville'a: „Les animaux peints par eux-mêmes“, w któréj między stronnicami znajdowało się mnóstwo innych to karykatur, to poważniejszych obrazków wsuniętych, to kopii zrobionych przez samę nauczycielkę, to fotografii wreszcie.

Piękna oprawa i złociste brzegi książki już zrobiły lekkie na szlachcicu wrażenie; wstał, przeszedł się niby do okna i zerknął ku książce. Podróżna otworzyła ją w najefektowniejszém miejscu, gdzie słoń-bankier wielmożność swoję dźwiga. „Żabie oko“ szlachcica dojrzało czegoś i zadziwiło się. Nauczycielka niewzruszona w swéj obojętności przewróciła kilka stronic i zatrzymała się na sroczce dowcipnéj, w takiéj pozycyi rozłożywszy album przed sobą na stole; poczém zaczęła czegoś szukać w pugilaresie; pugilares z rąk się jéj wysunął, a gdy go podnosiła, szeroki rękaw od sukni zrzucił książkę na ziemię — i wszystkie obrazki w nią włożone rozsypały się po izbie.... Karczmarka krzyknęła, jéj mała dziewczynka krzyknęła także i pan szlachcic krzyknął nakoniec; potém na wyścigi jedno przez drugie zaczęli zbierać z podłogi. Nie prędko zbiór nastąpił, bo się różnemi wykrzyknikami przerywał: „Co to za śliczności! Co to za dziwne rzeczy!“ — ale wreszcie każda pomocnicza ręka wyciągnęła się ku nauczycielce ze swoim plonem. Mała dziewczynka za swoję uczynność została upoważnioną, aby sama sobie jeden z kilku podniesionych obrazków wybrała; szlachcic zaś sam się upoważnił i zaczął trzymaną w ręku kolekcyą przeglądać. Trafił na przerysowane z Grandville'a figury. — „A cóż to są za dziwolągi? czy to gdzie tacy ludzie naprawdę żyją?“ — zapytał, a reszta towarzystwa przybliżyła się ciekawie. — „Nie, panie — objaśniła podróżna — to jest tylko przez żart zrobione, żeby wyśmiać różne wady ludzkie. Naprzykład widzi pan tego słonia?... On ma przedstawiać pychę bogacza, co się między ludźmi jak słoń między zwierzętami rozrasta i kiedy stąpa zgóry, to drobniutkie stworzenia na miazgę gniecie, a nawet nie widzi, co mu się tam pod nogami plącze—komar lichota czy bliźni pachołek. Niech się pan przypatrzy téj trąbie odętéj.“ Szlachcic z nadzwyczajném zajęciem patrzył na słonia a szczególniéj na trąbę i na grube nogi; jego dotychczas bardzo niewinne oczy błękitne zaczęły ciemnieć trochę i migotać złośliwie; cienkie nozdrza nerwowém drganiem zadygotały, usta wykrzywiły się, aż przykro było patrzéć. — „Oj! tak! tak! — znam ja ich — odezwał się po chwili dziwnie skandowanym głosem, w którym zaciekłość i nienawiść dźwięczała.—Oj! tak! tak! zgóry stąpają po ubogich pachołkach, choćby to byli bracia ich rodzeni; wszyscy oni tacy; znam ja ich—słonie z odętemi trąbami. Dobrze téż to będzie, jak pani taki konterfekt do Wielkich Gruckich zawiezie“— i grubym śmiechem uzupełnił napomknięte przystosowanie. — „Aż chciałbym wiedziéć, co pan Krezus powié, jeśli mu pani kiedy da tę książkę do obejrzenia.“ Nauczycielka spojrzała pytająco na szlachcica, a ten się rozśmiał i zamieniwszy spojrzenia z propina-

torką, zawołał głośniéj, jakby dla upewnienia siebie, że robi dobrze: „To i cóż? Przecież nie sekret; jeśli pani nie słyszała dotychczas, to prędzéj czy późniéj usłyszy niezawodnie, że pan Grucki z Wielkich Gruckich jest wszędzie na okolicę Krezusem nazywany. Mógłby gorszy nosić przydomek. Jeno nie mnie tam mówić, kim on jest, ni téż, kim ja jestem. Nie chcę, żeby mię ludzie posądzali o zazdrość, albo o czepianie się złotych klamek. Pewnie p. Krezus nie lubi nas przed obcymi wspominać i my téż o nim wolimy milczéć. Gdybym tego słonia z odętą trąbą nie zobaczył i gdybyś mi panienka sama nie powiedziała, że ma być pysznego bogacza wyobrażeniem, tobym pewnie języka sobie nazwiskiem jego nie psuł. Przy zdarzonéj sposobności możesz mu panienka wszystko, co tu mówię, słowo w słowo powtórzyć, a może i saméj przyjdzie kiedyś co ostrzejszego dodać. Nie daj Boże! nie życzę nic złego panience, ale przestrzeżony lepiéj się strzeże...“

Aż żal się rozstawać z tą tak delikatnie a jednak tak wyraziście zarysowaną postacią szlachcica-rubachy, poczciwego zapewne w gruncie, ale ze zwykłą ludziom zapracowanym zawiścią patrzącego na pysznego „Krezusa“; zaciekawia téż i ten Krezus zwłaszcza w stosunku do przyszłéj nauczycielki jego dzieci, i nauczycielka i ten poczciwy stryjaszek, którego z napomknień piszącéj list poznajemy jako ukochania godnego człowieka... Wszystkie wyobraźnią snute obrazki z rysów, jakie pozostały, muszą się rozwiać, gdy się dochodzi ostatniéj kartki, kończącéj się zdaniem urwaném.

Wiele realizmu a nawet niezwykłéj u Gabryeli powszedniości mieści drugi urywek, malujący pożycie państwa Kiełczyńskich. P. Onufry Kiełczyński miał nieco burzliwą młodość: ze dwa o jakąś aktorkę pojedynki, ze trzy o jakieś niedoszłe zaręczyny historye, a mniejszych awanturek przy kartach czy przy kieliszku, z wierzycielami, którym figle płatał, lub z dłużnikami, którzy od niego pieniądze wyłudzali, w samę miarę, jak na modnego warszawiaka przystało. Takiego-to kawalera potrafiła przywiązać do siebie i całkowicie nim zawładnąć kobieta nie mająca prawie najmniejszego poczucia estetycznego, nie posażna, lecz gospodarna, rozumna i jak artykuł kodeksu stanowcza. Sposób, w jaki tego dokonała, opowiada autorka krótko, ale bardzo charakterystycznie. Panu Onufremu — powiada — w pierwszych miesiącach pożycia małżeńskiego „zdarzało się czasem do koleżków na partyjkę pociągnąć i większą część nocy z nimi przesiedzieć: pani Kiełczyńska wtedy przy śniadaniu nazajutrz nie omieszkała zaraz z surowém połajaniem wystąpić, a kiedy łajała, to się tak jakoś ciemne brwi nad błękitnemi oczami surowo zsuwały, i nosek, szablasty trochę, tak

dumnie rozdymał, i głos nabierał takiego ostro stanowczego tonu, że najobojętniejszy człowiek byłby zapragnął wówczas gorąco nic nie mieć sobie przeciw niéj do wyrzucenia. Prawdy nie obwijała też w bawełnę; głupstwo nazwała głupstwem, łatwość do pójścia za złemi radami — słabością charakteru, lekkomyślne niedopełnienie biurowych obowiązków — próżniactwem, zadomowe rozrywki — marnotrawstwem. A jeśli pan Onufry chciał się usprawiedliwiać, nigdy dłuższéj nie dopuściła rozprawy; uśmiech jak słońce zza chmur na twarz występował, serdeczna dobroć, jako prawa dziedziczka, do oczu wracała. — Nie mówmy już o tém więcéj — rzekła z właściwém sobie ręki poruszeniem, i na prawdę miała rzadki talent niemówienia już więcéj o tém, co raz powiedziała. Szczęśliwym zaś trafem p. Kiełczyński nie miał talentu żadnéj sceny podobnéj ani przeproszeniem zakończyć, ani w sprzeczkę przeciągnąć; żona nie dała się okłamać i rozrzewnić, nie dała zniecierpliwić i rozdrażnić. Od nadużycia do nadużycia nie czuł się więc ani przebaczonym, ani wojującym; czuł się tylko w nader korzystném dla siebie zawieszeniu pod prawem łaski. Łaska była wdzięczna, wesoła, promienna, swobodna, toć i nie osobliwość, że coraz więcéj zasługiwać się na nią starał. Jak jeszcze w drugim roku małżeństwa córeczka śliczna z matki oczami na świat przyszła, tak pan Onufry do ostatniéj literki stare zrzeczywistnił przysłowie: kto się ożeni, to się odmieni — i odmienił się zupełnie. Odkleił się bezpowrotnie od dawnych stosunków swoich, zachował te znajomości jedynie, które mu z żoną wspólne były, a i z nich nawet niewiele na urozmaicenie życia dziesięciny wizytowéj oddawał społeczeństwu, bo tak się jakoś okazało, że w biurze przybyło mu roboty, a w domu zajęcia. Dzień po dniu potrzebniejszym się stawał panu dyrektorowi i miał coś sprawić lub dopilnować dla pani inspektorowéj; to się w daleką drogę na objazd wybierał; to z objazdu wróciwszy, musiał odpocząć przecież, a jak odpoczął, musiał rzemieślników godzić, by coś w mieszkaniu poprawili; pilno mu było nowe szafki poustawiać, papiery i książki swoje ułożyć, pomysł jakiś gospodarski w wykonanie wprowadzić; — a szczególniéj jeśli go kto na ulicy zatrzymywał, pilno mu było do domu wracać, bo o swoje maleństwo był niespokojny."

A jak trafnie skreśliła autorka to ugłaskanie lwa salonowego przez rozumną i taktownie a stanowczo postępującą kobietę, tak pięknie i wymownie odmalowała budzące się uczucia ojcowskie w owym birbancie, gdy przy urodzeniu drugiéj córeczki i przy długotrwałéj a ciężkiéj słabości żony, musiał nad niemi troskliwą rozciągnąć opiekę. Nic prawdziwszego nad następne zestawienie róż-

norodnych uczuć i wzruszeń: „Pan Kiełczyński różnych niegdyś doznawał wrażeń; wiedział, jak serce uderza naprzeciw pistoletowéj rurki, jak nerwy drgają mimowolnie przy zielonym stoliku, zwłaszcza gdy się na kartę ostatni tysiączek dziedzicznéj schedy postawi; niestety, wiedział o tém i gdyby nie komunikacye lądowe i wodne a w komunikacyi dawny rodziców przyjaciel; gdyby nie zdolności inżynierskie, których sam w sobie się nie domyślał, byłby może zapoznał się z dramatyczniejszemi jeszcze przegranéj następstwami;—bądź co bądź, wiedział już, z jakiém usposobieniem wewewnętrznèm człowiek swoję przyszłość na grę losu ciska; wiedział też, z jaką niespokojnością młody szaleniec pierwszéj odpowiedzi na pierwszy list miłosny czeka, z jakiém tętnieniem w skroni na wyznaczoną schadzkę potajemnie przychodzi, z jaką febryczną trwogą śledzi spojrzeń zalotnéj a niepewnéj choć tryumfalnie zdobytéj wobec współzawodników piękności; wiedział o tém wszystkiém bardzo dokładnie, a jednak przekonał się, że stokroć jeszcze żywszych wzruszeń dostarczała mu ta istota, co ją w kołysce ledwo dojrzéć można było wśród zasłon i poduszeczek, taka maleńka, a taka przerażająca bezbronném niedołęstwem i uroczystością tajemnicy, taka zdaje się łatwa do uszkodzenia przez byle nieostrożność, taka zagrożona śmiercią i znicestwieniem przy byle poruszeniu mniéj zręczném, przy byle ruchu ostrzejszym, a taka już konieczna sercu do szczęścia, nadziejom do przyszłości; możnaby ją zgnieść jak robaczka mimowolnie, a przyszłoby potém żałować całe życie więcéj niż straconego skarbu i boleśniéj wyrzucać sobie prosty brak uwagi, niż w namiętném uniesieniu popełnioną zbrodnię“...

Dwie córki tego małżeństwa, różne usposobieniem, ale dobre, rozumne i posłuszne dopełniały składu téj szczęśliwéj, miłéj dla oka bliźnich rodziny, nie idealnéj wprawdzie, nie oddziaływającéj przykładem swoim na szersze koło towarzyskie, ani służącéj pracą wyższemu celowi narodu czy ludzkości, ale zacisznéj, nikomu na drodze nie stojącéj, owszem ślimaczo trochę we własnych kącikach przytulonéj i z siebie saméj zadowolonéj.

Dalszych dziejów téj rodziny nie znamy; znowu na początku zdania kończy się karta. Obok niéj leży samotna, ledwie w połowie zapisana a opowiadająca powrót z dalekich stron wojaka, który dążąc do kraju ani się spodziewał, iż większéj części osób ukochanych już nie zastanie, choć oni żyli w pokoju, a on na wojnie.

Na sam koniec zachowałem wzmiankę o urywku najdłuższym, który podaje obecnie „Ateneum“ w całości, jak się dochował. Ma on ze wszystkich dotąd wzmiankowanych wartość artystyczną największą; talent analizy psychologicznéj jaśnieje w nim w pełni swego blasku.

Wyborny tu jest obrazek starego kawalera rejenta, Józefa Kownackiego, spisującego swoje wspomnienia po części z nudów w Zielone święta podczas drobnego jednostajnego deszczu, po części dla zrobienia miłéj niespodzianki jednemu przyjacielowi, z którym na stopie zupełnéj ufności pozostaje, wikaremu „Piętaszkowi“, co nie potrafił rozumnemi i do pojęcia słuchaczów zastosowanemi kazaniami przyciągnąć wielkiego świata małego miasteczka do swojéj fary, gdyż świat ten wolał uczęszczać do kościoła klasztornego, gdzie na jego zmysły więcéj działać umiano. Znakomity jest wizerunek Feliksa Królewskiego, wychowańca uniwersytetu, z pogodną powagą zapatrującego się na ciężkie zadania życia, bystrego obserwatora ludzkich charakterów, obywatela przejętego ważnością swych obowiązków, a przytém miłego, pociągającego człowieka. Sylwetka lekkomyślnéj Walentyny, która była powodem starokawalerstwa Kownackiego, zarys obyczajów małego miasteczka, obrazek dziecinniejącego proboszcza dopełniają te dwa wizerunki, których znaczenie artystyczne jest tak wielkie, że i bez powieściowego zaokrąglenia zainteresować mogą czytelników subtelnością rysów i bogactwem treści. Nadałem urywkowi nadpis: „Wspomnienia rejenta“ którego w autografie niéma, ale który wydał mi się odpowiednim do treści. Wyjątkowo daje się on nawet trochę ściśléj chronologicznie co do czasu powstania swego określić. Jest w nim wzmianka o światełku w chacie góralskiéj, obrazie p. W. Gersona; ponieważ zaś obraz ten wystawiony był, jak mi autor objaśnił, dopiero pod koniec r. 1868; więc oczywiście utwór Gabryeli dopiero po tym czasie mógł być napisanym. Dla wyczerpania téj wzmianki o spuściznie literackiéj po Gabryeli, dodam jeszcze nieco o planie powieści p. t. „Nienawiści rodzinne“, o artykułach luźnych publicystycznego charakteru i aforyzmach.

Plan owéj powieści jest bardzo ogólnikowy; treść, nasunięta widocznie jakiémś zdarzeniem rzeczywistém, przedstawia rozstrój rodzinny pod wpływem rozrzutnego a władzy chciwego dziadka, rozstrój do pewnego przynajmniéj stopnia powstrzymany przez rozumną i energiczną nauczycielkę. Nie widać jasno z planu, jaką myśl zasadniczą chciała przeprowadzić autorka; że jéj chodziło o leczenie moralne upadłego charakteru, to dwukrotnie akcentuje; ale szczegółów tego leczenia nie rozwija oprócz napomknienia o niewłaściwém stosowaniu środków religijnych do natur niskich i pospolitych.

W artykułach i aforyzmach dotykała Gabryela najrozmaitszych kwestyi; najczęściéj i najchętniéj, jako autorka „Geografii“, zajmowała się sprawą ras, dziedziczności wad i przymiotów, a stąd

teoryą Darwina. Była téj teoryi zwolenniczką i na jéj podstawie budowała swój „ideał ludzki“. Gwałtowne przerzucanie się z jednego stopnia na drugi, strącanie czy podwyższanie uważała za bezowocne a tém samém „na czas wiadomy, historyczny“ za szkodliwe; na mocy prawa stopniowego rozwoju tłómaczyła fakt, że „ludy sztucznie do wyższéj cywilizacyi przynaglane łamią się w niéj i niszczeją.“ Ani Hawajczycy ani Maorysy—powiadała—nie zniosą dzisiaj oświaty europejskiéj, nie wydołają choćby pamięciowemu ogarnięciu tego, co „praca ludzka w majątek wspólny rozpowszechnionych wiadomości złożyła“, podobnie jak rosłe chłopaki bez zdolności umysłowych, nie mogąc wydołać pracy nabywania szkolnych wiadomości, marnieją. „Ideałem ludzkim“ jest „rasa z wielkiemi zdolnościami umysłowemi, z organizacyą wstręt mającą do okrucieństwa, z krzepkiém zdrowiem, z wrodzoną chęcią i siłą do pracy“. Takiéj rasy jeszcze nie ma, zdaniem Gabryeli; wielkich zdolności nie brakuje w Anglii, Francyi, Niemczech, wśród żydów; krzepkie zdrowie, Skandynawów, Amerykanów może ród ludzki zasilić, są lude całe pracowite jak mrówki w Azyi i w Europie, tylko nié ma jeszcze ludu ze wstrętem do okrucieństwa. Ponieważ Gabryela wierzy najmocniéj, że treścią ostateczną rozwoju jest udoskonalenie rasy ludzkiéj, sądzi więc, że „taka plemienność“ ze wstrętem do okrucieństwa kiedyś się przecie wykształci.

Jako wielbicielka potęgi woli ludzkiéj, Gabryela, chociaż odczuwa niekiedy niezwalczoną konieczność, broni przecież wytrwale idei wolności ducha, a za najoczywistszy jéj dowód poczytuje wybór badań naukowych przez jednostkę. „Dajmy na to — powiada— że kto źle trawi, jest cierpki, popędliwy, nawet okrutny; jeszcze nie idzie za tém, by kto miał najprawidłowiéj system mózgowy rozwinięty,—użył go koniecznie do śledzenia wymoczków w kropli wody lub do gotowania różnych płynów w retorcie. Wiedza naukowa jest zenitem, do którego wolność indywidualna sięgnąć może; wolność ta nauką się zatwierdza; dla nauki, dla wiedzy, dla poznania jedynie zdać się na co może człowiekowi“.

W kwestyi nieśmiertelności widzi jasno i napewno dwa jéj rodzaje: przez wydanie na świat istot do siebie podobnych i przez wpływ. „Gdyby kto—powiada—nie miał ani dzieci, ani wpływu na nikogo z mających dzieci dokoła, toby i odpadł w niebyłość. Tylko nie wiem, czy jest podobną rzeczą nie mieć wpływu, choćby przez wywołanie wrażeń litości, oburzenia, grozy czy miłosierdzia; człowiek koniecznie działa na człowieka, chyba... w pustelniach nikomu nieznanych, w klasztorach przed wszystkimi zamkniętych“. Jest to zatém nieśmiertelność antropologiczno-historyczna, co się zaś tyczy

metafizycznéj, to przekonanie się o niéj zostawia Gabryela przyszłości, w któréj będzie lepiéj na ziemi, mówiąc: „Jak się życie indywidualne tu na ziemi tak ubezpieczy sprawiedliwością i dobrem, że nie będzie potrzebowało na pociechę lub zemstę—zagrobowych wyroków, na zachętę lub grozę—innych światów i innych bytu warunków; wtedy nieśmiertelność duszy zatwierdzi się i wytłómaczy“. Upewnienie się więc o zagadnieniu, które w młodości najżywiéj duszę jéj zajmowało, odkładała poetka na późniéj, ale go nie rozwiązywała przecząco; była konsekwentną; wzdychała do chwili, gdy nauka, umiłowana w ostatnim okresie życia z młodzieńczą niemal gorącością wszystkie tajemnice świata rozwiąże, i gdy postęp, pod hasłem którego zawsze walczyła, wszystko złe na ziemi usunie. Z tą nadzieją, która mogła wiele cierpień osłodzić, lubo nie usunąć, zeszła Gabryela do grobu.

Piotr Chmielowski.





WSPOMNIENIA REJENTA.

Człowiek, który się różni od zwierząt rozumem i mową, jak wszyscy o tém dawno już z gramatyki Kopczyńskiego wiedzą, człowiek, który przez rozum może poznawać rzeczy i o nich rozmyślać, a przez mowę, zawsze według tejże saméj gramatyki, może objawiać innym myśli swoje, nigdy w życiu nudzić się nie powinien— a jednak ja się okropnie nudziłem dzisiaj przez cały pierwszy dzień Zielonych Świątek. Najpierwéj trzeba wiedzieć, że nie miałem koło siebie żadnéj rzeczy do poznania, bo wszystkie już znam od lat mniéj więcéj pięciu, potém nieraz choćbym też i rozmyślał o nich, to nie mogłem objawić innym myśli moich, bo nie było przy mnie nikogo. Jestem rejentem z łaski świętéj dla mnie pamięci czcigodnego pana Wo...., który mi do otrzymania téj posady wielce dopomógł, — mam około dziesięciu tysięcy na rok, pracy poddostatkiem, ale nigdy do zbytku, potrzeby ciała i duszy rozsądnie ograniczone, temperament łagodny, prowadzenie moralne i z tém wszystkiém żyję samotnie, — zdaje mi się, że głównie z niełaski panny Walentyny, która onego czasu wolała młodego aplikanta sądowego niż mnie, chociaż już byłem podpisarzem; chociaż jéj matka, jéj ciotki, jéj wuj sędziwy daleko więcéj mnie sobie życzyli— ale panna Walentyna mnie sobie nie życzyła, i poszła wkrótce za swojego aplikanta—teraz oboje są bardzo nieszczęśliwi—nie z jego, ni z jéj winy broń Boże— gdybym był najmściwszym człowiekiem, jeszcze by mi się nie godziło ich nieszczęściu urągać. Ona jest zawsze kochaną i kochającą żoną — on był i jest poczciwym chłopakiem, tego zaprzeczyć nie mogę, jakkolwiek zarozumiałość jego często mię raziła. Świeży z uniwersyteckiéj ławki teoretyk, o wszystkiém śmiało wyrokował, nas starszych rutynistami nazywał, dowo-

dził, przewodził, szydził z praktyczności na połyskliwym lodzie jego systemacików nie zbudowanéj, bądź-co-bądź jednak lepiéj się odemnie pannie Walentynie podobał — tymczasem lód stopniał, systemaciki się porozbijały, biedni ludzie z dwojgiem dzieci w świat szeroki poszli.

O panno Walentyno! szanuję cię bardzo, nie wymawiam przeszłości, lecz mimowolnie na myśl mi przychodzi, że gdybyś mieszkała w tych trzech schludnych, ciepłych, spokojnych pokoikach,— piszę w trzech—ale pewnie drugie trzy bym przynajął dla tych twoich dwojga dzieci prześlicznych — gdybyś tu więc była, gdybyś siedziała w tym samym fotelu, w którym ja siedzę, i poprawiała drewek na tym samym kominku, na którym ja całe poobiedzie, w różne jeometryczne figury tlejące głownie ustawiałem, gdyby zwłaszcza dwoje owych stworzonek psotnych i hałaśliwych kręciło się tu i owdzie, przewracało po dywanie, deptało po krzesłach i po kanapie, zaiste, meble nie tak świéżo by wyglądały i musiałbym się nieraz jakiéj nowéj książki wyrzec, żeby na inne pokrycie ich uzbierać — ale z pewnością nie nudziłbym się tak upokarzająco jak dzisiaj.

Gdziekolwiek jesteś, jeśli kiedykolwiek czytać będziesz te słowa, panno Walentyno, nie tłómacz ich sobie jednak zbyt poetycznym językiem. Miałbym za sobą prawo faktu, gdybym chciał się niezachwianą wiernością pochwalić, lecz prawo sumienia czynić mi tego nie dozwala. Wierność moja chwiała się i bardzo chwiała nawet — nigdy téż sobie i nie powiedziałem, że wiernym będę do zgonu, że miłość moja przetrwa jéj obojętność, a kiedyś podziwienie lub żal niewdzięczny wzbudzi. Przeciwnie, w pierwszych zaraz chwilach, gdy widziałem co się święci, chciałem coprędzéj klin klinem wybić; uczucie, przez które cierpiałem, zastąpić uczuciem, które by mi szczęście przyniosło—z początku nie mogłem, potém, potém byłbym mógł, nareszcie spotkałem raz i drugi ładne jak kwiatek, miłe jak koteczka dziewczątko, ale już mi się jakoś na stanowczą do oświadczenia odwagę nie zebrało. Przypuszczam, że Józię byliby mi dali, a Karolcia może sama byłaby mię wzięła — tymczasem różne rozmysły, namysły czas mitrężyły i tak z jedną jak z drugą na niczém—przepraszam—tylko na miłém wspomnieniu się skończyło.

Czy doprawdy raz w życiu jedna jedyna chwila daną jest człowiekowi na miłość, jak księżycowi jeden dzień na pełnię w miesiącu? Czy doprawdy raz w życiu kochamy całą męzką, zdobywczą siłą naszą, a późniéj gdy się ten pyszny fajerwerk na powietrzu spali, i trwałego materyału ogniem swoim nie zajmie, to kochamy słabością naszą, z potrzeby towarzyskiéj — ot tak, jak ja - bym dzi-

siaj pokochał—z nudów krótko mówiąc. Nie rozsądzam jeszcze téj sprawy, bo mogę nieznane mi akta gdzie znaleść. Bardzo dobrze wiem o tém, że mię już do niemłodych kawalerów zaliczają, ale każdy mi przyznaje, że lepiéj i czerstwiéj od wielu młodych wyglądam, sam téż niezawodnie na duszy i na ciele młodszym się czuję od tych lalek bibułowych, co dziś trzewiki zamiast butów noszą — nie mam ja piersi na miarę Fidyasza, ale mam w piersiach serce na wagę łez i szczęścia, obowiązku i sumienia. No, nie o tém chciałem pisać....

To serce moje pomimo swojéj gatunkowéj ciężkości nudziło się dzisiaj fatalnie. Już powiedziałem, co być może jako okoliczność łagodząca winę uważaném; lecz ponieważ to się raczéj do ciągu mego życia stosuje, niż do dnia dzisiejszego, a ja właśnie rzadko kiedy w ciągu życia tak się nudzę jak dzisiaj, więc czemu dzisiaj? — rozważę.

Może dla tego, że Zielone Świątki nie dotrzymały programu swego tytułu i wcale nie zielone są lecz szaro - ołowiano - brudno-popielate. Deszcz pada ciągle od wczorajszego wieczora z wytrwałą jednostajnością, równiutkiemi, drobnemi kroplami, jak gdyby kto maszyną angielską zobowiązał się pewną przestrzeń stałego lądu, niby cukru kawałek w zimnéj wodzie, rozpuścić. Wiatr nawet nie zaświszcze dla urozmaicenia téj miarowéj kapaniny. Wróble się nudzą na dachach, muchy się nudzą na ścianach, trawa się nudzi wśród błota, założyłbym się, że i słońce nudzić się musiało wśród chmur—nic więc dziwnego, że ja także; — a może nie,— czyż to ze mnie delikatna kobiétka nerwowa, żebym do tego stopnia wpływom atmosfery ulegał? dotychczas jeszcze nie czułem w sobie podobnego usposobienia. Prędzéj to będzie przyczyną, że mój kochany księżunio wyjechał na wieś do swoich znajomych i zostałem jak Robinson na bezludnéj wyspie przez Piętaszka opuszczony. Nie nazywam się w tém porównaniu Robinsonem dlatego, bym sobie jakąkolwiek umysłową, lub rasową wyższość przyznawał, ale ze względu chronologicznego. Ja pierwszy osiadłem tutaj, on zaś dopiéro w dwa lata późniéj przybył i sam Piętaszkiem się zamianował.

Bezludna wyspa, na któréj mieszkamy, jest zupełnie do małego miasteczka podobna — ze wszech stron oblana koloniami rządowych i donacyjnych włościan, bardzo nisko nad poziom granicznego morza się wzniosła, grunt jéj dziwnie téż zdradliwy i płytki, od kamienicy do kamienicy przejść nie można, żeby się o jaką grubą plotkę nie potrącić, lub w chwasty jakiéj czarniutkiéj intryżki nie wplątać, a stanąć tylko na chwilę i nie uważać na siebie, to ziarnka piasku zaczynają ci się z pod nóg usuwać, i wzbierają, wzbierają

coraz wyżéj i zasypują się coraz głębiéj i nie spostrzeżesz nawet jak z głową się zanurzysz po sam mózg w preferansie; wielkie szczęście twoje, gdy niebezpieczniejszych pokładów lancknechta, lub majorkowych buteleczek unikniesz. Nic cię już wtedy nie odratuje, żadnéj gałązki nikt ci nie poda, żebyś mógł się uchwycić czegoś, kogoś i na wierzch wydobyć. Trzeba koniecznie prewencyjnéj czujności dokładać. Pilnować się, budzić, tabaki choćby z najniedorzeczniejszéj książki zażywać, a w miejscu nie stać zbyt długo.

Oj, trudne to, trudne zadanie, wszystko stwarzać koło siebie własnym przemysłem, by się do obywania nie przyzwyczaić. Kiedy czasem obejmę myślą całość już przezwyciężonych przeszkód i niepodobieństw, kiedy się zastanowię ile brytońskiéj zaciętości, amerykańskich konceptów zużyć musiałem, nim sobie wyrobiłem niezależność czterech godzin na dobę i spokój dni świątecznych, nim zebrałem garstkę tych książek, co półeczki dwóch szafek zapełniają ledwie, nim odkryłem lub raczéj wyrąbałem drogę do świeżych literackich źródeł. Kiedy to wszystko wezmę w rachunek, to mi się aż głowa zawraca i pytam sam siebie: nie jestem li ja wielkim chociaż światu nieznanym geniuszem? Dopiéro gdy z bezludnéj wyspy mojéj do ludniejszych trochę zapłynę krajów, wszystkie te pryszcze dumy ogasają, durzeją w gwarze, ruchu, nowościach,— czuję rozpęd dziesięciu lokomotyw, widzę rozbłyski dalekich słonecznych horyzontów, słyszę sto orkiestr, liczniejszych od Bilsego orkiestry—i znowu pytam sam siebie: nie jestem li ja wielkim idyotą, choć się tego ludzie nie domyślają. Według wszelkiego podobieństwa, nie jestem ani geniuszem, ani idyotą,—najsłuszniéj pono księżunio mię nazwał, gdy się różnym wyrobom moim przypatrzył—jestem Robinsonem na bezludnéj wyspie,— a księżunio mój kochany od czasu, jak tu przybył wprost z akademii duchownéj na wikarego przy starym i bardzo już niedołężnym proboszczu—jest Piętaszkiem moim. Razem się wspieramy i spieramy, jeden drugiemu pożycza swoich książek i jeden drugiego przeciw zaspom piaskowym broni— ale to broni co się zowie, bo nie zawsze prosta czujność wystarcza, koniecznie czasem odwagi cywilnéj użyć trzeba.

Ja naprzykład spokojny dopiéro wtenczas odetchnąłem, gdy znalazłem nakoniec jakiś powód do kłótni z burmistrzem. Już chciałem dać za wygranę, tak był ciągle uprzejmy, zapraszający i nawiedzający—daj mu Boże zdrowie w jak najdłuższe lata, ma pięcioro dzieci a wśród nich dwie córki dorosłe—lecz i dwie córki dorosłe nie przemogły preferansa, nie wzniosły się wyżéj, pomimo najmodniejszéj czubiastéj fryzury, nad grę w pantofla, niewinną ciuciubabkę i zajmujące szczegóły o wszystkich kapeluszach, jakie tylko

na wielkiéj mszy niedzielnéj bywają... nie u fary, gdzie szanowny Piętaszek celebruje, ale u księży... nie powiem jakich,—gotów bym skusić czyjąś domyślność i na ślad wprowadzić—dość będzie gdy objaśnię, że bezludna wyspa do małego miasteczka podobna, przedstawia na powierzchni swojéj dwa kościoły jeden się zowie Farą—drugi jest przy klasztorze.

Przed moim jeszcze osiedleniem się w téj stronie świata i po mojém osiedleniu się fara nie była uczęszczaną, wszystkie fartuszki jedwabne i kamlotowe, wszystkie z piórkami i bez piórek kapelusiki, nawet szuby atłasowe tumakami podbite a zjawiające się niekiedy na tych brzegach od obywatelskiéj rzeszy dalekich—wszystkie czepki z wstążkami i bez wstążek cisnęły się zwykle do ławek klasztornego kościoła. Późniéj za przybyciem nowego wikarego fale się rozdwoiły, mniejsza ich połowa zaczęła farę nawiedzać, lecz to zbyt krótko trwało, trochę tylko mężczyzn i kilkanaście neutralnych parafianek osiąknęło z tego przepływu, reszta znów w poświęcone wróciła mury. Młody mój przyjaciel bardzo się tém na razie martwił, szczerze on pragnął w jak najlepszych stosunkach ze swemi owieczkami stanąć, gorliwie dopełniał wszystkich swoich obowiązków, słuchał spowiedzi przykładnie, najbiedniejszych obszarpańców pamiętam po godzinie czasem u jego konfesyonału klęczących, kazania miewał jasne, zrozumiałe, praktyczne, że choćby zaraz do domu wróciwszy, to korzystać z nich i zastosować je do bieżących spraw życia było można nie skrzywił się nigdy, o któréj bądź godzinie, do jakiego bądź chorego był wezwany, choć go wzywali sami prawie ubodzy, lub w rozsianych za miasteczkiem koloniach mieszkający chłopi; jednakże pomimo tego, szanowny Piętaszek widział, że nie ma powodzenia, kilka razy pytał mię o przyczynę, o radę—ja mu ani wytłómaczyć, ani radzić nie umiałem—istotnie mnie samemu dziwną się to i osobliwą zdawało rzeczą; ale zrobiłem, co mogłem przynajmniéj, starałem się pocieszyć i oba zrezygnowaliśmy się ostatecznie na osamotnienie nasze. Teraz tak już przywykliśmy do niego, że jeśli, który z nas przypadkiem zabłąka się w nieznane okolice, albo się łudzi nadzieją odkryć niespodzianych, wnet go drugi nawoływa, łaje i upomina.

Niby to jeszcze nie wyszło na jaw, ale w głębi serc naszych, zdaje mi się, że się lekko nawet obrażonymi czujemy, gdy jeden drugiego w domu nie zastanie; trudno sobie wyobrazić co by się stało, gdyby ten drugi bez opowiedzenia się dniem pierwéj, bez wyliczenia wszelkich usprawiedliwiających powodów cały wieczór np. u państwa burmistrzów, lub u aptekarstwa spędził—Piętaszkowi wolno tylko dla swego proboszcza się poświęcać, ale to ja tylko

przez żarty poświęceniem nazywasz, bo sam Piętaszek wcale się poświęcającym nie czuje. Na krótko właśnie przed wyjściem z akademii stracił ojca w tym samym wieku, teraz więc poczciwa dusza z całym zasobem rodzinnych wspomnień do tutejszego staruszka się przywiązała i pielęgnuje go, rozrywa, czasem nawet tak pieści, że aż patrzyć miło. Proboszcz, trochę już dziecinniejący, nie ocenia tego może według właściwéj wartości, ale używa i roskoszuje się jak kotek na słońcu; czasem téż jest do zbytku wymagający, na całe poobiedzia i wieczory konfiskuje mi wikarego, i opowiada mu bardzo długie historye; niektóre są ciekawe, bo pamięta Staszyca, Piramowicza—był w Końskowoli i u Zabłockiego, widział biednego Kniaźnina jak od rana do wieczora siedział na ławie pod drzewem, nic do nikogo nie mówiąc, ze wzrokiem w jedno i toż samo miejsce utkwionym; ale téż czasem bardzo nudnie gawędzi o całéj seryi następujących po sobie dziekanów w dekanacie, lub organistów w jego własnéj parafii. Zostawiam wtedy Piętaszka na słuchacza i nie wyrzucam mu późniéj, że mi się przeniewierza—ale niechby tylko spróbował innéj rozrywki. On téż nawzajem pobłaża mi, gdy pójdę czasem konsyliarza naszego odwiedzić—bo i to w rodzaju jego proboszcza egzemplarz, musiał co najmniéj o parę już latek siedemdziesiątkę przeskoczyć, ale jest dotknięty gorszą niż proboszcz słabością—ma żonę—znacznie młodszą od siebie żonę: pięćdziesięcioletnia, czerstwa, tęga kobieta, zawołana gospodyni i zagorzała dewotka. W odwiedzinach moich tak manewruję, żeby się z nią nigdy nie spotykać. Wikary żartuje ze mnie, że to dla tego, iż się lękam, by mię nie nawróciła a ja powiadam, że się lękam raczéj, by mię nie wybiła kiedy; lecz bądź co bądź, mam upoważnienie na doktora, on ma upoważnienie na proboszcza, a przeciw innym wzajemnie sobie stoimy na straży.

Dzisiaj, na moje nieszczęście, przyjechali do swoich krewnych w okolicę jacyś krewni jego krewnych, czy znajomi tylko ze stron rodzinnych, czy inne licho jakieś, nie wiem—ale wiem, że go po mszy z wielkiemi demonstracyami radości witało z pół tuzina pań kapeluszowych i ze dwie pary niedźwiedzich... kołnierzy; musiał dać się im uwieść na resztę dnia o półtory mili za miasto, za lasy i bory—ledwo tyle mu czasu zostawili, że mię za rękę ścisnął i powiedział „Bądź zdrów, bądź zdrów mój drogi, jak wrócę, wszystko ci wytłómaczę, ale teraz nie mogę, biegnę do klasztoru, o zastępcę na jutro prosić“. I pobiegł i nie wrócił, i widać, że go przez dzień jutrzejszy także nie zobaczę.

Ciekawy jestem, co to za państwo? co to za stosunki? o ile sobie przypominam nasze rozmowy, nic wywnioskować nie mogę.

Prawda, żeśmy też sobie nie wiele osobistych poudzielali szczegółów. Chciałbym wiedzieć, czy dwie kobiéty potrafiłyby żyć z sobą przez trzy lata w przyjaźni, widywać się czasem po dwa razy na dzień i nie opowiedzićć sobie wzajemnie wszystkiego co wiedzą i czego nie wiedzą o najbliższym ich światku—a przecież my z wikarym jesteśmy bardzo szczerzy, nie mamy żadnéj przed sobą tajemnicy intencyonalnie—*de facto* jednak, spostrzegam się w téj chwili dopiero, bardzo mało o sobie wiemy. Nie pamiętam nawet, czy mu kiedykolwiek o pannie Walentynie wspominałem, nie było by to ani przykrém, ani drażliwém, ani upakarzającém dla mnie, nie jest wcale a wcale sekretem mego życia, tylko, ot tak—nie wpadliśmy na ten przedmiot. Może, gdyby księżunio mój nie był mię dzisiaj opuścił, ja sam także nie znalazł bym go tak na podorędziu w komórkach mózgowych.

Oj—wyraźnie księżunio winien, że się zaawanturowałem w pół żale, a w pół marzenia—księżunio winien, że się nudziłem—księżunio winien—że piszę. Tak jest—z nudów zacząłem pisać—ściśléj mówiąc, nie wprost pisać zacząłem, ale przynajmniéj na pisaniu skończyłem. Zacząłem, co prawda, od czytania—utrapienie mićć chciało, że mię świeży transport książek nie doszedł i musiałem wziąć się do jednéj ze starych—pokazało się, że jeszcze doskonałe ją pamiętam, więc nie mogła uwagi przygwoździć, cisnąłem na stół, odepchnąłem wszystko co bliżéj leżało, i chciałem przed sobą tytuń do robienia papierosów rozsypać, ale niecierpliwe moje poruszenie zrzuciło na podłogę album z fotografiami.

— Ha! pójdźcie tu fotografie—na cóż wy się przydacie, jeśli nie potraficie właśnie dnia słotnego rozpogodzić. a tęschnéj samotnéj godziny zaludnić?.. Pójdźcie tu do mnie wszystkie cienie ukochanych—no, i nie ukochanych także, bo mam przecię królowę Wiktoryą z księciem Albertem, i królowę neapolitańską, i Abdul Medżyda, których nie kocham zaiste. Ale pójdźcie wszyscy. — Więc przyszli wszyscy—ja się im przypatrywałem, robiłem nad nimi różne spostrzeżenia, wreszcie myśl mi zabłysła, żeby każdy wizerunek imieniem i nazwiskiem podpisać, a imię i nazwisko po drugiéj stronie ważniejszemi szczegółami biograficznemi objaśnić. Głównie do wykonania tego zamiaru wzgląd na drogiego Piętaszka mię skłaniał. Okropnie jest roztargniony—już ze trzydzieści razy moję kolekcyą od pierwszéj do ostatniéj stronnicy przeglądał—a jeszcze nie daléj jak wczoraj otworzywszy machinalnie ze środka—„Kto to to jest“ pytał mię jak najspokojniéj, niby o coś zupełnie nieznanego—ledwo się nie zniecierpliwiłem.—Żeby więc téj ostateczności uniknąć, zabrałem się natychmiast do kładzenia podpisów. Najpierwéj umie-

ściłem je pod całą seryą familijną: sióstr, braci, szwagrów, bratowych, siostrzenic i siostrzeńców, wujów i ciotek, kuzynków i kuzynek, — a po nich pierwszą twarzą, która seryą przyjaciół rozpoczynała, była twarz Feliksa. Dłużéj mi się na niéj wzrok zatrzymał i wolniéj, staranniéj, ozdobniéj prawie pióro u spodu nakreśliło:

Feliks Królewski.

Na odwrotnéj stronie zacząłem biograficzną notatkę; chciałem najważniejszemi tylko ograniczyć się faktami, lecz w naszych stosunkach tyle było najważniejszych, że końca kartki dobiegłem, a jeszcze i połowy nie zamieściłem tego, co mi się zdawało najważniejsze. Wtém nowy pomysł elektryczną iskrą przez czoło mignął, — gdyby to lepiéj biografią całą ułożyć osobno! gdyby pamiętnik o Feliksie, a gdyby późniéj o innych, nie wszystkich, to za wiele, o kilku wybranych przynajmniéj i dać na surpryzę księżuniowi do czytania! jakże by on się cieszył z tego — ha! może nie sam księżunio tylko.

Przypuściwszy, że jemu się spodoba, czemuż by innym spodobać się nie miało—zatarłbym tylko zbyt wyraźne wskazówki. Wziąłbym z każdéj osobistości jéj stronę więcéj do ogółu przypadającą, czy jako losu ciekawe dziwactwo, czy jako psychologiczną niezwyczajność, czy jako wzór moralny, czy jako przestrogę moralną. Wszakże mam dosyć czasu — może nie mam talentu — z pewnością nawet nie mam talentu. Lecz mam za sobą prawdę i wielką sumienność, a nie mam żadnéj pretensyi autorskiéj... Wszelako... jeśli moje sprawozdanie o fotografiach wydrukują?... jeśli wydrukują to, co ja napiszę. Więc naturalnie będę autorem. Nie, nie będę autorem, perswadowałem sam sobie. Autorem jest ten, co czerpie we własnéj wyobraźni i co stawia sądy własnego rozumu — będę pisał z pamięci tylko. No, dobrze, ale czyż się ustrzegę, żeby czasem, choćby najrzadziéj, sądu własnego rozumu nie stawić obok pamięciowych szczegółów,—jeśli postawię? więc znów będę autorem, autorem bez talentu. Zastanów się nad tém panie Józefie. Pan Józef, jakkolwiek jest rejentem, nie zastanowił się wcale, tylko zaczął się śmiać z siebie, że troszczy się tém, co może nigdy nie nastąpić, jak owo małżeństwo bezdzietne, które podobno raz tylko w życiu się pokłóciło i to właśnie o wychowanie odmówionych sobie przez Pana Boga dzieci. Co mi tam myślić, czy będę, czy nie będę autorem, jeszcze wikary pierwszéj próby nie przeczytał, więc w obecnéj chwili dla siebie jedynie i dla niego piszę — wbrew nawet pierwotnemu założeniu, rzecz o Feliksie nie od daty jego urodzenia, ale od epoki, w któréj go poznałem, zaczynam.

Była to dla mnie bardzo smutna epoka, a dzień spotkania, pierwszym złym dniem z wielu gorszych, co mię w przyszłości czekały. Piastowałem już wówczas zaszczytną dla dwudziesto-ośmioletniego młodzieńca godność podpisarza przy sądzie pokoju—w jakiém mieście? — powiem to ustnie wikaremu, jeśli mię zapyta. Wkrótce po obiedzie, co się miało nazywać przed wieczorem, zaszedłem do pani Łucz..., matki panny Walentyny i dwóch innych córek,—wszyscy mię tam zawsze tak serdecznie witali, że nie miałem sposobności rozpoznać, o ile przywitanie panny Walentyny na wyższy, lub niższy ton od ogółu nastrojone było. W tym dniu pamiętnym, gdy się zbliżałem do zamkniętych drzwi bawialnego pokoju, mimowolnie uderzyły moje ucho podniesionym trochę głosem wymawiane słowa. Rozróżniłem coś nakształt łającego akcentu, potém śmiech pusty, a potém dźwięk zawsze dla mnie najmilszy, więc i najłatwiejszy do pochwycenia także.

— Niech Manię albo Tolę weźmie — ja.... dalszy ciąg wejście moje przerwało.

Zastałem panią Łucz... mocno zarumienioną, z opuszczonemi na kolana rękami, siedziała w dużym krześle koło stołu, i pewnie przed chwilą, póki jéj ręce na kolana nie opadły, szyła jakąś bieliznę, bo dużo płótna przed nią leżało i stał otwarty neseserek.

Godzi się wspomnieć nawiasem, że pani Łucz... wdowa po urzędniku, na całe utrzymanie miała tylko kilka tysięcy emerytury, procent od maleńkiego kapitaliku, który niegdyś posagiem wniosła mężowi i zabieżność, pracowitość, skrzętność niezrównaną.

Obok pani Łucz..., tuż pod łokciem prawie, zwieszała się na poręczy dziesięcioletnia Antolka, zwykle Tolą zwana, figlarny i przebiegły szpaczek, z którym wszelkiemi sposobami starałem się dobrą zgodę zachować. Naprzeciwko siedziała panna Maryanna, średnia wiekiem, między siostrami najpoważniejsza ze wszystkich, matka chwaliła każdemu jéj rozsądek, lecz mnie się po prostu apatyczną zdawała tylko. Panny Walentyny nie było przy stoliku, stała w oknie, i z nadzwyczajnym pośpiechem obrywała listki żółkniejące na doniczkowych roślinach. Gdy się ukazałem, szarpnęła tak silnie jakąś gałązkę laku, że jéj z kwitnącym swoim czubkiem w ręku została. Nie pamiętam, ale zdaje mi się, że na mój ukłon kiwnięciem głowy nie odpowiedziała nawet i co prędzéj wybiegła z pokoju.

Coś mię w sercu piknęło — nie miałem jednak czasu zastanawiać się nad zdarzeniem i wrażeniem, bo pani Łucz... wstała natychmiast z krzesła, kilka kroków postąpiła na moje spotkanie i tak serdecznie rękę mi podała, tak serdecznie pytać zaczęła o ból

głowy, który mi dosyć mocno dniem pierwéj dokuczał, że jeśli się czém zmieszałem, to raczéj tą jéj uprzejmością niezwykłą więcéj, niż szybkiem zniknięciem panny Walentyny. I Marynia i Tola przyjęły mię także bardzo życzliwie. Tola nawet od tego zaczęła, że muszę w ciągu tygodnia znaleść sobie czas wolny i od rana zaraz pójść z niemi wszystkiemi na daleką za miasto wycieczkę.

Słowem cudna pogoda świeciła na mojém niebie, tylko słońce jeszcze nie wschodziło. Panna Walentyna jak się nie ukazywała, tak się nie ukazywała. Tymczasem nadciągnęła chmura — wszedł młody aplikant — zawsze miałem złe przeczucie do tego człowieka, dziwiło mię po co on tak często prawie jak i ja przychodzi, a tém bardziéj miałem prawo się dziwić, bo pani Łucz... ledwo że bardzo zimną grzeczność mu okazywała, — panienki prawie z nim nie rozmawiały. Tego dnia szczególniéj powitanie mogło być dla niego zniechęcające, jakby na umówionego, wszyscyśmy nagle przerwali rozmowę i głębokie milczenie lodowym wałem otoczyło nowo przybyłego.

Taki byłem niegodziwy, że się wcale a wcale nie rozrzewniłem jego położeniem, bodaj nawet czy mi uśmiech po twarzy nie przeciągnął, gdy zobaczyłem, jak lekko najpierwéj skóra policzków zadrzała mu i zbladła, a potém gwałtownym okryła się rumieńcem. Przez pół minuty może i on milczał, lecz gdy się odezwał głos jego, był zupełnie pewny, czysty, dobitny.

— Czy panie słyszały o dzisiejszym wypadku? — i najspokojniéj zaczął opowiadać jakiś wypadek, który się w mieście zdarzył— konie rozbiegane, powóz połamany, coś w tym rodzaju; nim skończył, uśmiech znikł z mojéj twarzy, i pewnie ta grzeszna twarz na półłokcia się wyciągnęła, gdyż jakby muzyką jaką zwabiona panna Walentyna wsunęła się do pokoju cichuteczko, a gdy gość ją głębokim czcił pokłonem, ona takiemi oczami w jego oczy spojrzała, że mię po całém ciele mrowie przeszło. Natychmiast zaczęła pytać o niedosłyszany początek historyi, rozbiegane konie, czy tam połamane koła, tak ją zajęły, że chyba więcéj niż Hamlet Szekspirowski, którego jednak z takim wzruszeniem czytałem jéj na miesiąc przed ukazaniem się fatalnego aplikanta!...

Upokorzony się czułem taką płytkością towarzyskiéj gawędki, a nadewszystko tém, że panna Walentyna, owa panna Walentyna, którą tak wysoko postawiłem w moim szacunku, zdolna jest na podobieństwo innych poziomych śmiertelniczek i lalek salonowych, bawić się lada jaką anegdotką kuryerkową, słuchać niby czegoś osobliwszego, najpospolitszych nowinek i w przydatku jeszcze patrzyć na mówiącego tym wzrokiem, ach! tym wzrokiem!... Próbo-

wałem na siebie go zwrócić — rzuciłem w sam środek dyalogu jakiś inny przedmiot: wzmiankę o nowym tomie historyi Moraczewskiego.

Panna Maryanna podniosła ją tylko i pani Łucz... chociaż z natury swojéj dość obojętna na kwestye literackie, niespodzianie tą razą żywo się nią zainteresowała, lecz dyalogujący na boku jak gdyby nie słyszeli, ciągle ich jeszcze niebezpieczeństwo jadących państwa pod dramatycznem wrażeniem trzymało. Zdobyłem się na drugą porcyą zaczepnéj odwagi i wprost zwracając się do panny Walentyny.

— Czy pani by sobie życzyła przeczytać...—pytałem.

— Co takiego? — odpytała nawzajem.

— Pan Józef mówił o Moraczewskim — z przyciskiem wtrąciła matka.

— Nie słyszałam—odparła bardzo stanowczym i dziwnie ostro wyciągniętym tonikiem.

— Gdyby pani sobie życzyła przeczytać? — znów się odezwałem, a serce mi biło: puk, puk, jak u kurczęcia.

— Bardzo dziękuję, nie będę miała czasu.

— Ale Marynia pewnie będzie miała czas przeczytać coś tak pięknego o dawnych dziejach naszych—przerwała jéj pani Łucz...— Niechaj nam pan przyniesie, zawsze jestem bardzo szczęśliwa, kiedy moim dziewczętom zdarzy się dobrą historyczną książkę przeczytać. Na wiersze, na powieści to mi czasu żal, — nieraz i pogderam trochę, kiedy mi się panienki z szyciem lub uprzątaniem dla Krasińskiego, czy podobno Krasickiego opóźnią, lecz gdy o historyą chodzi, to jestem bardzo wyrozumiała.

I poczciwa pani Łucz... przyrzekała mi dozgonną wdzięczność za nowy tom Moraczewskiego, i jéj Marynia podsunęła innego historyka nazwisko do nowéj rozprawy, i wzmogłem się na jakieś bardzo uczone dowodzenie, ale czułem, że myśl na bok odbiega, że sama coraz ciekawszą się staje dalszego ciągu historyi— nie dziejopisów naszych niestety, jeno owych kół i koni rozbieganych, — acz zwolna, zwolna słowa mi się wyczerpały i zapadłem w niespokojne, cięższe od smutku znużenie. Miałem niby poczucie jakiegoś towarzyskiego obowiązku i co chwila przypominałem sobie, że trzeba się z czém odezwać, a jak się odezwałam, to własny głos mi wracał do ucha, prawdziwie dyabelskim akcentem przedrzeźniony.

Szczęście tylko moje, że jestem bardzo logicznym człowiekiem.—„Coś ci tu dzisiaj źle siedzieć mój chłopcze, nikt cię do siedzenia nie przymusza, więc wstań i idź precz",—taki, nie gładki mo-

że, choć bardzo uzasadniony sylogizm ostatecznie sobie w głowie mojéj ułożyłem pierwéj jeszcze niż do herbaty szykować zaczęto. Natychmiast wprowadziłem go w wykonanie. Pani Łucz. koniecznie chciała mię zatrzymać—Tola przechowała mi kapelusz, Marynia nawet dorzuciła słówko prośby a panna Walentyna?—nic. Panna Walentyna w najlepsze sobie z aplikantem szczebiotała—dopiero kiedy wprost do niéj życzenie dobréj nocy zwróciłem.

— Jakto pan—już odchodzi? rzekła oczywiście zadziwiona i co prędzéj bardzo—mogę powiedzieć—tkliwie, serdecznie, słodko—dodała podając mi rękę — dobréj nocy, dobréj nocy panie Józefie.

Mój Boże, co ja sobie głowy nałamałem, żeby zrozumiéć, żeby wytłómaczyć sobie owo jéj przyjęcie uchybiająco niegrzeczne prawie, a owo jéj pożegnanie tak wdzięczne i miłe. Ile razy czytam dzisiaj w gazetach głębokie rozprawy nad mową tronową cesarza Napoleona, tyle razy przypomina mi się jak dnia tego, wróciwszy do domu, siadłem przed mojem biurkiem i cisnąc czoło obiema rękami. „Co to być może? co to być może? rozmyślałem głęboko—ucieka z pokoju, gdy ja wchodzę—wdzięczy się do tego młokosa, jak gdyby mu się pierwsza oświadczyć chciała, a jednak kiedy ją żegnam, niespodzianie głos jéj łagodnieje i dziwi się: Jak to? Pan już odchodzi?—J a k t o? wyraźnie dla tego powiedziała j a k t o—że jéj przez myśl nawet nie przeszło bym tak prędko mógł się oddalić—zaufała długości codziennych odwiedzin—jest mnie pewną, wierzy we mnie—należę do rodzinnego jéj kółka—tamten jest gościem, musiała go bawić, a po jego wyjściu może chciała mi co powiedziéć. P a n j u ż o d c h o d z i. Widać żal jéj się zrobiło—j u ż to ma być: zaprędko, zawcześnie, zostań jeszcze. J u ż powiedziała ze szczególniejszym naciskiem—chciała żebym odróżnił ten wyraz od innych powszednich wyrazów—darowywała mi go osobno, ale czemuż pierwéj tak się zachwyciła ową nowiną uliczną—i tak patrzyła w oczy temu... ha! słyszałem i czytałem, że kobiety bardzo lubią czasem władzy swojéj doświadczać, że umyślnie zazdrość rozbudzają—może ona próbowała czy zazdrosnym będę? może nie jest zupełnie o miłości mojéj przekonaną? wszakże jéj nigdy wyraźnie nie powiedziałem: „kocham cię Walentyno.“ Więc chce mię doświadczyć, chce przymusić, bym wyrzekł i dał jéj prawo uznania się moją na zawsze.

Komentarz tego rodzaju w nadzwyczaj piękną harmonią się układał ze wszystkiemi pragnieniami méj duszy; ale choć długo jeszcze potém zdrowie rozsądku zatruwał i trafność wzroku mącił, nie mógł jednakże mię zaspokoić, ani z doznanych wrażeń otrzą-

snąć. Siedziałem ciągle z łokciami na stole opartemi, z twarzą w obu dłoniach ukrytą, a kiedy niekiedy lekki dreszcz mię przebiegał i myślałem sobie, że pewno febry dostanę, albo wybiegnę na miasto i gdziekolwiek go spotkam, tego impertynenta, tego zuchwalca, tego rozbójnika aplikanta—na kwaśne jabłko go zbiję.

Ja, co miałem być rejentem—ja z mojém łagodném i poważném usposobieniem, lubować się tą myślą, że trzymam kogoś za gardło i kolanami pierś mu rozgniatam—juścić nie co innego, tylko miałem napad gorączki, pierwszy i ostatni z podobnemi symptomami. Wstydziłem się go przez długi czas wobec własnego sumienia, szczególniéj kiedy nie zadługo jakoś wypadła mi do zreferowania sprawa pana Marcina przeciw panu Wojciechowi, o pobicie, nadwyrężenie zdrowia i członków, pozbawienie możności zarobkowania, to się tak zaczerwieniłem, że mię aż jeden z kolegów pytał: czy nie mam skłonności do apopleksyi.

To wszystko na wstępie przytaczam, żeby lepiéj dać zrozumiéć księżuniowi, w jakim dnia tego wyjątkowym byłem stanie i humorze, jakiem wulkanicznym wstrząśnieniom ulegała moja cicha natura. Gdyby anioł z nieba zstąpił wtenczas do mnie na wizytę, nie jestem pewny, czy bym go z bardzo wdzięczną przyjął pobożnością. Można sobie łatwo wyobrazić o ile byłem usposobiony do przyjęcia człowieka.

Tymczasem, gdy ja tak biję się w myślach i z myślami, gdy mi pod kamizelką coraz goręcéj, a na skórze coraz zimniéj zaczyna się robić, drzwi od pokoju lekko się otwierają... słyszę stąpnięcie męskiego kroku.

— Nie wiem, kto przyszedł—myślę sobie, ale kto bądź on jest, niech sobie idzie do dyabła i nie przeszkadza mi tutaj—udaję przeto śpiącego, nie podnoszę głowy.

— Czy z panem Józefem Kownackim mam przyjemność mówić—odezwał się półgłos dyskretny, niby trochę stłumiony.

Zła sprawa—trzeba koniecznie dać się zbudzić, nie czekając aż mię za rękaw pociągną. Odsłaniam przeto ręce, podnoszę głowę i patrzę.

Przedemną stał szczupły, średniego wzrostu młody człowiek, w czarnym tużurku, w popielatych rękawiczkach, z kapeluszem grzecznie do kolan spuszczonym.

Dziś jeszcze nie umiem sobie wytłómaczyć, co ja nagle uczułem po tém pierwszem spojrzeniu; wnioskuję wszelako, że to musiało być trochę podobne do uczucia próżnego dorobkowicza, gdy go w podartym szlafroku przy pracy zejdzie niespodzianie jakiś jaśnie wielmożny, lub jaśnie oświecony pan z panów. Nie wiem, nie

byłem dorobkiewiczem i nie przyjmowałem nigdy jaśnie wielmożnych, ani jaśnie oświeconych, lecz wiem, że mnie w téj chwili odstąpiło wszelkie niecierpliwe rozdrażnienie, a to, czego doznałem, zawstydzeniem się, francuskiém zażenowaniem prędzéj niż czém inném nazwać można, wzmogło się to jeszcze, gdym spostrzegł w czasie mojéj odpowiedzi wzrok pytającego, spokojnie lecz badawczo utkwiony we mnie. Najmniejszym gestem wyzywającym, najlżejszém drgnięciem muskułu twarz jego nie uchybiła przyzwoitéj względności pierwszego powitania, ale oczy wyraźnie chciały mi się przypatrzyć i takiém stanowczém spojrzeniem o moje własne uderzyły, że je zatrzymały w nieruchomości swego promienia.

Wszystko to może parę sekund trwało, gdy poświadczyłem moją tożsamość, uchylił głowy niby na podziękowanie i sięgnął do kieszeni po pugilares.

— Przybywam tu z listem od dobrego znajomego pana—rzekł wtedy, szukając po przegródkach wśród mnóstwa nagromadzonych notatek.

W miarę, jak się wyzwalałem z pierwotnego wrażenia, wydobywało się na wierzch gorzkie poprzedniéj medytacyi usposobienie.

— Pokazuje się, że mam dobrych znajomych na świecie, doprawdy, nie wiedziałem o tém,—i starałem się mówić wolno, obojętnie, z wyborném naśladowaniem moralnego akcentu Anglików.

Nieznajomy mimo ucha puścił rzucony sarkazm, ale nie śpieszył się z szukaniem listu, a gdy go znalazł nakoniec, tak powoli rękę z nim wyciągał, jak gdyby się namyślał. Jego milczenie, jego ruchy wytworne mimowolnie mi imponowały. Musiałem być dla niego grzeczny, *volens nolens*.

— Proszę siedziéć — rzekłem wskazując na mój własny przed chwilą opuszczony fotel — a sam wziąłem się do zapalania świécy, bo chociaż jeszcze dość było widno, żeby sobie zbliska w oczy patrzyć, nie wystarczało jednak światła do prędkiego odczytania drobnych hieroglifów pewnego kolegi, którego kocią łapkę na podpisie zaraz poznałem.

List a raczéj kartka następującéj była treści :

„Jedzie do was Feliks Królewski — luminarz uniwersytetu ***. Starajże się najpierwéj, żebyś przed nim godność naszych świętéj pamięci prawnych kursów utrzymał i żebyś mu się zawojować nie dał, bo ze mną to już poszło *ad acta* — należę do pobitych i rozkochanych. Zrób dla niego wszystko, czego od ciebie zażąda — odpowiédz mu na wszystko, o co cię pytać będzie i pytaj sam, a dowiész się wielu ciekawych rzeczy, nie wyłączając téj nawet, że jestem twoim najżyczliwszym —“

Zdrętwiałem. Feliks Królewski był z tego samego uniwersytetu co mój prześladowca i trzebaż właśnie, żeby na jego imię, a na moję uczynność, jeśli nie coś ważniejszego nawet, tak nieuchylony wystawiono weksel!

— A więc — odezwałem się po chwili, zwijając i rozwijając kłopotliwie przeczytaną ćwiartkę papieru — Adolf mi dał trzy polecenia względem pana: żebym zrobił dla niego wszystko, czego zażąda; żebym odpowiedział na wszystko, o co zapyta, i pytał o co zechcę.

Feliks pierwszy raz wtedy uśmiechnął się trochę, — zazwyczaj ludzie znajomi czy nieznajomi, a jeszcze więcéj nieznajomi podobno, gdy im wypadnie ukłonić się lub zagadać znienacka do kogoś, mają zawsze stereotypowy uśmiech na pogotowiu, ja sam nie mogę się od tego odzwyczaić, choć sobie wyrozumowałem, że mój uśmiech nie ma najmniejszego sensu, gdy pytam np. jakiéj damy w wagonie: czy pani dym cygara nie szkodzi?—lub przed wejściem do wagonu jakiego jegomościa w potężnym futrze: czy jest miejsce na jedną osobę?... Nic w tém ani śmiesznego ani serdecznego nie ma, — ja się przecież zawsze uśmiechnąć muszę i tak wszyscy prawie bliźni moi czynią.

Otóż Feliks tylko wolnym był od tego narowu. W dalszych naszych stosunkach mogłem się o tém przekonać. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek bez przyczyny, przez grzeczność, lub ze zwyczaju uśmiechnął; dla tego może każdy jego uśmiech miał taką wartość wysoką, rzeczywistą; dla tego czynił takie jasne i głębokie wrażenie. „On się nie umie śmiać ani weselem, ani pustotą, ani żartem, ani szczęściem nawet,—powiedziała o nim jedna kobiéta,—on się zawsze dobrocią śmieje, a dobry jest, jak gdyby kochał.“ Pewnobym sam własnym dowcipem nie sformułowal tych subtelności, ala gdy mi je w ten sposób określono, przypomniałem sobie, że istotnie pierwszy jego uśmiech odrazu na mnie podziałał jak wpływ dobroci, a później dobroć jego tak ciągle była do ukochania podobna, że rozróżnić nie umiałem nigdy i dzisiaj z pewnością nie potrafiłbym jeszcze zawyrokować, czy mię bardzo kochał, czy tylko bardzo dobrym był dla mnie. Wolę wierzyć, że mię kochał. Niezawodnie mię kochał, bo z innemi daleko czasem bywał lepszy, ale ze mną najbliższym zawsze pozostał. Ma się rozumiéć, żeśmy z sobą nie przerozumowali tych kwestyi. wzajemny nasz stosunek rozwinął się bez oświadczyn żadnych.

Gdyby tak można niewieście serce pozyskać — nie oświadczać się, a kochać i być kochanym i ożenić się, wreszcie byle się nie oświadczać, nic oświadczać.... brbrbr— zaraz mi się uprzytomnia ta

chwila nieszczęsna, w któréj panna Walentyna... lecz nie o pannie Walentynie pisać miałem, tylko o Feliksie.

Czy to przy świetle uśmiechu, czy po prostu przy zapalonéj świécy, lepiéj mogłem mu się przypatrzyć. Pomimo zaproszenia nie usiadł jeszcze, tylko się wsparł o tył fotelu i zdawał się daléj prowadzić zaczęte przy powitaniu studyum mojéj twarzy; późniéj, gdyśmy już na stopie zupełnéj szczerości stanęli, przyznał mi się, że istotnie miał potrzebę prędkie i stanowcze zdanie utworzyć sobie o mnie, a wierzył bardzo w trafność pierwszego swego spojrzenia, otóż to spojrzenie przedstawiło mu podobno taką smutną fizyonomią, że natychmiast coś go pociągnęło w moję stronę, był albowiem tego przekonania, iż się źli ludzie nigdy nie smucą. Mogą się nudzić, gniewać i cierpiéć, ale smucić się nie mogą; gdy zaś przyznałem się mu z wielką pokorą, że właśnie w owéj chwili nie smutek, lecz gniew okropny w sobie czułem.

— Ot, przechwalasz się — zażartował z tą swoją bez śmiechu wesołością. Chciałeś dusić i zabijać, a łzy ci w oczach stały. Radzę ci, nie gniewaj się na nikogo, bo masz gniew bardzo smutny dla siebie.

Co do jego własnéj twarzy, to mi trudną bardzo do rozwiązania przedstawiła zagadkę. Szczegółowe jéj rysy były niby zupełnie pospolite, zdawać się mogło, że ich pamięć długo nie przechowa, a jednak sam na sobie doświadczyłem, że się łatwo przypominały gatunkiem wywartego wrażenia. Ile razy wróciło mi poczucie jakiéjś złotéj kropli oliwy, łagodzącéj moje samarytańskie rozjątrzone rany, tyle razy widziałem go przed sobą, jak wtedy stojącego przy fotelu i może wyraźniéj jeszcze niż wtedy, rozeznawałem okrągły trochę obwód policzków, kościstą, lekko wystającą brodę, nos prawdziwie *sui generis*, niekształtny, dosyć gruby, ale w takich łaskach u Wawrzonka będący, że nigdy brzydkim nazywać nie pozwolił.

Trzeba zaś wiedziéć, że nasz wspólny znajomy Wawrzonek, od święta Wawrzynkiem mianowany, zakrawał na malarza, zbierał piękniejsze widoki krajowe i był aż w Tatrach piechotą. Ten więc Apellesik kochany utrzymywał, że nos Feliksa jest czysto słowiańskiego typu. Odważyłem się wprawdzie nasunąć tę małą uwagę, że typ słowiański nie musi jeszcze być co się nazywa poprawnym typem, lecz mię zgromił surowo i kazał dobrze się przypatrywać wszystkim, których spotkam druciarzom. Z czego Feliks okazał się nadzwyczaj zadowolony i kilka razy potém przy zdarzonéj sposobności wspominał, że dwudziestego piątego roku swego życia miał tylko organ powonienia, wdychania i wydychania powietrza,

w dwudziestym piątym dopiéro z łaski Wawrzonka zaczął miéć nos druciarski. Jakkolwiek przy dość śniadéj cerze nos druciarski nawet nie byłby wymagań innego artysty zadowolił, to przecież najwybredniejszy portrecista musiałby przyznać, że usta Feliks miał prześliczne—usta i ząbki, choćby panience pożyczyć, a pewnie podziękuje. Miał téż pięknie zarysowane, otwarte, nad brwiamy mocno wystające czoło, skład czaszki wogóle na przód podany i w górę rozwinięty. Adepci frenologii utrzymywali, że miał guzy idealizmu i poezyi, lecz on sam nie uznawał w sobie tych zdolności, nie dla tego by je lekceważył, jak to czyniło wielu rówieśników, i owszem zawsze mówił, że gdyby mu było danem żyć w starożytnéj Grecyi, to byłby sobie wybrał albo los mityczny Homera, albo historyczną postać Sokratesa. Pieśń sławną, która największą nędzę i tułactwo w zachwycie znicestwić może. Prawdę nową, tak świętą, że dla niéj umrzéć warto.

Bliżéj mu jednak Sokratesa niż Homera było. Próżno go nieraz na inkwizycyą brałem, nigdy wypośrodkować nie mogłem, czy chociaż jednę odę lub elegią w życiu swojém napisał,— zawsze mię w pole przypuszczeń wyprowadził i na rozdrożu zostawił. „Był czas, w którym bardzo dużo wierszy pisałem, całe stosy kajetów, Wallenrod, Grażyna, Zamek Kaniowski, wszystko to było od pierwszéj do ostatniéj literki moją własną ręką.... przepisane."

— Ale ja pytam, powiedz mi, mój poczciwy, mój drogi, — ja pytam, czy kiedykolwiek w życiu ty sam wiersze komponowałeś.

— Na co ci ta ciekawość? — ot zmówmy pacierze.

— Ciekawość najpierwéj frenologiczna.

— Frenologia nie ma żadnéj zasady naukowéj i prawdziwi fizyologowie oddawna już systemat Galla rozbili.

— Co mi do tego, ja się chcę na własnych spostrzeżeniach przekonywać, a mam też i drugi powód: chcę zmiarkować, czy gorączka poetycka jest tak nieuniknioną dla normalnie rozwijającego się umysłu, jak odra i szkarlatyna, lub wyrzynanie się zębów dla ciała.

— To mi się zdaje przynajmniéj, że jest równie potrzebną i użyteczną, bo stanowi ujście niejako dla szumowin fermentującéj fantazyi, zmusza ją do określenia się, do zrobienia z siebie czegokolwiek; choćby to było najnieudolniejsze, ale jest zawsze wyrazem, jest atramentem, papierem i ruchem ręki. Gorzéj i niebezpieczniéj bywa, gdy się w marzenia zakwasi: z marzeń rodzą się chętki, z chętek próby, z prób nałogi. Założyłbym się, że przynajmniéj połowa złodziei, pijaków, graczy i kawalerów orderu świętego Łazarza, była w pierwszéj młodości swojéj chora fantazyą,

która się na wierzch wierszami nie wysypała i w środek, jak to mówią; weszła. Nie wynika ztąd, by każdy wierszopis był Bayardem; jeśli wysypka po dziewięciu dniach nie znika, a mania rymowania jeśli przed dziewiętnastym rokiem nie ustępuje, to znowu niebezpieczeństwa grożą.

— A zatém pisałeś wiersze.

— Przepraszam, mówiliśmy o normalném rozwijaniu się umysłu ludzkiego, mój zaś umysł rozwinął się wcale nie normalnie.

— Więc nie pisałeś?

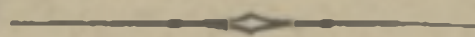
— Zaczekaj, przypomnę sobie. Zdaje mi się, że kiedy bywałem u rodziców jednego z moich gimnazyalnych kolegów, tośmy często grywali w sekretarza i pewnie wtedy musiałem jakie wiersze napisać.

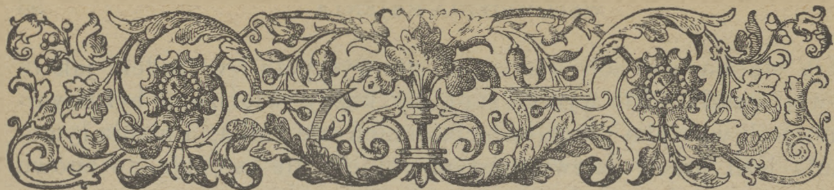
Innéj odpowiedzi nie mogłem z niego wycisnąć. Spostrzeżenie frenologiczne zostało bez dowodu. Dla mnie jednak z pod téj czaszki i z pod tego czoła raz poraz jakieś płomyki przeświecały; nie mam prawa poezyą ich nazywać, ale przynajmniéj były to bardzo zpoetyzowane realizmy.

Zdziwisz się może, kochany księże wikary, że ci taką długą gawędą uzupełniam ten fotogram, który możesz przecie wziąć do rąk własnych i własnemi widziéć oczyma. Wtém boć téż przyczyna tkwi. Weźmiesz, obejrzysz i będziesz mniemał zapewne, że już masz dokładne wyobrażenie osoby, a jak ci powiem jeszcze, że włosy były ciemno-kasztanowego koloru, a oczy jasno siwe, to nie przypuścisz nawet, by można co więcéj o powierzchowności człowieka wiedziéć. Tymczasem, Piętaszku mój jedyny, skóra węża nie jest zmienniejszą, ani blask dyamentu trudniejszy do pochwycenia, jak oblicze niektórych ludzi. Znaliśmy się późniéj przez całe lata z Feliksem i mieszkaliśmy z sobą czas jakiś i mogłem się go napatrzyć do woli, a jednak zacząwszy od tych wyrazów: „Czy z panem Józefem Kownackim mam przyjemność mówić", aż do tego ostatniego słowa przy ostatniém rozstaniu: „Zapomniałem"— ciągle w twarzy jego i w głosie nowości jakieś zdarzało mi się odkrywać.

. . . .

Narcyza Żmichowska.





W ALPACH I W TATRACH.

(URYWEK Z METEOROLOGII GÓR).

Nie zbyt to dawno, kiedy Airy, jeden z najsłynniejszych angielskich fizyków powiedział, że meteorologia nie jest nauką. Tymczasem kilka dziesiątków lat wystarczyło, ażeby, wbrew takiéj opinii, nie tylko nagromadzić olbrzymi materyał spostrzeżeń, ale nawet rozwinąć liczne teorye tłómaczące najrozmaitsze zjawiska atmosferyczne.

Wśród zjawisk tych zajmują pierwszorzędne miejsce ruchy powietrza. To téż prawdziwy postęp meteorologii rozpoczyna się dopiero z chwilą, kiedy nauka o wiatrach, wyzwoliwszy się z pod wpływu dawniejszych jednostronnych poglądów, zaczęła kroczyć nowemi drogami.

Doniosły wpływ wiatrów na każdoczesny stan powietrza, a tém samém i znaczenie ich dla klimatu wogóle, jest przyczyną, dla któréj od dawna usiłowano zrozumiéć i wytłómaczyć ich istotę i poznać prawa, jakim podlegają.

Ale ścisła teorya wiatrów wymaga przedewszystkiém głębokiego zrozumienia zawiłych prawideł mechaniki gazów i dokładnéj znajomości wielu działów fizyki doświadczalnéj.

To téż nie zamierzam tu bynajmniéj wnikać w taką teoryą. Pragnę raczéj kilku charakterystycznemi rysami zaznaczyć jedynie panujące dziś w nauce poglądy, a na tle ich przedstawić obraz owego szczególnego wiatru górskiego, który w krajach alpejskich występuje z tak olbrzymią potęgą, a który i w naszych Tatrach się pojawia.

Co prawda jest on u nas mniéj częstém zjawiskiem, a co do siły i skutków możnaby chyba tatrzański wiatr halny uważać tylko za miniaturową kopią alpejskiego *fönu*.

Wspólną ich cechą jest przedewszystkiém to, że są bardzo suche i ciepłe, a dmąc w niejednostajnych przerwach z południa, południowego wschodu, lub czasem południowego zachodu, spadają gwałtownie ze szczytów gór po stokach północnych w doliny.

Najdawniéj i najlepiéj znanym jest *fön* Alp szwajcarskich, gdzie téż istotnie nader często się pojawia, gdzie skutki jego na każdym występują kroku i gdzie cały szereg ciekawych zjawisk zwykle zbliżanie się jego zapowiada.

Słynny naturalista i znakomity znawca Szwajcaryi, Fryderyk Tschudi, tak o tém pisze:

„Od strony południa pojawiają się mgliste obłoki i czepiają się szczytów gór. Słońce blade i bez blasku zachodzi na tle silnie zaczerwienionego nieba; poczém obłoki długo jeszcze płoną barwą purpurową. Noc zaczyna się duszna, rosy nie ma. Księżyc otoczony ponurą czerwonawą obsłoną. Powietrze w najwyższym stopniu przezroczyste, tak, iż góry zdają się być o wiele bliżéj. Tło nieba barwi się fiołkowo. Zdala słychać szum górskich lasów. Potoki huczą wśród ciszy nocnéj, tocząc zwiększony zapas wód. Jakieś życie niespokojne zdaje się budzić wszędzie i zdążać w doliny. Wreszcie zjawia się *fön*, zapowiadając się kilkakrotnym, gwałtownym podmuchem, z początku zazwyczaj chłodnym i ostrym, zwłaszcza w porze zimowéj, kiedy z olbrzymich pól śnieżnych nadchodzi. Poczém nagle nastaje cisza. Ale wkrótce dalsze, gorące fale wichru wpadają gwałtownie w dolinę, a wzmagając się aż do potęgi szalonego orkanu, zmieniającego wciąż swe natężenie, panują przez dwa lub trzy dni i w odmęt całą wprawiają przyrodę. Łamią drzewa, zrzucają głazy z gór, wzburzają leśne potoki, zrywają dachy domostw, są dla wszystkich postrachem.“

Jak już z tego opisu widzimy, jest alpejski *fön* prawdziwą burzą, wyrządzającą nie raz wielkie nawet szkody. Ale mimo to, odgrywa on téż wielką dodatnią rolę w gospodarstwie przyrody górskiéj, tak, iż górale szwajcarscy, zwłaszcza na wiosnę radzi go wyglądają. Powoduje on bowiem wtedy szybkie znikanie lodów i śniegów i to na bardzo wielkie rozmiary. Tak np. w dolinie Grindelwaldzkiéj topi *fön* nie raz w 12-tu godzinach warstwę śniegu na dwie stopy grubą. To téż Hann w znakomitéj swéj klimatologii nazywa go prawdziwym zwiastunem wiosny, który w jednéj dobie umié zdziałać tyle, co słońce zaledwie w ciągu dwóch tygodni.

Dla wielu wyżéj położonych, a zacienionych dolin stanowi *fön* wprost warunek wiosny, tak jak w niektórych okolicach na równinie on tylko w jesieni dojrzewanie wina umożliwia. Tak np. winnice w kantonie Graubinden prosperują najlepiéj, jeżeli pod koniec

sierpnia i we wrześniu *fön*, należyty i dość długo trwający, się pojawia. A plon kukurydzy w północnym Tyrolu i w Arulańskich okolicach zależy w znacznéj części od częstego występowania tego wiatru, który w Innsbruku pod wpływem włoskiego sąsiedztwa, choć nie słusznie *scirocco* nazywają.

Chcąc dać nieco dokładniejsze wyobrażenie *fönu*, przytoczę tu kilka ustępów ze sprawozdania d-ra Erka o burzy, która w październiku r. 1885 nawiedziła Alpy bawarskie. Pisze on: W górach tych zdarzają się w październiku prawie corocznie dni, których pogoda całkiem cechy *fönu* przypomina. Gęsta zasłona chmur przerywa się. Z początku tylko tu i owdzie, pokazuje się piękny błękit nieba, co prawda z domieszką właściwego, żółto-zielonawego tonu. Temperatura szybko wzrasta, a wilgotność nagle maleje. *Fön* występuje tu w postaci nader łagodnéj, i tylko rzadko kiedy usłyszéć można coś o spustoszeniach podobnych do wypadków szwajcarskich. Zdarzyło się to 15-go października. Najstraszliwsza burza, jakiéj od 65-ciu lat nie pamiętano, nawiedziła dolinę Partenkirchen. W wilią dnia tego było pięknie, choć chłodno. O 8-méj rano zaczęły się gromadzić chmury nad Wettersteinem na południowéj stronie doliny. Temperatura wzrastała szybko, o 9-téj g. i 30 m. powiał *fön* z południowego południo-zachodu. Towarzyszył mu na górach śnieg, a w dolinie dészcz brudny, pozostawiający na szybach okien osad czerwonawy. Północna strona nieba od wschodu aż do zachodu nie miała żadnéj chmurki, a o milę daléj na północ dészcz wcale nie padał. O 2-giéj po południu zawiał wiatr znowu, dmąc zmienną siłą w kierunku idącym mniéj lub więcéj z południa, aż do godziny 5-téj, o któréj to porze wybuchnął całą potęgą burzy. Dészcz ustał, niebo się rozjaśniło. Wicher zaś wzmagał się jeszcze przez trzy godziny, poczém słabnąć zaczął, ale w krótkich przerwach wiał znowu gwałtownie aż do 2 g. 30 m. w nocy. Tu nagle nastała grobowa cisza, trwająca cały dzień następny. Najzupełniejszy spokój, jak gdyby spokój śmierci, męczące, duszne powietrze, ponury wygląd nieba, zdawały się zwiastować rychły powrót burzy. Tymczasem przeciwnie, w godzinach popołudniowych rozjaśniło się niebo, przybrało ciemno-niebieską barwę; a piękny, spokojny zachód słońca stanowił wspaniały kontrast ze spustoszeniem, widniejącém wszędzie w dolinie. Temperatura wzrastała od 7-méj rano, aż do początku burzy z 2·8°C do 21°C, a dopiero po południu zaczęła znowu spadać do 19·5°C, a w nocy nawet do 13·9°C. Szkody wyrządzone, powiada daléj dr. Erk, są straszne.

W świetle księżyca widziano całe dachy pędzone przez powietrze. Słup z ciosowych zbudowany kamieni, służący do umieszczenia

astronomicznych narzędzi, powalił wicher na ziemię. Z brzaskiem poranku odsłonił się widok osobliwszy. W całéj dolinie zbierał lud porozrzucane szczątki i belki zniszczonych domostw. Blaszany dach szkoły snycerskiéj, wielkiego, trzypiętrowego budynku, rozerwany na trzy części, leżał odrzucony o 270 metrów. Wielka, blachą kryta altana została w całości przerzuconą przez dom, z którego porwała z sobą kominy. Ale gwałtowność burzy lepiéj jeszcze uwydatniają spustoszenia zrządzone w lasach. Znaczne przestrzenie zostały z drzew ogołocone zupełnie. Z lasu mającego blizko 5 kilometrów długości, szerokiego na 1½ kilometra nie pozostało ani jednego drzewa. Ilość zniszczonych tutaj drzew oceniono na 250000. Strwożona ludność Hamersbachu, wioski leżącéj u stóp lasu, uciekała przerażona i padała na kolana, modląc się i wierząc, że to koniec świata.

W Tatrach rzeczy zazwyczaj nie przedstawiają się tak groźnie; ale przecież opowiadają i o wietrze halnym, że i on nie raz zrywa z chałup dachy i porywa bydło i ludzi, że łamie lasy i gruchocze wszystko, co na swéj drodze napotka. Wiedzą o tém wszyscy zwiedzający Tatry, bo jeżeli się im nie zdarzyło z prawdziwym halnym wiatrem spotkać w naturze, to przynajmniéj czytali wzmiankę o nim, chociażby np. w przewodniku do Tatr i Pienin. Jeden z gospodarzy Zakopiańskich opowiadał mi istotnie, że w grudniu 1886 r. zniszczył mu taki wicher mnóstwo drzew, a z obszernego domu mieszczącego w sobie piekarnię, zerwał dach prawie zupełnie.

W pół roku późniéj widziałem jeszcze po lasach tamtejszych bardzo liczne powywracane i połamane drzewa, a górale mówili mi wszędzie, że to późną jesienią burza tak szalała. Niestety nie można nigdzie znaleźć dokładnych dat ani spostrzeżeń, któreby o istocie i charakterze téj burzy pouczyć nas mogły. Za to ze stron leżących nieco daléj od Tatr ku zachodowi, mianowicie ze stacyi meteorologicznéj w Bielsku, na granicy Szlązka i Galicyi, pochodzi dokładny opis orkanu, który się tam srożył w zachodnich Beskidach mniéj więcéj w tym właśnie czasie, bo w nocy z 8-go na 9-ty grudnia 1886 r.

Oto w krótkości treść tego, rzec można, urzędowego sprawozdania. Jeszcze wieczorem o 10-téj godzinie było niebo całkiem jasne i panowała zupełna cisza. W godzinę późniéj powstała burza, idąca z południowego zachodu. Siła jéj rosła przez całą noc, a dopiero nazajutrz po południu osłabła. Spustoszenia największe sprawiła w górach, które się ciągną o milę na południe od Bielska, sięgając wysokości 1000 metrów. Szkody w lasach oceniono na 100000 zł. r. Dalsze daty odnoszą się do ciepła i wilgotności, oraz do stanu

barometru w bliższém i dalszém otoczeniu, a są zestawione dla wyjaśnienia właściwości téj burzy i przekonania się, że była ona istotnie rodzajem wiatru halnego, czyli *fönem* na małą skalę.

Wrócimy więc jeszcze do nich; ale wprzód musimy się nieco rozpatrzéć w ogólnéj teoryi wiatrów, bez któréj i *fön* pozostałby zagadką.

Areną, na któréj się odbywają owe wielkie, a tak różnorodne gonitwy, od najlżejszego powiewu, aż do najdzikszych uraganów, jest nasza atmosfera. Stanowi ją powłoka powietrza otaczająca całą ziemię, a gruba, jak Liais oblicza, na 40 mil geograficznych.

W gazowéj téj powłoce gęstość zmniejsza się w miarę oddalenia od ziemi tak znacznie, że kiedy np. przy poziomie morza 10 litrów (kwart) powietrza waży 13 gramów (łut.); to w wysokości jednéj mili geograficznéj idzie na łut 25 litrów, a w wysokości mil ośmiu aż 33000 litrów. Skutkiem tak szybko postępującego rozrzedzenia, zawiera się przeważna część masy powietrznéj w warstwach dolnych, a stosunkowo tylko nie wiele w wyższych przestworach.

Podobnie jak z gęstością, ma się rzecz i z temperaturą, która również spada w miarę oddalenia od ziemi. Im wyżéj, tym zimniéj. Z licznych pomiarów przekonano się, że każde 100 metrów wzniesienia daje oziębienie wynoszące około ½ stopnia Celsiusza. Powodu tego szukać należy w téj okoliczności, że główném źródłem ciepła dla powietrza jest powierzchnia kuli ziemskiéj. Promienie bowiem słońca przenikają atmosferę, nie ogrzewając jéj prawie wcale. Dopiero lądy stałe i wody oceanu pochłaniają ciepło promieniste i ogrzewają się tym sposobem. Powietrze w warstwach bezpośrednio na ziemi leżących zabiera następnie ciepło lądu, lub wody, jak gdyby z drugiéj ręki, a będąc jak każdy gaz złym przewodnikiem ciepła, z trudnością tylko dopuszcza ogrzanie się coraz wyżéj. Ale lądy stałe ogrzewają się szybciéj i silniéj, aniżeli wody oceanu. Co prawda ziębną téż prędzéj w czasie, kiedy słońce jest pod poziomem. Ztąd w jednéj nawet wysokości temperatura powietrza nad lądem i morzem musi być różną. Nadto zauważyć należy, że ziemia nie tylko w ciągu dnia słonecznego w każdym swym punkcie w rozmaity sposób się ogrzéwa, co zależy od zmiennego położenia słońca względem poziomu, ale jeszcze ulega znacznemu stopniowaniu ogrzania w ciągu różnych pór roku.

Ważniejsze jeszcze są różnice w cieple ziemi, powodowane większą, lub mniejszą odległością od równika, a więc rozmaitą szerokością geograficzną. Warstwy powietrza otaczające pas międzyzwrotnikowy, stykając się z najcieplejszą częścią kuli ziemskiéj, ogrzéwają się nierównie silniéj, aniżeli w okolicach biegunowych.

Wśród takich okoliczności temperatura powietrza musi być w tym samym czasie różną w różnych miejscach, a w jednėm i tėm samėm miejscu to maléć, to wzrastać w ciągu czasu.

Obok temperatury równie ważną, a może jeszcze ważniejszą rolę odgrywa ciśnienie, mierzące się stanem barometru wyrażanym zazwyczaj w milimetrach. Maleje ono podobnie jak i temperatura w miarę wysokości. Albowiem im bardziéj się wznosimy po nad poziom morza, tém bardziéj zmniejsza się słup cisnącego powietrza, a ubywająca jego część dolna jest właśnie najgęstszą, a więc i najcięższą.

Wyobraźmy sobie teraz, że słup powietrza, cisnący na jakąś powierzchnię, zostanie od dołu ogrzany. Oczywiście, że wtedy warstwy jego dolne jako gorętsze, rozszerzać się będą silniéj, niż warstwy wyższe i tym sposobem każda wypierać będzie nad nią leżące powietrze ku górze. Ciśnienie przeto wzrośnie w górnych częściach słupa skutkiem przybywania tam powietrza. Cały słup jednak nie przestanie cisnąć na swoję podstawę zawsze jednakowo; gdyż ciepło nie zmieniło jego ciężaru. W słupie tym nie będzie już ciśnienie maléć za wzniesieniem w takim samym stopniu, jak poprzednio, ale znacznie powolniéj. Innemi słowy: ciśnienie zachodzące początkowo w pewnéj wysokości, zachodzi teraz w warstwie nieco wyżéj leżącéj.

Stosując to do całéj atmosfery, należy zauważyć, że w pasie międzyzwrotnikowym, z powodu większego rozgrzania ziemi, jest téż i powietrze najbardziéj rozgrzane. Tam więc górne warstwy mają ciśnienie większe, niż tak samo wysokie warstwy w miejscach leżących bliżéj biegunów.

Jaki zaś skutek taka różnica ciśnienia wywierać musi, o tém przekonać się można bardzo prostém doświadczeniem. Ściskając np. miech, zmniejszamy objętość zawartego w nim powietrzu, a tém samém zgęszczamy takowe. Skutkiem tego ciśnienia w miechu staje się większe niż zewnątrz, a powietrze z miecha uchodzi. Widzimy więc, że powietrze zostaje z miejsc większego ciśnienia wyparte i odpływa w stronę, gdzie ciśnienie jest mniejsze.

Z tego téż powodu w górnych warstwach atmosfery muszą powstawać prądy płynące od równika ku biegunom. Wszelako przy takim odpływie zmniejsza się masa gazu cisnąca na powierzchnią ziemi pod równikiem, a zwiększa się w miejscach leżących bliżéj biegunów. Ztąd przy powierzchni ziemi, w przeciwstawieniu do warstw górnych, rośnie ciśnienie w wyższych szerokościach geograficznych, a zmniejsza się pod równikiem. Powietrze płynąć więc musi od biegunów ku równikowi. Ze względu na górne prądy zauwa-

żyć należy, że dla powietrza odpływającego od równika, a przechodzącego na coraz to mniejsze równoleżniki, zachodzi w krótce brak miejsca. Prądy te więc nie dosięgnąwszy biegunów, muszą się w znacznéj przynajmniéj części ku ziemi opuścić, co wedle spostrzeżeń dzieje się już około 30-go stopnia szerokości geograficznej. Po za 30-tym stopniem już dwóch po nad sobą idących, a przeciwnych prądów nie dostrzega się wcale. Powietrze przepływa tam, zwłaszcza w dolnych swych warstwach, w kierunkach zależących przeważnie od różnic ciśnienia, wywołanych niejednakowém w ciągu roku ogrzaniem wód i lądów stałych.

Prąd powietrza w dolnych jego warstwach, a więc w bezpośredniém sąsiedztwie powierzchni ziemi, nosi nazwę wiatru. Otóż o zależności kierunku wiatrów od ciśnienia pouczyć nas mogą tylko spostrzeżenia systematycznie prowadzone. Wyniki takich spotrzeżeń notują się na tak zwanych synoptycznych mapach pogody, na których uwidocznione jest ciśnienie w różnych miejscach na ziemi i kierunek równocześnie dostrzeganego wiatru. Mapy te nie podają wprawdzie ciśnienia takiego, jak je barometr w danéj miejscowości wskazuje; ale takie, jakieby wskazywał, gdyby ta miejscowość mogła się zniżyć aż do poziomu morza. Redukcyą taką wykonywa się za pomocą odpowiedniego rachunku. Przez wszystkie miejsca o jednakowym stanie barometru wykreśla się na mapie linią, która się nazywa „i z o b a r ą“.

Z każdéj takiéj mapy widać bezpośrednio, że wiatr wieje zawsze z okolic, w których w danym czasie barometr stoi wyżéj, ku okolicom o niższém ciśnieniu.

Obchodząc w koło miejscowość największego ciśnienia, czyli tak zwane barometryczne *maximum*, mamy wszędzie wiatr wiejący ku nam od tego *maximum*. Przeciwnie, obchodząc w koło miejsca najniższego ciśnienia, zwanego barometryczném *minimum*, mamy wiatr wiejący od nas ku takiemu *minimum*.

Daléj pokazuje się z map synoptycznych, że kierunek wiatru idąc od miejsc leżących na izobarze wyższego ciśnienia, ku miejscom leżącym na izobarze ciśnienia niższego, zbacza na całéj półkuli północnéj na prawo, a na południowéj na lewo. Zboczenie to rośnie wraz z szerokością geograficzną, a przyczyną jego jest dzienny obrót ziemi.

Skutkiem takiego zbaczania nie może powietrze w prostych liniach dopłynąć z miejsc wyższego ciśnienia aż do miejsca ciśnienia najniższego, ale musi wciąż nieco skręcać i pozostawiać to *minimum* na półkuli północnéj na lewo. Tym sposobem powstaje wokół miejsc najniższego ciśnienia pewien rodzaj wirowego ruchu powietrza i to w stronę przeciwną biegowi skazówek zegaru.

W takim ruchu będące powietrze nosi nazwę cyklonu, a miejsce najniższego ciśnienia jest jego środkiem. Coś podobnego dzieje się oczywiście i wokół miejsca najwyższego ciśnienia. Ale że tu powietrze od tego miejsca odpływa, więc skręcając na prawo, krążyć musi w stronę przeciwną niż w cyklonie, t. j. tak, jak skazówki zégaru.

W takim ruchu będące powietrze nosi nazwę antycyklonu, a środkiem jego jest właśnie miejsce największego ciśnienia.

W znacznéj odległości od środka cyklonu lub antycyklonu krzywa droga, po któréj płynie powietrze, wydaje się nam prostą, a to dla téj saméj przyczyny, dla któréj np. powierzchnią wody w stawie uważamy za płaszczyznę, chociaż w rzeczywistości jest ona częścią kulistéj powierzchni ziemi.

Stanąwszy na północnéj półkuli gdziekolwiek w obwodzie cyklonu, lub antycyklonu i patrząc w stronę, w którą płynie powietrze, czyli w którą wiatr wieje, będziemy mieli zawsze po stronie prawéj ciśnienie wyższe, a niższe po lewéj. To właśnie stanowi zasadnicze twierdzenie dla całéj teoryi wiatrów i nosi nazwę prawa Buys-Ballota.

Wynika z niego bezpośrednio, że w otoczeniu miejsc barometrycznéj depresyi wieje na południowéj stronie wiatr zachodni, na północnéj wschodni, na wschodniéj południowy, a na zachodniéj północny. Odnosi się to oczywiście do północnéj, a więc naszéj półkuli.

Chcąc na podstawie prawa Buys-Ballota wytłómaczyć układ wszelkich stałych i zmiennych wiatrów, potrzeba by przedewszystkiém znać ciśnienie w jaknajwiększéj liczbie miejsc na ziemi. Ale ciśnienie jest wogóle zmienne. Otóż dla uzyskania pewnych punktów oparcia postępuje się w ten sposób.

Ze wszystkich w ciągu dnia w jakiémś miejscu robionych spostrzeżeń (bywa ich zwykle trzy) oblicza się codziennie średni stan barometru; a następnie z liczb tak otrzymanych oznacza się średni stan ciśnienia dla każdego miesiąca. Łącząc na mapie za pomocą linii wszystkie miejsca, dla których w danym miesiącu średnie ciśnienie jest jednakowe, mamy izobary dla tegoż miesiąca, a więc téż i średnie położenie miejsc największego i najmniejszego ciśnienia.

Mapy takie kreślą się na podstawie wieloletnich spostrzeżeń, pochodzących z coraz to liczniejszych stacyi. Dają one izobary dla wszelkich wysokości barometrycznych w odstępach po 5 milimetrów, a pokazuje się z nich, że ciśnienie rozmieszczone jest bardzo niejednostajnie na kuli ziemskiéj i że im większą jest rozmaitość konfiguracyi lądów i mórz, tém téż różnorodniéjsze są zagię-

cia linii równego ciśnienia. Lądy bowiem i morza ogrzewają się niejednakowo, wpływają téż w sposób odmienny na cisnące nad niemi powietrze.

Na mapach synoptycznych widzimy różne a odosobnione *maxima* i *minima*, okazujące ciśnienie wyższe, a względnie niższe, aniżeli gdziekolwiek na około. W miarę oddalania się od miejsca, gdzie jest *maximum*, w jakim bądź kierunku, ciśnienie wciąż spada, przeciwnie w miarę oddalania się od *minimum* ciśnienie rośnie.

Rozpatrując się na mapie, dającéj np. izobary dla pory zimowéj, a więc kiedy lądy stałe są najzimniejsze, spostrzegamy, że Europa leży po prawéj stronie miejsc najsilniéj rozwiniętego barometrycznego *minimum*, a na północ od pasa o bardzo wysokiém ciśnieniu, rozciągającego się nad częścią Atlantyku. Stosownie więc do prawa Buys-Ballota, muszą w Europie w tym czasie przeważać wiatry południowe i zachodnie, wiejące z po nad oceanu, a więc ciepłe i wilgotne. Zmiany w tych wiatrach będą już tylko skutkiem przyczyn miejscowych. Przeciwnie wschodnia strona Ameryki, szczególniéj Stany Zjednoczone, jako téż wschód Azyi leżą po lewéj stronie depresyi znajdujących się nad Atlantykiem i oceanem Spokojnym, a po prawéj stronie przestrzeni mających największe ciśnienie i leżących w pośrodku wielkich lądów. Panują tam przeto w téj porze przeważnie wiatry północne i północno-zachodnie. W porze letniéj, kiedy stosunki ciepła na lądach i oceanach są inne, mają téż i izobary zupełnie odmienny kształt i położenie, a więc i wiatry całkiem inne panować muszą.

Na południowéj półkuli nie ma już po za 40-tym stopniem szerokości geograficznéj żadnych rozleglejszych przestrzeni lądowych; to téż nie ma tam i wiatrów, któreby odpowiadały letnim i zimowym wiatrom półkuli północnéj.

W pasie międzyzwrotnikowym przeważają wspomniane już poprzednio prądy, idące w dolnych częściach atmosfery na obu półkulach ku równikowi. Prądy te zbaczając na półkuli północnéj na prawo, a na południowéj na lewo, stanowią właśnie owe wiatry stałe, znane pod nazwą pasatów. Zmiany krążenia powietrza w porze letniéj i zimowéj, pomiędzy wielkiemi lądami a oceanem, powtarzają się, co prawda, na nierównie mniejszą skalę w ciągu dnia i nocy, na wybrzeżach morskich, co przedewszystkiém w krajach stref gorących się uwydatnia. Wiatry, wiejące tam na przemian z lądu na morze i z morza na ląd, są właściwie najdawniéj znaną formą prawidłowych prądów powietrza. Powodem ich jest przeciwieństwo biegu temperatury morza i lądu, zmieniające się z przejściem od dnia do nocy i wywołujące odwrócenie kierunku wiatru.

W krajach podzwrotnikowych, gdzie właściwéj zimy nie ma wcale, wieją wiatry takie przez cały rok; podczas kiedy w miejscach leżących w wyższéj szerokości geograficznéj, zdarzają się jedynie w porze letniéj.

Zajmujące opisy tych wiatrów podaje angielski marynarz Maury w swéj „Geografii fizycznéj morza.“ Znajdujemy tam np. ustęp taki: Mieszkańcy wybrzeży w krajach zwrotnikowych wyczekują niecierpliwie co rano morskiego powiewu. Pojawia się on też zazwyczaj około godziny 10-téj. Z chwilą tą ustaje nużąca duszność poranku, a świéże orzeźwiające powietrze porusza wszystko i ludziom dopiéro sił do dziennéj pracy użycza. Z zachodem słońca wraca znowu cisza. Powiew morski ustaje, a wkrótce zamiast niego mamy wiatr lądowy, wiejący przez całą noc. Siła tych wiatrów bywa rozmaitą, ale nigdzie nie spotkałem się — powiada Maury — z wiatrem nadmorskim tak gwałtownym, jak w Valparaiso w porze lata południowéj półkuli. W godzinach popołudniowych wiatr ten po prostu szaleje. Porywa z dróg kamienie i rzuca nimi po ulicach. Lud chroni się po domach, ulice i place pustkami świécą. Wszelakie sprawy w zawieszeniu. Komunikacya pomiędzy okrętami a lądem przerwana. Nagle uspokaja się powietrze i woda, panuje cisza. Spokój, który teraz nastaje, jest cudowny. Niebo bez chmurki, atmosfera kryształowéj przejrzystości. Andy widnieją bliżéj. Klimat zawsze łagodny, staje się teraz zachwycającym. Wieczór zaprasza do przechadzki. To téż lud cały wylega na ulice. Panie nawet w balowych strojach, bo nie ma teraz na tyle wiatru, aby mógł najlżejsze piórko poruszyć. Taka zmiana powtarza się jaknajpunktualniéj dzień za dniem, przez całe lato; a mimo to wydaje się zawsze niespodzianką, bo nie można sobie nigdy wyobrazić, żeby tak rozszalała burza mogła tak nagle zamilknąć.

Powstawanie tych wiatrów, wiejących na przemian od lądu i od morza, tłómaczy się w ten sposób: W godzinach porannych ogrzéwa się wybrzeże szybciéj niż woda morska; a więc, jakeśmy to już widzieli, musi ciśnienie w górnych warstwach powietrza nad lądem wzrastać, a tém samém musi w górze powstawać odpływ w stronę niższego ciśnienia, t. j. ku morzu. Skutkiem tego rośnie ciśnienie przy poziomie morza, a w dolnych warstwach nad lądem maleje. To zaś wystarcza do wywołania wiatru wiejącego od morza. W nocy dzieje się przeciwnie. Wybrzeże ziębnie prędzéj niż woda, a więc téż i wiatr odwrócić się musi. W epokach przesilenia nastaje cisza. Okres jednodniowy jest zbyt krótki i dla tego nie może wywołać znaczniejszych różnic ciśnienia. Istotnie téż dopiéro nader ścisłe i subtelne poszukiwania Blanforda i Chambersa zdołały te różnice wykazać.

Jak na wybrzeżach gorących krajów wiatry od lądu i morza wieją na przemiau w noc i we dnie, tak téż i w górach podobne napotykamy zjawisko. W gorącéj porze roku, zwłaszcza w dni pogodne powstaje przed południem wiatr ciepły, wiejący z dolin ku górom. Wzmaga się on po południu, a ustaje dopiéro z zachodem słońca. Po krótszéj lub dłuższéj przerwie pojawia się w zamian wiatr chłodny zstępujący z góry w dolinę. W wielu miejscowościach wiatrom tym ponadawano szczególne imiona; tak np. nad jeziorem Garda nazywają dzienny wiatr *ora*; nad jeziorem Komo: *breva di Lecco* i *breva di Como*, podług dwóch odnóg jeziora. W Alpach, gdzie prawidłowe zmiany wiatrów dziennych i nocnych są nadzwyczaj stałe, uchodzi u ludu nawet za przepowiednią słoty, jeżeli się kiedy zdarzy inaczéj. I jest w tém pewna racya, bo wskazuje to w każdym razie, że jakiś silniejszy i ogólniejszy prąd powietrza usuwa miejscowe wiatry na plan drugi.

Wiatry takie są właściwością wszystkich górskich krajów, z wyjątkiem chyba stref podbiegunowych. Podróżny Strachey powiada, że w dolinach Himalajskich wieje przez cały rok wiatr we dnie ku górom, a w nocy z gór w doliny.

Najczęściéj zwraca się w górach uwagę tylko na wiatr nocny, gdyż zwykle jako zimniejszy, bardziéj czuć się daje.

Teoretyczne wyjaśnienie tych oddawna znanych wiatrów powiodło się dopiéro w najnowszych czasach.

Wyjdźmy o rannéj godzinie na górę i stańmy gdziekolwiek na pochylonym jéj stoku. Jeżeli wiatru nie ma wcale, to znak, że w całym poziomie naszego stanowiska jest jednakowy stan barometru.. Ale wnet rozpoczyna się działanie promieni słońca. Powietrze spoczywające w głębi doliny, na dnie jéj coraz to gorętszém rozszerza się coraz bardziéj i, jak to już wiemy, zwiększa tam ciśnienie w pewném nad tém dnem wyniesieniu. Wkrótce wyniesienie to dosięgnie poziomu naszego stanowiska, a wtedy już i wiatr ciepły ku nam powiać musi. Z zachodem słońca dno doliny ogrzewać się przestaje, spoczywające na niém powietrze ziębnie w ciągu nocy i ściska się, a skutkiem tego w pewném nad dnem wyniesieniu ciśnienie spada i staje się mniejszém niż w takiéj saméj wysokości na stoku góry. To téż i wiatr się odwraca.

Od ogólnéj téj reguły zdarzają się przecież wyjątki, które tłómaczyć należy ubocznemi, a nieraz bardzo powikłanemi stosunkami miejscowości. Tak np. w górnéj Engadynie, w owym kraju najcudniejszych alpejskich widoków, wieje przez całe lato ciepły wiatr dzienny nie z dołu, ale z góry, z wąwozu Maloja w dolinę Innu; podczas kiedy w sąsiednich, bocznych dolinach prawidłowe wiatry

do góry się wznoszą. Znany szwajcarski meteorolog d-r Billwiller wytłómaczył tę pozorną anomalią właściwą konfiguracyą wąwozu Maloja, nie zamkniętego żadnym wałem gór, ale przeciwnie stanowiącego ujście głęboko wciętéj, już na wpół włoskiéj i silnie ogrzanéj doliny Maira.

Ale i chłodne, a nawet zimne wiatry spadające w doliny w porze dziennéj są znane. Zdarzają się one tam, gdzie stoki gór są znacznie zimniejsze niż powietrze dolin; np. w dni bardzo ciepłe w pobliżu alpejskich lodników.

Maurycy Wagner w swych podróżach przyrodniczych po Ameryce południowéj tak wiatry te opisuje: Zbliżając się do linii śnieżnéj, napotyka się w niektórych okolicach, mianowicie na płaskowzgórzu Quito niesłychane przeszkody utrudniające, a czasem wprost uniemożliwiające wychodzenie na szczyty. Stanowią je owe ostre wichry gór Nevados, których mroźne, lodowe powietrze zwłaszcza w sierpniu i wrześniu spada w rozgrzane doliny. Im potężniejsze masy śniegu zalegają porozrzucane po górach wulkany i im rozleglejsze doliny u stóp ich się rozciągają, tém częściéj i regularniéj dmą te wichry lodowe. Powstają one zazwyczaj około siódméj godziny rano i wzmagają się w ciągu dnia, osiągając największą siłę około 2-éj po południu, a trwają aż do zachodu słońca.

Ze wszystkiego cośmy dotąd o istocie wiatrów mówili, wynika, że powstają one zawsze, ilekroć w różnych miejscach jakiego poziomu zachodzą różnice w ciśnieniu barometrycznem. Ztąd już nasuwać się musi pytanie, czy i siła wiatru od tych różnic nie zależy? Idąc drogą utartą we wszystkich naukach przyrodniczych, t. j. drogą ściśle prowadzonych i pomiarami kontrolowanych spostrzeżeń, dojdziemy i tu najprędzéj do celu i łatwo uzyskamy potwierdzającą na to pytanie odpowiedź.

Wróćmy do naszych map synoptycznych.

Wspominałem już, że na nich oprócz wysokości barometrycznego ciśnienia oznaczone są i kierunki dostrzeganych wiatrów. Otóż te oznaczenia uskuteczniają się w ten sposób, iż obok każdéj na mapie pomieszczonéj miejscowości kreśli się strzałkę, któréj ostrze zwrócone jest w stronę wiatru. Odchylenie strzałki od nakreślonego na mapie południka wskazuje odrazu jaki wiatr wieje.

Ale nie dosyć na tém. Każda strzałka ma z tyłu dodane poprzeczne kréski, jak gdyby piórka, a liczba ich oznacza siłę wiatru. Im wiatr silniejszy, tym więcéj piórek ma strzałka.

Ścisłe oznaczenie siły wiatru polega na wymierzeniu prędkości z jaką się powietrze porusza. Służą do tego osobne przyrządy zwane anemometrami, które wszelako tylko w stosunkowo niewiel-

kiéj liczbie stacyi obserwacyjnych się znajdują. Im szybciéj powietrze płynie, tém wiatr jest silniejszy. Zazwyczaj poprzestaje się na przybliżonéj ocenie, rozróżniając 6 lub 10, a nawet 12-cie różnych stopni, jak np. na mapach synoptycznych, wydawanych codziennie przez centralny instytut meteorologiczny wiedeński.

Uważne rozpatrzenie się na takich mapach poucza nas, że strzałki mają tam piórek najwięcéj, gdzie izobary najwięcéj do siebie zbliżone. A że od jednéj izobary do drugiéj ciśnienie spada o 5 mm. więc wiatr jest tém silniejszy, im na krótszéj drodze taka różnica ciśnienia się pojawia.

Zachodzi tu coś podobnego, jak z wodą płynącą w potokach. Prędkość jéj jest tém większą, im większy spadek ma koryto, czyli im krótszą drogą spada z téj saméj wysokości.

Wybierzmy sobie na kierunku prostopadłym do izobary dwie miejscowości odległe od siebie o milę geograficzną i zmierzmy w obu stan barometru. Różnica obu ciśnień odpowiada w zupełności temu, co dla wody w potoku spadkiem nazywamy. Możemy ją przeto nazwać spadkiem barometrycznym. Otóż prawda, wyczytana z map synoptycznych, daje się wyrazić słowami: Siła wiatru rośnie wraz z wielkością spadku barometrycznego.

Stanowi to drugie zasadnicze prawo teoryi wiatrów, znane pod nazwą prawa Stevensona.

Wielkość spadku barometrycznego przy najsilniejszéj burzy wynosi w Europie piątą a najwyżéj trzecią część milimetra na milę, podczas kiedy w cyklonowych orkanach strefy gorącéj dochodzi do jednego milimetra.

Nader pouczające i ciekawe wnioski wysnuć się dają z porównania szeregu map sypnoptycznych, sporządzanych codziennie w ciągu nieco dłuższego czasu, szczególniéj jeżeli w czasie tym srożyły się burze.

Przedewszystkiém przekonać się można, że spadek barometryczny nie jest bynajmniéj wszędzie jednakowy; że zazwyczaj w pobliżu barometrycznego *maximum* jest najmniejszy, tak, iż w tych okolicach wiatry bywają słabe, a nawet cisza często panuje. Za to w okół miejsc depresyi barometrycznéj spadek jest wogóle naglejszy, a więc i wiatry silniejsze. To téż wszelkie burze są wichrami wirowemi, tylko że gwałtowność ruchu powietrza, jako zależna od spadku barometrycznego, nie jest bynajmniéj jednakową do około punktu najmniejszego ciśnienia. Owszem częstokroć się zdarza, że burza sroży się tylko po jednéj stronie wiru.

Wreszcie okazuje się, że miejsca, w których zachodzą barometryczne *minima*, zmieniają swe położenie zazwyczaj z dnia na

dzień, posuwając się najczęściéj ku wschodowi, lub północnemu wschodowi, rzadko kiedy ku południowi, a tylko wyjątkowo ku zachodowi. Przebiegają one w środkowéj Europie przecięciowo po 80 mil dziennie, czyli po 7 metrów na sekundę; a więc posiadają prędkość miernego wiatru. Zdarza się wszelako czasami, że pędzą trzy do czterech razy szybciéj, a więc z prędkością prawdziwéj burzy.

Za to *maxima* barometryczne nieraz przez czas dłuższy nie ruszają się z miejsca.

Ale widzieliśmy, że *minima* barometryczne stanowią właśnie środki cyklonów, a więc i burz. Całe te cyklony zostają oczywiście porwane w kierunku, w którym depresya się posuwa; a powietrze, które w tych wirach przepływa, czyli wiatry cyklon stanowiące, muszą wskutek tego skręcić się w odpowiednią stronę.

Skręcenie to zależy dla każdéj miejscowości, przez którą cyklon przechodzi, przedewszystkiém od położenia jéj względem kierunku, po którym biegnie środek cyklonu, a daléj od tego, czy środek ten jeszcze się ku niéj zbliża, czy téż minąwszy ją, już się od niéj oddala.

W Europie nadchodzą barometryczne *minima* prawie wyłącznie z zachodu z po nad Atlantyku. Otóż jeżeli środek burzliwego cyklonu w drodze swéj znajdzie się na południowéj stronie Adryatyku, to w północnych stronach tego morza wiać muszą silne wiatry z północnego wschodu, wzmacniane jeszcze wpływem wielkiéj różnicy w temperaturze niezwykle rozgrzanego wybrzeża i chłodnych wyniosłości Karstu. To właśnie jest owa *bora*, tak bardzo w tamtych stronach dokuczliwa.

Ale jeżeli środek cyklonu z po nad Atlantyku pójdzie nieco wyżéj i zbliży się do wybrzeży Europy mniéj więcéj w szerokości geograficznéj środkowéj albo południowéj Francyi, to na Adryatyku powstają wiatry południowo-wschodnie, a nawet i południowe; a nieco daléj na północ, pod wpływem gór ciągnących się w poprzek ich kierunku, ulegają znacznym przemianom pod względem swego charakteru i własności i przeistaczają się w ów *fön*, o którym mówiliśmy z początku.

Podobnie przesunięcie się miejsc barometrycznéj depresyi po północnéj stronie Karpat, musi wywołać wiatry z południa, a gdzie wysokość gór jest dość znaczną, jak właśnie w Tatrach, tam wiatry te również cech *fönu* nabierają.

Ale *fön* jest suchy i ciepły; a wiatry południowe lub południowo-wschodnie, zwłaszcza nadchodzące z nad oceanu i uderzające o wały gór niosą ze sobą bardzo wiele wilgoci. Chcąc tedy zrozu-

mieć to przeistoczenie, musimy się wprzód zastanowić nieco nad wilgotnością. Powietrze bowiem zawiera zawsze trochę pary wodnéj, pochodzącéj przeważnie z parowania wód oceanów i mórz ogrzanych promieniami słońca. Im cieplejsze powietrze, tém więcéj pary wpośród cząstek jego rozmieścić się może; ale dla każdéj temperatury ilość pary wodnéj, mogącéj się w danéj przestrzeni pomieścić, jest ściśle oznaczoną. Tak np. jeden metr sześcienny powietrza o temperaturze 10°C może zawierać najwyżéj 9·2 gramów pary wodnéj, a jeżeli jéj istotnie tyle zawiera, to najmniejszy dodatek pary, lub najlżejsze oziębienie powoduje natychmiast utworzenie pewnéj ilości wody, czyli skroplenie pary. Ogrzanie wywarłoby skutek przeciwny tj. pozwoliłoby temuż samemu powietrzu więcéj pary w sobie pomieścić.

Powietrze zawierające największą, przy danéj temperaturze możliwą ilość pary wodnéj, nazywa się nasyconém. Jeżeli zaś para w niém zawarta do nasycenia nie wystarcza, to mówimy, że powietrze jest mniéj lub więcéj wilgotne; rozumiejąc przez wilgotność stosunek znajdującéj się w powietrzu pary, do téj ilości, jakiéjby ono do nasycenia potrzebowało. Zazwyczaj wyraża się stosunek ten w procentach. Jeżeli np. w powietrzu znajduje się tylko czwarta część téj ilości pary, jaka by je nasycić musiała, to mówimy, że wilgotność powietrza tego wynosi 25%. Wynika ztąd, że powietrze może być znacznie suchsze wtedy, kiedy ma w sobie więcéj wody, niż kiedy jéj mniéj zawiera; zależy to bowiem od temperatury. Metr sześcienny powietrza zawierający np. tylko 5 gramów wody przy 10°C, ciepła jest daleko wilgotniejszy, niż gdyby zawierał dwa razy tyle wody przy temperaturze 40°C; w pierwszym bowiem razie wilgotność wynosi 54%, a w drugim tylko 20%. Dla tego téż oziębienie czyni powietrze, choćby nawet dość suche, znacznie wilgotniejszém i może skroplenie, np. deszcz spowodować. Przeciwnie samo ogrzanie suszy nawet i bez utraty wody.

Zastosujmy to teraz do naszych wiatrów górskich gorących, a suchych.

Nie można się wcale dziwić, powiada Hann, którego uznać należy za właściwego twórcę dzisiejszéj teoryi *fönu*, że pierwsze próby wyjaśnienia tego wiatru alpejskiego doprowadziły do przypuszczenia, jakoby źródłem jego była Afryka. Wszak *fön* jest wiatrem południowym, gorącym i suchym, a Sahara leżąca względem Szwajcaryi na południe jest jak gdyby streszczeniem pojęcia wszelkiego gorąca i suszy. Co prawda, należało pamiętać o tém, że Sahara tylko w porze letniéj jest tak bardzo gorącą, kiedy tym czasem *fön* właśnie w zimie najwięcéj podnosi temperaturę, a w lecie występuje najsłabiéj.

Zwolennicy afrykańskiego pochodzenia *fönu*, a na ich czele geolog szwajcarski Escher von der Linth, utrzymywali, że Sahara wyłoniwszy się z oceanu, stała się następnie suchą pustynią, któréj piaski rozpalające się od słońca powodują wznoszenie się gorącego prądu powietrza, odpływającego następnie ku północy. W przebiegu po nad morzem Śródziemném miał się ten suchy wiatr południowy nasycać w dolnych swych warstwach wilgocią i wiać przez Sycylią i Włochy aż do podnóża Alp. Alpy dopiero miały go zatrzymywać; a tylko górne, a więc suche warstwy przepuszczać przez szczyty i wąwozy na stronę północną jako *fön*.

Celem utrwalenia takiéj teoryi odbyli nawet wraz z von der Linthem dwaj inni badacze Desor i Martins w r. 1863 naukową podróż do Sahary. Znaleźli tam co prawda mnóstwo kopalnych resztek mięczaków żyjących i dziś jeszcze w morzu Śródziemném, co miało stwierdzać, iż Sahara stanowiła niegdyś dno morskie; ale teorya afrykańskiego pochodzenia *fönu* mimo to utrzymać się nie zdołała. Przeciw niéj przemawia przedewszystkiém przebieg zjawisk atmosferycznych, towarzyszących wiatrowi temu po obu stronach Alp. Kiedy w północnéj Szwajcaryi wieją gorące, suche wiatry z południa, mamy na południowéj stronie gór prawie zupełną ciszę; temperatura w dolinach bardzo mało, lub nawet wcale się nie podnosi; stopień wilgotności jest bardzo znaczny; a zazwyczaj w kilka godzin po wybuchu *fönu* po stronie północnéj występują na południowych stokach i na szczytach Alp znaczne opady, deszcz i śnieg i to w niezwykłéj obfitości.

W czasie strasznéj ulewy i powodzi w Karyntyi, w r. 1872 od 1-go do 4-go grudnia srożył się *fön* jako gwałtowny, suchy wicher w północnych Alpach wapiennych na całéj przestrzeni pomiędzy Wiedniem a Salzburgiem.

Nie można się téż zgodzić na myśl, jakoby gorący, suchy wiatr południowy przepływał wgórze po nad południowemi dolinami; bo nawet na grzbietach Alp dostrzedz go nie można. Tam właśnie wzrost temperatury jest nieznaczny, a powietrze zostaje wilgotne. Niezmiernie wielkie ciepło i suchość ogranicza się do dolin będących dziedziną *fönu*, a znika stopniowo w miarę posuwania się w kraj podalpejski.

Wieloletnie obserwacye Hanna w Bludenz w Tyrolu, a Billwillera i innych w Szwajcaryi przekonywają stanowczo, że *fön* północnych dolin alpejskich nie posiada jeszcze swego gorąca i suchości na szczytach gór, ale ich nabywa dopiero w miarę spadania na doł.

Że spadający prąd powietrza, ogrzewając się szybko, musi w dolinę przybyć jako wiatr bardzo suchy, to pojąć łatwo, pamiętając o tém, cośmy tylko co o wilgotności mówili. Ogrzewanie się powietrza w czasie upadku polega na tém, że przechodzi ono pod coraz to większe ciśnienie; a tak teoretyczne obliczenia, jak i wyniki doświadczeń pokazują, że każde 100 metrów spadku wywołuje ogrzanie o jeden stopień.

Przypomnijmy sobie teraz, że jak nas pouczyły mapy synoptyczne, powstają w Europie wiatry południowe wtedy, kiedy *minima* barometryczne w odpowiednich miejscach zbliżą się z nad Atlantyku ku lądowi stałemu. Jeżeli tedy takie *minimum* znajdzie się np. na linii idącéj od Irlandyi ku zatoce Biskajskiéj, a więc w stronie północno-zachodniéj od Alp, to z nad całego przedalpejskiego kraju musi powietrze płynąć ku miejscom takiéj depresyi, jako wiatr południowy, lub południowo-wschodni. Wślad za nim podążyć téż musi i powietrze dolin alpejskich. A że wał gór nie dopuszcza natychmiastowego dopływu ze strony południowéj; przeto wyrównanie ubytku musi się odbyć kosztem powietrza spadającego z grzbietów górskich i szczytów.

Ale depresya przybliża się z zachodu, więc téż i wicher południowy pojawia się w kraju podalpejskim jeszcze wcześniéj, niż *fön* w alpejskich dolinach; a na południowéj stronie gór panuje jeszcze dość długo cisza, podczas kiedy *fön* już się na północy sroży.

Tak nam przedstawia swoję teoryą Hann, któremu przyznać trzeba zasługę, że pierwszy z całą dokładnością rzecz wyjaśnił.

Mimo całéj prostoty i jasności znalazła przecież i ta teorya przeciwników. Wystąpił mianowicie przeciw wiedeńskiemu meteorologowi znany francuski astronom Faye a w ślad za nim poszedł i Hébert autor obszernéj pracy „o wielkich ruchach powietrza, o *fönie* i *sirocco*“. Odrzuca on wprawdzie przypuszczenie afrykańskiego pochodzenia *fönu* i zgadza się po części z Hannem, przyznając, że powietrze zmuszone do wznoszenia się po jednéj stronie gór, a spadające po drugiéj, musi się ogrzewać i osuszać, zaprzecza jednak, żeby przyczyna tego spadania była taką, jak to Hann przyjmuje.

Ale wywód Héberta grzeszy pewnym brakiem należytéj ścisłości w posługiwaniu się prawami mechaniki. Nie pomaga mu téż wiele przyjęcie hipotezy, jaką postawił Faye, że przy uderzeniu wielkich cyklonów o wały gór sięgających nawet do 4000 metrów powstają miejscowe, niejako drugorzędne wiry, w których powietrze zstępuje na dół.

Tymczasem nie powiodło się Faye'mu udowodnić teoretycznie ich istnienie, a natomiast wykazał Billwiller przy pomocy licznych obserwacyi, że w Szwajcaryi w czasie *fönu* nie ma nigdzie takich drugorzędnych wirów i że po prostu w ślad za ubytkiem powietrza w podalpejskich równinach spływać ono tam musi ze stoków gór.

Jeżeli pogląd ten jest słuszny; to na południowéj stronie Alp powinienby powstawać *fön* północny w razie, kiedy by wysoki stan barometru zachodził na północno-wschodniéj stronie gór, a barometryczne *minimum* leżało na południowym wschodzie; czyli, jeżeliby ze względu na położenie łańcucha Alp rozmieszczenie ciśnienia było wprost przeciwne niż przy *fönie* południowym, wiejącym w północnych dolinach.

I tak téż jest istotnie. Ilekroć mapy synoptyczne wykazują takie właśnie rozmieszczenie ciśnienia, wieje ciepły i suchy wiatr z północy lub północnego wschodu w południowych alpejskich dolinach, dający się czuć nawet aż w Medyolanie. Zdarza się to najczęściéj w miejscowościach: Bellinzona, Lugano, Castasegna, Riva i Brixen, oraz nad jeziorem Como.

Tylko, że *fön* północny nigdy nie dorównywa potędze południowego, bo téż i barometryczne *minima* morza Śródziemnego są nie tak częste i bez porównania słabsze niż atlantyckie.

Ale co więcéj, jeżeli istotnie takie są warunki powstawania *fönu*, to powinien on się pojawiać nie tylko w Alpach, ale i w innych górach, choć może mniéj wybitnie, jeżeli konfiguracya lub wysokość gór mniéj temu sprzyja.

Nader ciekawe potwierdzenie téj myśli znaleziono tam, gdzie się tego najmniéj można było spodziewać. Gorący i suchy wiatr w lodowéj Grenlandyi, podnoszący w porze zimowéj temperaturę o 12 do 20°C, to pewnie rzecz godna zastanowienia. A dr. Rink, który go r. 1857 pierwszy opisał, nie wyobrażał sobie nawet, że ma do czynienia z najprawdziwszym *fönem*. Tymczasem podana przez niego wiadomość, iż w domach eskimosów grenlandzkich powietrze w zimie jest niezmiernie suche i o 30° do 40°C cieplejsze niż na dworze, naprowadziła Hanna, jak sam to opowiada, na pierwsze początki nowéj teoryi.

Duński uczony Hoffmeyer przekonał się, że w czasie tego wiatru znajdowało się barometryczne *minimum* w południowéj stronie cieśniny Daviskiéj, *maximum* zaś na północy Atlantyku, a wiatry takim stanem wywołane, musiały w Grenlandyi przepływać przez wyniosłości mające co najmniéj 2000 metrów.

Że *fön* występuje w Pireneach na północnéj ich stronie i to nawet dość często, temu się już dziwić nie można, bo działają tu te same barometryczne *minima*, co i w Alpach, tylko zazwyczaj już o kilka dni wcześniéj.

Ale nawet na wybrzeżach morza Kaspijskiego, jak opisuje Redde, pojawia się w zimie ciepły suchy wiatr wiejący z Elbrusa; a wielu innych podróżnych podaje podobne wiadomości z najróżniejszych stron świata.

Na jednę okoliczność należy jeszcze zwrócić uwagę. Zdarza się, lubo bynajmniéj nie zawsze, że w czasie *fönu* drobny, rozmaicie zabarwiony pył napełnia powietrze, lub wraz z deszczem spada. Przypomnijmy sobie np. ów czerwony osad na szybach okien, o którym mówi Erle. Otóż pył taki pochodzi czasem ze stron bardzo dalekich, niekiedy nawet istotnie aż z Sahary, coby się zdawało przemawiać za zarzuconą już dziś teoryą von der Lintha. Rzecz tę tak pojmować należy. W porze, kiedy nad morzem Śródziemném występują liczne, a bardzo zmienne *minima* barometryczne, powstają téż i w Afryce wichry południowe, unoszące mnóstwo pyłu z piasków pustyni, który potém dostaje się do wyższych warstw atmosfery. Jeżeli przypadkowo cyklon zdążający ku północy zaczepi o taką warstwę, to i pył jéj porwie z sobą i gdzieś daléj może osadzi, lub innym prądom przekaże.

Co do samego powstawania depresyi barometrycznych, to wszelkie dotychczasowe usiłowania nie zdołały wykazać jaki jest właściwie ich początek. Nawet powodu posuwania się ich dobrze jeszcze nie znamy. Ale to jest pytanie nie należące już, ściśle biorąc, do sprawy *fönu*, lecz do ogólnéj teoryi wiatrów, która zbyt jeszcze jest młodą nauką i czeka dalszego rozwoju.

Wróćmy teraz na chwilę do owéj burzy w Beskidach, o któréj poprzednio mówiłem. Ze wspomnianego już sprawozdania stacyi meteorologicznéj w Bielsku widzimy, że w godzinach porannych znajdowała się 8-go grudnia niezwykle głęboka depresya na zachodniéj stronie Szkocyi, a wkrótce zaczęły się wszędzie pokazywać jéj skutki. Barometr wciąż spadał, a w ciągu nocy, podczas posuwania się depresyi coraz daléj na wschód, obniżył się bardzo znacznie. W Bielsku spadło ciśnienie w ciągu 24-ch godzin o 15 mm. Prawie przy samych Beskidach, po północnéj ich stronie, nastąpiło tedy znaczne rozrzedzenie powietrza, tak iż w górach tych wiatr południowy powstać musiał. Podniósł on temperaturę z 4-ch na 7°C. A że spadek barometryczny około Bielska doszedł do 0°3 mm. na milę, więc téż i potęga burzy w zupełności się tłómaczy. Nie zatrzymując się dłużéj w Beskidach, posuńmy się w Tatry. U stóp ich le-

ży Zakopane, owa górska wioska zapisana tak mile w pamięci wszystkich, co ją znają. Stanowi ona najwłaściwszy punkt oparcia nie tylko dla tych, co w Tatrach szukają wytchnienia i rozrywki, lub pokrzepienia nadwątlonego zdrowia, ale i dla wszelkich naukowych nad Tatrami poszukiwań.

Tu właśnie miałem téż w ciągu ubiegłego lata sposobność zaznajomienia się nieco bliżéj z wiatrem halnym.

Burza, która w nocy z 16-go na 17-ty sierpnia przeszła nad Zakopanem, jakkolwiek co do gwałtowności nie dosięgła zbyt groźnych rozmiarów, przedstawia się przecież jako typowy *fön* pod względem swego źródła i charakteru.

Spójrzmy na mapę synoptyczną Europy z obu tych dni. Linie i strzałki czerwone oznaczają izobary i wiatry z 16-go sierpnia, a czarne z 17-go. Oryginał téj mapy pochodzi z centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu.

Barometryczne *minimum* które się 16-go pojawiło we Francyi, przesunęło się w ciągu doby na wschód i przeszło po za wschodnie części Niemiec sięgając aż w okolice Warszawy i jeszcze daléj. Za to drugie miejsce depresyi rozciąga się 17-go nad morzem Północném i Anglią, podczas kiedy 16-go była depresya na saméj północy Skandynawii. W południowo-zachodniéj stronie Europy wytwarza się 17-go nowe *maximum*, a 16-go było ono jeszcze na południowym wschodzie sięgając po Kaukaz. Powietrze u podnóża Tatr odpływać musi ku północy i wschodowi, co powoduje znaczne rozrzedzenie, a w ślad za tém i wiatr z gór powstaje.

Zestawiając spostrzeżenia meteorologiczne, notowane przez oba dni w Bielsku, Żywcu, Wadowicach, Krakowie, Jodłowniku, wreszcie w Poroninie i Zakopanem, a po południowéj stronie gór w Szmeksie, Debreczynie i Ungvarze; znajdujemy przedewszystkiém wszędzie silne spadanie barometru, zwłaszcza w nocy z 16-go na 17-ty. W Krakowie wyniosło ono 8 mm. w Zakopanem 10 mm. W ciągu zaś 17-go barometr zwolna znowu się podnosi. Wilgotność zeszła w Krakowie z 86% na 43%, w Jodłowniku z 77% na 51%, a w Zakopanem 76% na 22%. Temperatura we wszystkich wymienionych stacyach wzrosła. W Zakopanem najwięcéj. Wynosiła ona 16-go rano 8°C, o godzinie 2-giéj 20°C, a wieczorem 29°C. Spadek barometryczny doszedł w czasie burzy w Zakopanem do ¼ milimetra na milę.

W ciągu kilku dni, poprzedzających burzę, padały częste i obfite deszcze, ale z rana 16-go sierpnia zaczęło się niebo wyjaśniać. Powietrze stawało się coraz przezroczystsze, a w popołudniowych godzinach szczyty Kościelca i Świnicy zdawały się leżéć znacznie

bliżéj. Około 6-téj wieczorem rozpoczęły się z razu w dłuższych przerwach, co prawda słabe jeszcze podmuchy wiatru z południowego zachodu.

Oświetlenie gór zazwyczaj przy zachodzie słońca tak piękne w Zakopanem, stawało się coraz żywsze. Wydłużony grzbiet Koszystéj lśnił ciemnoczerwoną prawie fiołkową barwą, a ostre szczyty Granatów i w dali widniejące Tatry węgierskie w tém oświetleniu przypomniały mi dolomity Alp tyrolskich, błyszczące przy zachodzie słońca wspaniałém światłem purpurowém.

Wreszcie zaczęły się na szczytach gór gromadzić drobne białe chmurki i płynąć ku wschodowi i północy, dając w szczupłych wprawdzie ramach obraz tego, co Szwajcarzy murami *fönu* nazywają. Około 9-téj wieczorem zerwała się burza nad samą wsią, gdy tymczasem do sąsiednich górskich dolin, jak np. do Kościelisk zawitała już o kilka godzin wcześniéj.

W coraz to częstszych i coraz silniejszych wybuchach srożył się odtąd wicher aż do godziny 2-giéj w nocy i wstrząsał chaty góralskie. Nie doszedł jednak do takiéj potęgi, ażeby ludzkim siedzibom stać się istotnie groźnym. Bez strat i szkód po ogrodach i lasach obejść się oczywiście nie mogło, ale straty te były jeszcze względnie nieznaczne.

Nazajutrz było zupełnie spokojnie, w ciągu dnia chmurzyć się znowu zaczęło, a przed wieczorem spadł deszcz, choć niezbyt obfity.

W trzy tygodnie późniéj odezwał się wiatr halny znowu; ale przerwał on spokój nocy tylko na kilka godzin i wystąpił tak łagodnie, że nie dał nawet powodu do szczegółowych spostrzeżeń.

Wogóle wiatr halny w Tatrach daje nam wprawdzie wyobrażenie o wpływie, jaki wysokie pasma gór wywierają na prądy powietrza, spowodowane właściwém rozmieszczeniem ciśnienia atmosferycznego; ale dalekim jest od owéj grozy, jaką szerzą gdzieindziéj spokrewnione z nim burze.

Nie zmniejsza on téż bynajmniéj uroku, jaki wywierają i zawsze wywierać będą Tatry na każdy umysł wrażliwy na prawdziwe piękno w przyrodzie.

Dr. Oskar Fabian.





WOLA ZBIOROWA I ZASADA SZCZĘŚLIWOŚCI.

STUDYUM ETYCZNE.

(Dokończenie.)

Dobro i zło.

Z takich to przesłanek psychologicznych ulepił filozof niemiecki kamień węgielny dla swojéj etyki. Ale w nim bez trudności dostrzedz można coś więcéj nad podmurowanie, bo i wielki zrąb, niemal korpus cały gmachu, któremu brakuje już tylko ostatecznego wykończenia. Etyczne stanowisko Wundta zarysowało się już dosyć wyraziście. Pozostaje tylko uzupełnić charakterystykę pomysłów zasadniczych bezpośrednią, pozytywną, odpowiedzią na naczelne pytania etyki, czyli dokonać — możnaby dodać — tego, do czego powołuje naukę ów najwyższy z wymienionych imperatywów: potrzeba zdania sobie sprawy z ideałów.

Pytania te krążą po systemach pod postacią trojaką: zagadnień cnoty, szczęścia i obowiązku. Lecz wszystkie te pojęcia, stanowiące trzy główne pierwiastki dociekań nad moralnością, są nadto przypadkowe i jednostronne. Cnota przywodzi na myśl całą konduitę jednostki, jest za bardzo podmiotową. Obowiązek sprawia wrażenie jakiegoś absolutu, niezależnego od czasu i miejsca. W końcu szczęście daje pochop do nieporozumień i opacznych tłómaczeń. Słuszniéj zatém będzie, według Wundta, zastąpić wszystkie trzy kategorye formułami świeższemi i bardziéj ogólnemi; cnotę — pobudką moralną, obowiązek — normą moralną, a szczęście — celem moralnym, — i oto dalsze wywody same rozpadają się na trzy działy.

Przodem idzie problemat celów. Stosownie do rozwojowego charakteru maksym, układają się one w hierarchię. Na szczeblu

najniższym stoją cele indywidualne, a przedewszystkiém zasada zachowania swego życia. Wzięte samo przez się dążenie to jest bezwartościowém, a zyskuje cenę moralną dopiéro wówczas, gdy prowadzi do innych celów, i to takich, które dobroczynną swą stroną nie zwracają się znowu ku jednostce, ale służą ogółowi. Jest wprawdzie jeden wypadek, kiedy i cel osobisty może być chwalebny,— zdarza się to wtedy, gdy polega na wewnętrzném zadowoleniu a nawet szczęśliwości, ale takiéj, która wypływa z czynów dodatnich doniosłości powszechnéj. Gdzie tylko tego pierwiastku doszukać się nie można, tam nawet tak ładne aspiracye, jak chęć samokształcenia się, nie są wolne od zarzutu samolubstwa.

Z kolei idą cele społeczne; zajmują one szczebel wyższy, albowiem czynią zadosyć woli zbiorowéj, która powagą swą i znaczeniem etyczném o całe niebo przerasta indywidualną. Człowiek jest źdźbłem znikomém i niedługowieczném i nie powinien życia swego zapełniać myślą o samym sobie, gdyż wówczas samo wspomnienie śmierci odbierze mu energię i pogrąży w apatyi. Nawet dobro najbliższych, rodziny, krewniaków, przyjaciół nie powinno wyczerpywać dążeń moralnych, nawet potomstwo własne nie powinno być droższém nad istotę nierównie wyższego rodzaju — nad państwo, i zostające pod tarczą jego związki społeczne. Ono tylko godném jest skupiania na sobie całéj pieczy i dbałości jednostki, bo egzystencyą swą sięga w przeszłość i daleką przyszłość, a działalność osobistą rozciąga na nieskończenie rozleglejszą przestrzeń, wobec któréj utrata majątku lub kogoś z ukochanych nie ogałaca życia z wszelkiego interesu. Ale i tu pamiętać trzeba, że przez cele społeczne nie należy pojmować maksymacyi dóbr, o jakiéj mówił Bentham, ale rozrost duchowego bytu społeczeństwa, innemi słowy to tylko, co ceni historya, co zostaje wiecznotrwałą spuścizną po ludach i cywilizacyach.

Ztąd niedaleko już do celów humanitarnych, obejmujących sprawę całego człowieczeństwa, najbardziéj oderwanych od potrzeb chwili i spraw przemijających, a więc zaprawdę idealnych. Nie oddawna marzyć można o tego rodzaju ideałach. Poczucie ich jest jeszcze słabe. Ale to pewna, że są szersze nad pragnienia utylitarystów i eudemonistów, bo streszczają w sobie najwyższy rozwój wszystkich sił umysłowych i moralnych człowieka, w jego przejawach jednostkowych, społecznych i powszechnych, a zarazem misyę usuwania mu z drogi wszystkich owych zawad, które stawia, jako cele niemoralne, słabość woli, przewrotność i sobkostwo.

Zdawałoby się, że niepodobna prawić o pobudkach, jako czémś różném od celów. Kto jednak zrozumiał tajemnicę heterogonii, ten

pojmie odrazu, że obie te kategorye dalekie są od identyczności. Cel — to kompas woli; pobudka zaś—to uczucie pożądania lub niechęci, skłaniające do przedsiębrania danego kroku; pierwszy łączy się z samowiedzą, drugie może być niewyraźne, głuche, może wywołać postanowienie, zmianę w postępkach bez dokładnéj wiedzy o przyczynach jego i zamiarach ostatecznych. Życie codzienne nastręcza mnóstwo czynności, które mogłyby odpowiedziéć na pytanie: dla czego? ale nie na pytanie: po co? na co?

I pobudki układają się w drabinkę, z trzech stopni złożoną. Na pierwszym stoją tak zwane motywy uczuciowe, afekta chwili bezpośrednie, jak gdyby instynktownie popychające człowieka do czynu. Wundt nazywa je pobudkami spostrzeżenia, albowiem zazwyczaj widok jednego tylko przedmiotu, np. niebezpieczeństwa, grożącego komuś, porusza tego rodzaju sprężyny. Wogóle jest ich dwie, poczucie własnego ja i współczucie, lub jeśli kto chce samowiedza i współwiedza. Obie działają bez pośrednictwa refleksyi, ale niekiedy bardzo trafnie i celowo. Pierwsza nie oznacza bynajmniéj czegoś przeciwstawnego drugiéj, np. samolubstwa, ale po prostu ów popęd, który język gminny nazywa „pierwszą myślą", a który często bywa niezawodny, a wówczas służyć może za miarę wyrobienia moralnego; im więcéj ustalone są zasady, tém nagléj przychodzi do skutku postanowienie, tém bardziéj podobne jest do nieomylnego, natychmiastowego natchnienia, do kierowniczego jakiegoś instynktu.

Nie ustępuje mu w doniosłości współczucie. Błądzą ci, co je uważają za zjawisko wtórne, za poczucie własnego ja, raptownie przeniesione na drugą jednostkę. Kto rzuca się w rzekę dla wyratowania tonącego, działa nie pod wpływem obrazu boleści własnéj, przeniesionéj na zagrożonego, ale pod wpływem nie mniéj potężnego poczucia jedności z nim, jak ze wszystkimi wogóle równemi nam rodzajem istotami. Poczucie owo sięga nawet daléj, bo aż do stworzeń niższych od nas. Ale w tym wypadku już nie jest zdolne do przybrania drugiéj swéj formy: współradości. Zwierzęta także umieją cieszyć się w towarzystwie, ale wówczas każdy osobnik raduje się nie cudzém szczęściem, lecz własném.

Bodźcem powolniejszym jest pobudka rozwagi. Tutaj działa rachuba, wsparta na nabytém w przeszłości doświadczeniu. Już nie widok jednego faktu lub zjawiska prze do czynu, ale cały szereg ich, ukazując swe korzystne i szkodliwe strony, rodzi zastanowienie, namysł. Takie to pobudki warunkują zgodne pożycie społeczne i organizacyę zbiorowéj pracy. Motyw własnego dobra warunkuje dobrobyt jednostkowy i dlatego moralnie niższym jest od motywu

korzyści powszechnéj, który na gruncie tamtego stopniowo się rozwija i z czasem na drugi plan go usuwa, czyniąc zeń nie cel samoistny, lecz środek. Gdyby było inaczéj, gdyby każdy wyłącznie o własnym żołądku i kieszeni myślał, ciało społeczne rozpadłoby się na części.

Po nad temi grupami pobudek wznosi się trzecia najwyższa—motywów rozumnych. Naturalnie, i to są tylko uczucia, t. j. pewne odmienne od idei celu stany subiektywne, ale zrodzone przez większą jeszcze mnogość zdarzeń i przedmiotów, zrodzone na widok całego etycznego pochodu dziejów, uwarunkowane uczuciem idealném, t. j. antycypacyą ideału, nad którego urzeczywistnieniem ludzkość pracuje.

Ze stanowiska motywów moralnych najwszechstronniéj daje się objaśnić istota złego. Szkoły, zajmujące dwa przeciwległe krańce, pomiędzy którymi umieszcza swoją teoryę Wundt, to jest zupełny indywidualizm i pokrewna mu zasada pożytku, a z drugiéj strony przesadzony uniwersalizm—całą słabość swoją ujawniają tém, że nie są w stanie zadawalniająco określić natury złego. Czémże bowiem jest ono dla utylitarystów? uchybieniem idei praktycznéj, przeciwdziałaniem celom; a zatém sposób myślenia choćby najwystępniejszy, jeśli tylko nie szkodzi ogółowi — nie może zasługiwać na naganę. Dla skrajnych znowu szermierzów powszechności jednostka jest tak marnym współczynnikiem, że jéj czyny na aspiracye zbiorowe wcale nie wpływają, są więc jedynie pewnego rodzaju negacyą, niewinnym protestem zera przeciw nieskończoności.

Jeżeli jednak uznać, że wola pojedyncza i powszechna nie wyłączają się wzajemnie, ale harmonijnie sprzęgają i uzupełniają—natenczas istota złego ukaże się w jasném świetle. Będzie ona oporem woli jednostki przeciw woli ogółu, a że ta obejmuje i cele i pobudki jednocześnie, przeto nietylko rezultat działalności samolubny domagać się będzie skarcenia, ale nawet wewnętrzne jéj sprężyny: sama wola zbrodnicza, sama chęć grzeszna.

Wszelako w obu wypadkach nie jednakowy będzie stopień złego. Karygodny czyn obraża znany nam już imperatyw przymusu zewnętrznego; naganna pobudka—imperatyw swobody, wewnętrznego zadowolenia. Tamten jest zbrodnią, ten niemoralnością; tamten wykwita na gruncie nędzy i upośledzenia, ten zręcznie obchodząc prawo, kryje się w t. zw. dobrém towarzystwie. Obadwa są dziećmi potwornego urządzenia społecznego, które hoduje nadto dwa zwyrodniałe typy poczucia podmiotowego i współczucia, czyli wspomnianych już „pobudek spostrzeżenia“, mianowicie: żądzę użycia i zazdrość. Dopóki społeczeństwo dzielić się będzie na dwa

wrogie obozy: posiadających i zgłodniałych—taki stan rzeczy trwać nie przestanie.

Walka woli niższéj z wyższą odbywa się i na innych polach pomiędzy związkami społecznemi niejednakowéj wagi. Gmina może być egoistą względem państwa, naród względem społeczeństwa, społeczeństwo względem ludzkości. Idea szersza boryka się wszędzie ze szczuplejszą, jak światło dnia z ciemnością nocy.

Wszelako klęską najcięższą jest niemoralność indywidualna. Uzbrajając się przeciw niéj, człowiek wymyślił karę, a nauka ślęczy nad jéj wydoskonaleniem. Jakie są dzieje kryminalistyki, o to mniejsza. Na tém miejscu wystarczy zaznaczyć osobiste zapatrywanie Wundta. Według niego tedy, kara jest zawsze aktem woli zbiorowéj, skierowanym na jednostkową za uchybienie jéj, i żeby działać skutecznie, powinna zawierać w sobie pierwiastek słusznéj pokuty, ilościowo odpowiadający skali przestępstwa. Teorya zabezpieczania ogółu przez pozbawianie winowajcy wolności—błądzi, albowiem chcąc być konsekwentną, powinnaby więzić go tak długo, jak długo zachodzi obawa powtórzenia występnego czynu. W ten sposób rzezimieszek, słabe rokujący nadzieje poprawy, powinienby za najlżejszą kradzież nie rozstawać się nigdy z celą więzienną.

Grzeszy również jednostronnością teorya poprawy. Za cel samoistny służy jéj ugłaskanie przestępcy, wskutek czego obłudne pozory skruchy, wymyślone przez wykrętnego i sprytnego łotrzyka, stają się przyczyną grubych ze strony sprawiedliwości błędów. Zresztą już to samo, że sprawcy złego oszczędza się prawdziwéj pokuty, że mu się nie uświadamia popełnionéj winy własném jego cierpieniem, ubezwładnia cały system.

Zasada odstraszania, działająca za pomocą srogich wyroków, zbyt jaskrawe świadectwo bezsilności odbiera od codziennéj statystyki, ażeby potrzeba było dłużéj się nad nią zatrzymywać.

Jaką powinna być kara — wskazać może tylko dobrze zrozumiana jéj istota. Zbrodnia narusza powagę woli powszechnéj i równowagę etyczną, które przeto należy przywrócić, a do tego jedyna prowadzi droga — droga pokuty. Pokuta winna być sprawiedliwą i polegać na zapłacie równą miarą a nie jak bywało dawniéj, równą monetą. Wreszcie powinna oddziaływać na ogólną samowiedzę i kształcić ją—ztąd wypływa dla kary i żywioł wychowawczy.

Ale oto dotarliśmy do trzeciego, najważniejszego działu etyki, do nauki o normach. Przygotowani należytém zgłębieniem teoryi celów i pobudek, uznając jednaką doniosłość obudwu, możemy stworzyć prawidła postępowania, uwzględniające zarówno pierwsze jak i drugie. Nie dadzą się one ująć w pojedyńcze zdania, ale

w maksymy złożone, których jedna część wyrażać będzie normę subiektywną, dotyczącą motywu, druga—obiektywną, określającą cele. Razem jest ich trzy: indywidualna, która brzmi:

I. Myśl i postępuj tak, ażebyś nigdy nie tracił szacunku dla siebie samego — jest to norma podmiotowa,

oraz przedmiotowe jéj dopełnienie:

Wypełniaj to, do czegoś się względem siebie i innych zobowiązał;

społeczna orzeka:

II. Szanuj bliźniego jak siebie samego,

tudzież:

Służ społeczeństwu, do którego należysz.

Wreszcie norma ogólno-ludzka głosi:

III. Uważaj siebie za narzędzie w usługach ideału moralnego;

czemu odpowiada strona obiektywna:

Powinieneś poświęcić się celom, które uznałeś za idealne swoje aspiracye.

Tak wygląda ujęta w dogmaty kwintesencya mądrości, którą z takim mozołem i gruntownością wykłada myśliciel germański. Nie wielkie to są frazesy, ale ważkie, i nic dziwnego; stanowią owoc długiego dociekania i z tém wszystkiém, co czytelnik w krótkiém streszczeniu oglądał, z całą misterną tkanką psychologii i logiki najzupełniéj harmonizują. To samo szczeblowanie ideałów, ta sama troistość, ta sama cześć dla idei ogólno-ludzkiéj i granicząca z pogardą surowość dla zachceń jednostkowych i prywaty.

Zastosowania praktyczne.

Aż dotąd zatrzymywało uwagę czytelnika streszczenie pomysłów etycznych Wundta, ale choć śpieszno nam przejść do scharakteryzowania ich stanowiska w szeregu szkół nowoczesnych — nie podobna ominąć milczeniem wymownych kart dzieła, ilustrujących teoryę. Stałaby się krzywda myślicielowi, który nie tylko rozkłada życie moralne na składowe czynniki i sprężyny, ale i wieńczy rozbiór szkicem budowli, jaką należy wznieść na zdobytych w ten sposób zasadach.

Do tego dzieła syntezy samowolnie zaliczymy jeszcze naukę stosowania norm, w wypadkach gdy ścierają się z sobą; sama hierarchia ich jednak daje do zrozumienia, że zamiary i cele, wypływające z poczucia niższéj normy, należy składać w ofierze intencyom dyktowanym przez wyższe. A więc prawa bytu społecznego winny pokonywać roszczenia jednostki, pojęcie ideału wszechludz-

kiego—zwalczać pożądania związków społecznych. Sąd ogółu nie zawsze konieczność tę pojmuje, nie zawsze odgaduje względną doniosłość prawa etycznego i tworzy sobie najopaczniejsze o pewnych postępkach mniemanie. Zdarza się, iż parweniusza, który do majątku doszedł drogą wyzysku, kradzieży i oszustwa—usprawiedliwia, ponieważ stał się filantropem, ba, nawet pod niebiosa go wynosi z téj racyi, że koło pokrzywdzonych przez niego jest mniejsze od koła, na które spadają jego dobrodziejstwa. Ale w naiwnych tych chwalbach tkwi gruby błąd—albowiem w obu wypadkach pogwałcona została idea szersza, norma wyższa, norma poszanowania cudzego dobra na rzecz idei bardziéj ograniczonéj, bo na rzecz pewnego blizkiego grona obdarowanych.

Lecz jakże rozstrzygnąć wątpliwość, wynikającą z kolizyi dwóch równorzędnych norm? Wybierać ten z walczących z sobą celów, w którym znajduje wyraz idea szersza. Gdy np. interes jakiegokolwiek związku staje do współzawodnictwa ze sprawą gminy, gdy korporacyi ekonomicznéj pomyślność kłóci się z dobrobytem stowarzyszenia wychowawczego—gmina i wychowanie powinny zwyciężać. Rzecz prosta, iż etyka kazuistyczną być nie może i co najwyżéj, ogólny kierunek wytykać jest w stanie, nie wdając się we wszelkie możliwe rodzaje niepewności (1).

Tyle o zawikłaniach pojedyńczych. Taż sama etyka, jak już nam dowiedziono, wstrzymać się musi od postawienia ostatecznéj formuły moralności, gdy chodzi o jutro człowieczeństwa, i co najwyżéj odsłania jéj tendencye. Ze stanowiska tych tendencyi można

---

(1) Nie tyle dla względów praktycznych ile teoretyczno-logicznych Wundt długo zaprząta się odgraniczeniem dziedziny moralności od sfery prawa. Jest to dosyć obszerny traktat samoistny, którego wyniki możnaby zawrzéć w następujących punktach. Normy etyki są zasadnicze i pochodne, czyli kardynalne i wtórne, tak samo jak w matematyce aksyomata czyli prawdy zasadnicze i twierdzenia na nich oparte. Jednocześnie normy są nakazowe i zakazowe, co niemal odpowiada poprzedniemu podziałowi, albowiem wszelkie wskazówki negatywne jak np. nie kradnij, nie cudzołóż itp. dotyczą poszczególnych odstępstw od prawidła pozytywnego a więc głównego. Otóż prawo zazwyczaj głosi te normy prohibicyjne, pomijając milczeniem zasady pozytywne, których w każdym nakazie domyśleć się należy. Wzbraniając krzywdzenia bliźnich, zadawania gwałtu, obrażania czci itd.,prawo karne tém samém każe się domyślać prawideł odwrotnych: kochaj bliźniego, czyń mu dobro, szanuj go itd. Wogóle mądrość ustawowa ma za zadanie nie rozwijać ideały ludzkości bezpośrednio, ale torować im drogę przez usuwanie przeszkód i w tym celu niekiedy przedsiębierze ścieśnienia, które ze sprawą moralności nic wspólnego nie mają. Atoli dobrze pojmowane prawo, takie, jakie stworzy może przyszłość—nie powinno zadawalniać się misyą policyjno-karną, ale wprost przykładać rękę za pośrednictwem odpowiednich instytucyi do dzieła duchowego doskonalenia.

sobie wyobrazić, jaki mniéj więcéj kształt przybiorą i przybrać powinny pojedyncze dziedziny życia moralnego,—to będzie właśnie owa wspomniana już synteza... Obejmuje ona tedy byt jednostkowy, społeczny, państwowy i wszechludzki.

Każda z tych widowni domaga się oddzielnych od etyki prawideł, każda zarazem posiada kilka postaci, pod któremi występuje w rzeczywistości. Osobistość ujawnia się w trosce o utrzymanie życia swojego i swych najbliższych, a więc w dążeniach majątkowych, następnie w powołaniu, dalej w stanowisku obywatelskiém, wreszcie w życiu i aspiracyach umysłowo-estetycznych.

Egzystencya gromadna, w specyficzném znaczeniu wyrazu, składa się również z kilku typowych form: rodziny, klas społecznych i związków rozmaitych.

Działalność państwa rozważana być może z czworakiego stanowiska: jako organizacya majątkowo-gospodarcza, jako ustrój prawny, jako zjednoczenie ściślejsze żywiołów społecznych i wreszcie jako organizacya wychowania i pracy duchowéj.

Ostatnią i najwyższą dziedziną etyki praktycznéj jest ludzkość. Jak dotąd, znane są nader nieliczne przebłyski prawdziwego zespolenia ludów w jedną całość: stosunki ekonomiczne, prawo międzynarodowe, unie państw ucywilizowanych i brzask wspólności w dążeniach wyższych nad zabezpieczenie bytu materyalnego i politycznego.

Na wszystkich wymienionych momentach po kolei zatrzymuje się Wundt, zapytując, jak wpływają faktycznie na sprawę ideałów moralnych i jak mają być ukształtowane, żeby się im nie sprzeniewierzać. Poniekąd zatém jest to ciąg dalszy wycieczki w krainę dziejową pojęć o dobrém i złém, która posłużyła za wstęp empiryczny i źródło wskazówek indukcyjnych saméj teoryi,—ale dalszy ciąg uzupełniony dezyderatami na przyszłość. Obszerny i szczegółowy ich zarys zastąpmy wizerunkiem ogólnikowym.

Okaże się z niego, że, jak to zauważyć można było wcześniéj, Wundt nie należy do przyjaciół dzisiejszego ładu ekonomicznego. Tu i owdzie śle gniewne słowa pod adresem kapitalizmu, gromi toczącą się w społeczeństwie walkę wyzyskiwaczów z wydziedziczonymi. Majątkowi osobistemu, zarówno jak i społecznemu przyznaje racyę bytu w znaczeniu środka, prowadzącego do wyższych celów, ale nigdy celu samego w sobie; dlatego téż żąda, ażeby większa zapanowała równość i powszechniejsza możność uczestniczenia w życiu cywilizacyjném. Pieniądz może w najlepszym razie świadczyć o pracy, któréj jest owocem, i wtedy ze stanowiska moralnego nie zasługuje bynajmniéj na potępienie; ale gdy tylko tego czynnika

wytrwałości, pilności i tym podobnych składowych części dorobku nie ma śladu, lub, gdy obficiéj niż potrzeba nagromadzony, bezcelowo spoczywa w szkatule posiadacza—jest wyrazem egoizmu i podlejszych instynktów. W imię tejże zasady należy odróżniać i w życiu zbiorowém związki spekulacyjne od wszelkich innych, propagujących idee szersze. Wszelkie stowarzyszenia handlowe, choćby najgłośniéj o swém powołaniu cywilizacyjném trąbiące—nigdy prawdziwymi związkami nie są: członkowie ich nie znają się nawet, żadnych dążeń wspólnych nie posiadają, prócz chyba dążenia do osiągnięcia jak najwyższéj dywidendy. Etyczne ich znaczenie jest żadne w wypadku najkorzystniejszym, zazwyczaj jednak wprost ujemne.

Wielkie posłannictwo dźwiga rodzina. Nie będziemy powtarzali za Wundtem hymnów na jéj cześć—gdyż, jak łatwo odgadnąć, nie mogą nic szczególnie nowego zawierać. Uderza przecież trafnością uwaga, że miłość dla dzieci, sympatya wzajemna rodzeństwa, pieszczota matki więcéj przyczyniają się do złagodzenia i wyszlachetnienia obyczajów, niż cała cywilizacya razem wzięta. Jednak kobiecie nie dano tu tak szerokiego zakresu działalności, jakby zwolennicy bezwzględnego równouprawnienia płci mniemać mogli,—właśnie dla dobra misyi jéj w społeczeństwie. Chętny i przyjazny dla samoistnéj karyery umysłowéj kobiet, o ile wypływa ona z silnego zamiłowania i jest uzasadniona wybitnemi zdolnościami, Wundt nie pisze się zgoła na naśladowanie mężczyzn w swobodzie wyboru powołania; zwraca uwagę na różnice fizyczne i różnice organizacyi umysłowéj, które skłaniają go do odradzania kobiecie zawodu np. prawniczego lub politycznego, specyalności przyrodniczéj lub matematycznéj a zalecania jéj sztuk pięknych i literatury.

Żądając od obywatela, ażeby w zawodzie swym był sumienny, od obowiązków państwowych nie uchylał się i ojczyznie, gdy zachodzi potrzeba, niósł swe życie w ofierze—nawzajem wymaga autor od ciała politycznego i społecznego, ażeby zniosły przedziały kastowe i klasowe i wszystkim umożliwiły wspinanie się od niższych szczebli drabiny towarzyskiéj ku wyższym—i spodziewa się, że w przyszłości byt zbiorowy uznawać będzie tylko dwie warstwy: umysłowo czynnych kierowników i umysłowo biernych obywateli; ekonomiczne zaś lub rodowe podstawy różnic znikną zupełnie.

Wogóle posłannictwo państwa jest wysokie. Ono to bezkształtną masę społeczną ujmuje w organiczną całość i siły rozstrzelone jednoczy, ażeby je następnie ku podniosłym celom kierować. Ono najlepsze do tego daje środki, bo tworzy ład prawny, zapewniający bezpieczeństwo. Ono bierze w swe dłonie szale Temidy i wymierza sprawiedliwość lepiéj niż kto inny, albowiem reprezentuje działacza

i sędziego bezosobowego, a upoważnionego przez wszystkich, silnego a zarazem bezstronnego. Ono wreszcie trzyma i trzymać powinno w rękach swych ster oświaty i jaknajtroskliwiéj ją krzewić, bacząc na to, ażeby wykształcenie było o ile możności harmonijne, wspierało się na pewnych niezbędnych podwalinach, jak umiejętność historyi, przyrodoznawstwa i filozofii, które najwszechstronniéj i najskuteczniéj uświadamiają człowiekowi jego ideały,—ażeby nauka w wyższych swych sferach nie przeradzała się w pracę mechaniczną, głuchą na poloty uczucia, a z drugiéj strony nie rozpływała się w płytką wszystkowiedzę.

Wogóle cały ten dział w syntezie Wundta tchnie niepospolitym humanizmem i stanowi w niéj jedna z najpiękniejszych kart. Tam téż należycie uszanowana została religia, któréj przyznano doniosły wpływ na całe życie umysłowe i moralne ze względu na to, iż ideałom nadaje ona cechę jakiegoś transcendentalizmu i wiekuistości; że analizę trzeźwego dociekania uzupełnia pierwiastkiem twórczéj wiary i po wszystkie czasy stanowi niewyczerpane źródło motywów estetycznych i wzruszeń głębokich.

Wydobyta z ciasnych granic dogmatyki, religia staje się zdolną do dotrzymywania kroku postępowi wiedzy ścisłéj a wówczas jest tak potężną podporą dla intuicyi i sztuki, że wyrządzają jéj niesprawiedliwość ci, co pragną jéj zagłady.

Taż sama religia wreszcie bodaj czy nie najwięcéj przyczyniła się do jakiego takiego zbratania ludów—łącząc je we wspólnéj kontemplacyi dziwów i potęg fizycznych i etycznych, jednakich dla wszystkich. Idea braterstwa powszechnego dziś jeszcze zostaje w powijakach niemal, ale umacnia się bez przerwy. Każdy związek międzynarodowy, każdy akt wspólnych obrad posuwa naprzód sprawę powszechnéj zgody. Konwencye handlowe, sądowe czy pocztowe, kongresy i konferencye: wszystko to osłabia wzajemne uprzedzenia i antypatye i przygotowuje grunt pod tak szlachetne mrzonki jak pomysł kodyfikacyi prawa międzynarodowego, powszechnego sądu rozjemczego, bractwa wiecznego pokoju lub opieki nad rannymi żołnierzami itp. instytucyi. Jak na dziś są to po największéj części wzniosłe utopie, którym nielitościwie urąga współzawodnictwo narodów w gromadzeniu sił bojowych i środków niszczących, bratobójczych, ale samo ich apostołowanie, lubo nie wiele skuteczniejsze od głosu wołającego na puszczy, świadczy, iż świadomość wspólnych aspiracyi idealnych rozbudziła się, kiełkuje w wielu umysłach i kiedyś może zostanie wcieloną w czyn.

II.

Na dewizę dla swéj Krytyki czystego rozumu wybrał Kant myśl Bacona Werulamskiego. Z większą jeszcze racyą mógłby takiego godła użyć największy myśliciel Niemiec współczesnych. Wundt jest świadomym i żarliwym czcicielem faktów (choć nie dochował im wiary w swym zarysie etyki). Oto dlaczego należy go uważać za jedno z nielicznych chociaż wymownych znamion przełomu, jaki się dziś dokonywa w filozofii praktycznéj.

Możnaby nawet twierdzić, że przeszedł on i Spencera i Rolpha, choć są to jawni, że tak powiem, urzędowi przedstawiciele nauki doświadczalnéj. Ani jeden ani drugi nie zadali sobie tyle mozolnego trudu dla odebrania swym pomysłom cechy dedukcyjnéj, nie szpérali tak długo w świadectwach przeszłości dla umocnienia swych poglądów na dobro i zło. No, a porównania z myślicielami Germanii są już całkiem zbyteczne. Nietylko Leibniz i Hegel, ale nawet sam autor Krytyki praktycznego rozumu zdziwił by się niepowszednio na widok 400 bitych stronic społeczno-dziejowego materyału, mających służyć za podstawy tezie moralnéj, i pewnie by go szczególnie nie zbudowały...

Ale zmieniły się czasy. Wypada korzyć się przed tą wstrzemięźliwością od spekulacyi bez gruntu, a w dalszym ciągu zbadać, czém się różnią dane empiryczne Wundta od danych Spencerowskiego hedonizmu, że do odmiennych wniosków upoważniły,—powiadamy odmiennych, gdyż profesor lipski koniec końców dotarł do czci dla idei, do etyki czysto idealnéj.

Spencer a z nim, rzecz prosta, i wielki poprzednik jego Darwin, opierają się na całéj przeszłości życia ustrojowego. Idąc od osobników złożonych ku prostym, tém samém postępują od działalności wielostronnych, bogatych, jak np. działalność człowieka, do bytów pierwotnych, których treść duchowa jest nader szczupła, bo zaczyna i kończy się na stanach wewnętrznych, które towarzyszą czynnościom odżywczym. I jakąż stamtąd wynoszą naukę? Oto że pierwszą pobudką działania bywa dla istoty pamięć doznanéj już kiedyś za taki sam ruch lub czyn rozkoszy; tak samo jak wspomnienie uczutéj przykrości lub bólu każe unikać przedmiotów i czynów, które były jego sprawcami. Wprawdzie Rolph w swém nader godném uwagi dziele dowodzi szeregiem faktów przyrodniczych, że nie pragnienie miłych połechtań, czyli t. z. przyjemności, a jeno nieprzeparte uczucie głodu, ustawiczny ból wszystkich narządów, nigdy nienasyconych, warunkuje działalność (1), ale ta poprawka,

(1) Biologische Probleme zumal als Grundlage einer Rationellen Ethik.

jeśliby nawet przyjąć ją, w niczém nie zmienia istoty wywodów, któremi walczą etycy pożytku lub szczęścia. Tak czy owak, doświadczenie uczy, co jest pożądaném a co zasługuje na niechęć, co sprawia rozkosz a co rodzi cierpienie. To samo prawo rządzi światem uduchowionym i na wyższych szczeblach istnienia. Człowiek uspołeczniony nie przestaje nazywać dobrém tego, co rozszerza skalę jego życia, złém—tego, co mu wyrządza krzywdę, zwęża łożysko jego bytu, boli go, lub boli jego bliźnich. A gdy jedno lub drugie pochodzi nie od natury lub przypadku, lecz od woli ludzkiéj, tedy zwie pierwsze moralném, drugie — niemoralném. Doświadczenie jednak byłoby bezsilném, gdyby nie było w naturze czynników, utrzymujących stosunek między pokoleniami lub jednostkami, co z doświadczenia bezpośrednio korzystały, a temi, co je uświęciły jako zasadę lub uczuwają jako bezwiedny popęd. Tego to nieodzownego pośrednika odnaleziono w prawie dziedziczności. Jest to niby kamień filozoficzny etyki; wyjaśnia on należycie proces doskonalenia się etycznego; wykazuje, iż każda jednostka jest dziedzicem roztropności wszystkich swych przodków, jak i całéj wymarłéj ludzkości, pozwala wierzyć, iż nikt nie potrzebuje przechodzić na nowo szkoły doświadczenia, bo ma gotowe przepisy i instynkta.

Można dostrzedz, że i punkt widzenia Wundta jest rozwojowy. I on przeprowadza nas przez drabinkę organizacyi, jeno zaczyna pochód nie od zarodków ustroju jednostkowego, lecz bytu gromadnego. Tym sposobem biologii prawo głosu w rzeczach moralności zostało odebrane,—wprawdzie milczkiem ale stanowczo. Pozostały wskazówki społeczne i wysnute z nich, wielce ważne dla całości, prawo inorodztwa celów *(Heterogonie der Zwecke)*. Wywody zyskały przeto barwę więcéj psychologiczną. Nie ma w nich mowy o żadnych rozkoszach ani cierpieniu, lecz tylko o pobudkach czynu. O tych zaś powiedziano, że wiodą zazwyczaj po za upatrzoną metę, po za zamierzony cel, a tém samém dla przyszłości stwarzają nowe pragnienia, nowe dążności. Pół-ślepy popęd do działania przechodzi w motyw świadomy, no, a motyw świadomy—to właśnie cel. Jakiś zwyczaj lub obyczaj w swém zastosowaniu ujawnia niespodzianą korzyść i dobro, i jutro korzyść ta stanie się przedmiotem powszechnéj rozwagi. Dla tego cele i ideały zyskują bezustannie na treści, są w ciągłym rozwoju i nie mogą być nigdy podawane za ostateczne. Jak wiemy, myśliciel z racyi téj wstrzymuje się od kategorycznego, ustalonego określenia dobra i zła—ale słuchacz jego nie może powstrzymać się od uwagi, że inorództwo celów to coś bardzo a bardzo zbliżonego do angielskiéj nauki o do-

świadczeniu, a nawet więcéj, że to myśl ta sama, tylko w inną sukienkę przybrana.

Bez czynnika doświadczalnego Wundt rady sobie nie da; nie obszedł by się nawet bez sprężyny pożytku, jakkolwiek u niego zostaje ona w ukryciu. Gdy mówię, że bezwiedna pobudka w następstwie zaawansowała na cel świadomy, zarazem twierdzę, że postęp ten zdziałała korzyść. Pomija Wundt stronę podmiotową tego pochodu, a podkreśla jeno logiczną—ale nie powinno to nikogo wprowadzać w błąd.

Jeżeli są różnice co do przeszłości, to przyszłość tu i tam rysuje się niemal jednakowo. I Spencer nie kładzie jéj kresu, pomny na to, że ewolucya—rzecz nigdy nieskończona. I Spencer wzdraga się dać skrystalizowany kanon o istocie dobrego i złego, bo wié, że pojęcie to względne, ruchome; pojmuje tylko jedno: że celem wszelkiego postępowania jest szczęście, ale na czém ono polega—nie odważa się objaśniać, nie śmié téż zapewniać, iż jest dla wszystkich jednakiém. Wymaga tylko równości warunków do szczęścia, czyli sprawiedliwości, ale przed dalszą niwelacyą cofa się *(The data of Ethics.* Cap. XIII). Jest wogóle niechętny wszelkim katechizmom cnoty — i w téj mierze mało ustępuje filozofowi niemieckiemu.

Słowem, bez naciągania rzec można, iż różnica dwóch nazw: ewolucyonizm i heterogonizm, prawie wyczerpuje całą różnicę w podkładach faktycznych. Czyżby jednak Wundt sam nie czuł tego? Owszem, mógł czuć wyraźnie i nie bez doniosłéj zasady odbudował przeszłość podług innego planu. Oto: pragnął obejść się bez reguły dziedziczności. Widać z kilku miejsc, z saméj wreszcie krytyki utylitaryzmu, iż nie ufa zgoła teoryi przekazywania dodatnich skłonności drogą czysto fizyczną. Uważa ją po prostu za wznowienie hypotezy idej wrodzonych, jeno na gruncie materyalistycznym. Dla każdego, kto na zarzut taki godzi się, system Wundta zyskuje znaczną przewagę, bo nie posługuje się tak jawnie zdobyczami darwinizmu. Zamiast mózgu i nerwów, woli czynić przewodnikiem moralności urządzenia społeczne i cywilizacyjne: religię, zwyczaje, naukę, język, sztuki piękne, poezyą, przemysł, komunikacye, i, wyznać należy, udaje mu się to nienajgorzéj. One to podsuwają człowiekowi materyał kształcący, który prawem inorództwa coraz lepiéj i rozumniéj bywa zużytkowanym. Jest-to bądź-co-bądź formuła przekonywająca i okazała, choć mniéj chyba prosta i jasna, niż prawo dziedziczności duchowéj.

Lecz jeśli tylko z zastrzeżeniem przyznać można heterogonii nowość i świeżość — za to nie można nie powitać jéj radośnie jako niezawisłego potwierdzenia prawdy, tak drogiéj duchowi czasu

i całéj filozofii, że mianowicie: moralność może się ostać bez poparcia władz ubocznych, nadludzkich. Krzewi się i wzmaga sama, z nikłych zaczątków wyrasta na wspaniałą potęgę, służącą własnemu tylko, a więc ludzkiemu zbawieniu. Dwa zwykle przeciwne prądy: brytański i germański harmonijnie się złączyły, by zachwiać wiarę w mistyczne natchnienie, w bezwzględność religijną moralności oraz jéj rodowód nadziemski.... Idea rozwoju jest również groźną i niebezpieczną dla dawnéj, przez kościoły wynaturzonéj etyki, jak i dla całego panteonu ubiegłéj doby.

Wystąpiwszy tedy pod hasłem czystego humanizmu, lub jeśli tak rzec można, ziemskości, pomysł Wundta odbiega jednak coraz więcéj od modły hedonicznéj. Drogi rozwoju poczucia moralnego miały dużo podobieństwa, ale u kresów swych nagle się rozchodzą. Wyhodowana przez Benthama-Milla i Darwina szkoła buduje ołtarz szczęśliwości, indukcyjny idealista niemiecki—woli zbiorowéj.

Bożyszcze to, dosyć mało znane, ma właśnie zastępować cele, wytykane przez etykę pożytku i zadowolenia. A nadto ma być pomocném znanéj już zasadzie inorództwa, w rugowaniu prawa dziedziczności. Wola zbiorowa nic bowiem wspólnego z pożądaniem szczęścia mieć nie może—to jedno. A powtóre, będąc łącznikiem duchowym społeczeństwa, i kształcąc się ustawicznie—może z korzyścią odegrać rolę t. z. altruizmu.

A sprawy sympatyi lekceważyć nie wolno. We wszelkiéj etyce niepodległéj musi ona stać na pierwszém miejscu, bo od niéj zależy powaga i wartość przepisów moralnych. System ma siłę, gdy umié przekonać, że bez interwencyi mocy nadprzyrodzonych obok samolubstwa wzrośnie i zakwitnie miłość bliźniego i poszanowanie cudzego dobra. Jak wiadomo, Bentham ufał, iż egoizm z konieczności jest zarazem altruizmem, gdyż 1) kto dba o własną pomyślność, musi tém samém zjednywać sobie względy bliźnich, czyli że „ręka rękę myje“ i 2) człowiek jako zwierzę społeczne znaczną część swego dobrobytu pokłada w rozkoszach życia towarzyskiego, w miłości, przyjaźni, współczuciu smutkom i radościom — dla tego samego przeto musi być dobrym i uczynnym. Dzięki tym dwom potrzebom rozumna troska o własne szczęście staje się najdzielniejszą dźwignią „mnożenia szczęśliwości“ *(the greatest hapiness of the greatest number)*. J. S. Mill jeszcze większy położył nacisk na samorództwo altruizmu. Dla tamtego harmonia interesów spoczywa w nich samych; słynny zaś autor „Utylitaryzmu“ uznaje ją wcześniéj, bo już w samych myślach, czuciach i woli jednostki. Zdaniem jego, tak dalece sprzężeni jesteśmy z ciałem zbiorowém, że nie podobna nam myśléć o sobie, żeby nie pamiętać zarazem

o innych. Dzieje się to na skutek konieczności psychologicznéj, która z pożycia wspólnego wypływa, a która stanowi najwyższe stadyum rozwoju właściwości duchowéj, zwanéj kojarzeniem wrażeń, wyobrażeń i pojęć.

Owóż Wundt'owska wola zbiorowa stanowi sprężynę, jeszcze bardzo do asocyacyi pojęć zbliżoną. Przynajmniéj pierwszém jéj zadaniem wykazać, że jednostka sama przez się jest zerem, i staje się czémś, li połączona z duchem społecznym. Dowodzi Wundt, że dbałość o własne dobro prędko znajdzie się u kresu i sama siebie zaneguje. Życie indywidualne zamało posiada interesu i treści, by całkiem mogło wypełniać działalność. I człowiek, jeśli nie chce spojrzéć w oczy straszliwéj czczości i pustce, musi zespolić się z ogółem, z historyą i całą przyszłością.

Naturalnie taki interes zbiorowy daleki jest od pogoni za szczęśliwością; i oto mamy drugie posłannictwo gromadnéj woli,— punkt ciężkości całego systematu, moment, który go naprawdę i jaskrawo odróżnia od tamtych. Tu przeciwieństwo występuje dosadniéj, bo wszelkim dążeniom jasnym, pozytywnym, jak: szczęście lub pożytek, odmówiono wręcz wartości.

Nie masz jednostek, ale są tylko społeczeństwa; nie masz żadnego *ja* ani *ty*, ale twór nad nie wyższy i odrębny. Nie masz atomów, ale organizm. Jednak co dziwna, to że nawet „największe szczęście największéj liczby" nie zadawala Wundta, choć możnaby mniemać inaczéj. Gdy się wzniesiemy po nad sprawy osobiste i każemy im milknąć wobec szczęścia powszechnego, gdy słowem zepchniemy egoizm na stanowisko podrzędne — wtedy, zdawałoby się, uczynimy zadość wymaganiom woli zbiorowéj? Nie—jéj i altruizm najczystszy jest obojętnym. Zrywa ona ze wszystkiém, co trąci zadowoleniem, bo mówi śmiało, że suma, a nawet wypadkowa pojedyńczych dobrobytów równa się nicości. Daremnie szukałby kto klucza do téj iście cudownéj dyalektyki. Nie da go ani matematyka, ani logika. I stajemy osłupieni przed tezą, która najpierwotniejszéj naszéj wierze, iż „dwa a dwa czyni cztery"—wyraźny kłam zadaje!

Lecz czémże w takim razie wola zbiorowa ma nas zachęcać i podbijać? Bo acz pozbawieni jéj wyrazu ostatecznego, na który nie pozwala jéj natura płynna, całkiem bez drogowskazu obywać się nie możemy. Czyżby godłem ciągłego doskonalenia się, jednostkowego lub powszechnego? I to nie. Ani Schleiermacher z Krausem, ani krańcowy ich następca Hegel, ani perfekcyoniści starożytni, jak stoicy, epikurejczycy, perypatetycy z swym rzecznikiem najnowszym, Leibnizem, nie zadawalają Wundta. Rozwój

bowiem, zdaniem jego, przechyla się zawsze ku jakiéjś szczególnéj gałęzi życia, np. umysłowéj lub estetycznéj — a wola zbiorowa specyalizacyi zgoła nie znosi.

Gotówby ktoś podejrzéwać, że skoro Wundt odwraca się nawet od takich, przecie niemateryalnych wcale pragnień—więc bije pokłony Molochowi, jakiéjś wszystko pożerającéj powszechności? że wzorem Hobbesa uważa ustrój społeczny za jakiegoś Lewiatana, groźnego i żarłocznego? Daleki on od tego. Bo chociaż wyróżnia rozwój bezwzględny, głoszony przez Hegla, — ma za złe, iż jednostkę uczynił całkiem bezsilną i bierną, z czego wynika, że chce i w pojedyńczym człowieku widziéć podmiot, pewnemi prawami obdarzony.

W rzeczy saméj duch, jaki wieje z etyki niemieckiego myśliciela, jest o wiele łagodniejszy. Nie zraża tak bardzo, nie straszy wojenną dyscypliną. Dużo w nim ludzkiéj życzliwości i aspiracyi pokojowo-braterskich, które przywodzą trochę na myśl mrzonkę Kanta o republice powszechnéj. Jest to raczéj pogodne, z niejaką ekstazą uśmiechnięte oblicze proroka lepszéj przyszłości, niż sucha, karcąca twarz sztywnego moralisty i społecznika. Potrafi on z przedziwną sztuką, w sposób ujmujący i sympatyczny owionąć tchnieniem uniwersalności i wiekuistości; umié przekonać, że byt rozstrzelony jest jak pusta wydma piaszczysta, na któréj nie rośnie nic, prócz karłowatych chwastów; wolny od rojeń tęczowych, nieznacznie a wytrwale solidaryzuje nas z pokoleniami wieków ubiegłych i najdalszém potomstwem, tak, iż czujemy, jak nas zewsząd ogarnia atmosfera idealna; postrzegamy całą nicość samolubstwa i prywaty.

Jak Spencer np. po drobnych szczeblach wznosi nas od zawiązków życia moralnego do jego poziomów wzniosłych i zmusza do wiary, iż to jedna nić ewolucyjna, — tak samo Wundt, rozszerzając stopniowo ramy duchowéj egzystencyi, pomału w wyobraźni czytelnika zacieśnia węzeł, łączący osobistość z wolą zbiorową, i co najważniejsza, zależność od niéj pogłębia.

Trudno w tém miejscu powstrzymać się od uwagi, że przez myśliciela tego przemawia oczywiście tradycya narodowa. Niemcy hołdują idei organizacyi i jak wiadomo wcielają ją w osobne, często naciągane systemy. Tak zwana „szkoła organiczna“ prawa państwowego, wielkie zajęcie się socyalizmem, zarysy Schaefflego i Lilienfelda: wszystko to objawy tego samego nastroju, który stworzył teoryę rządu policyjnego i hegelianizm.

Jeno, powtarzamy, Wundt należąc do nich rodzajem, gatunkowo przewyższa ich o całe niebo. Wchłonął w siebie pierwiastki

psychologii zbiorowéj, którą uprawiają Lazarus i Steinthal, ale zachował się odpornie wobec nagabywań społecznego absolutyzmu. Stąd jego fizyognomia na wskróś humanitarna.

Stąd również znamienna i ciekawa w wysokim stopniu cecha jego idealizmu. Zazwyczaj kult idei bywa wyssanym z palca; bywa jakiémś nabożeństwem instynktownóm, a jak mówi logika, apriorystycznóm, spekulacyjnóm. Nic podobnego u Wundta. Tu idealizm wystrzelił na gruncie nader subtelnéj i ścisłéj psychologii,— poważnéj, bo badanie ducha zbiorowego dla wielu, jak Lindner, Taine, Renan i inni, ma wagę wyjątkową i coraz więcéj się szerzy. Wundt uzasadnił mocno postulat spójni i tém jeszcze, że doszedł doń po śladach ewolucyi etycznéj, którąśmy na wstępie poznali bliżéj. Zdaje się, że nazwa „empirycznego (w sensie miana, nadawanego dziś filozofii angielskiéj) idealisty“ nie najgorzéj pasowałaby do niego.

* * *

Z tém wszystkiém znak pytania stoi, jak stał. Można się ukorzyć przed rozkazem powyższym, powagę jego uznając, ale to mu nie doda wcale barwy, albo raczéj nie odejmie piętna mglistości i niezdecydowania. Wiemy, że jest wrogi zasadzie szczęścia, lecz czemu sprzyja? Boć chcąc czy nie chcąc, na pewien choćby kawał czasu każdy musi sobie powiedziéć, co jest dobre i moralne, a co złe i karygodne?

Widzieliśmy, że i Wundt od dogmatyki uchylić się nie zdołał (nauka o normach). Gdy jednak zechce kto określić ją bliżéj, znajdzie, iż filozof mimo całą swą konsekwencyę i oględność, ustrzedz się nie zdołał od ukośnych spojrzeń w kierunku idei szczęśliwości. Pomijając już niedosyć szczelnie zasłonięty dla bacznego oka czynnik doświadczenia a więc i korzyści— w wiadomym pochodzie inoródczym — słyszymy z własnych ust jego wyznanie, zdolne zachwiać silnie całym tym gmachem anti-hedonizmu. Bo oto co głosi na str. 437 „Etyki“:

> „Natura woli sprawia, że uczuciowe pierwiastki świadomości mają w przyczynowości postępków znaczenie decydujące. Woli musi towarzyszyć zawsze pożądanie, lub wstręt; oboje zaś związane są z uczuciem rozkoszy, lub przykrości. Innych, samoistnych pobudek uczuciowych nie ma: człowiekiem nie rządzą raz uczucia bezpośrednie, innym razem rozwaga — lecz zawsze uczucia. Te znowu mogą być związane bądź z wyobrażeniem bezpośredniém...., bądź z całym łańcuchem celowo zczepionych wyobrażeń, dotyczących

bliższych lub dalszych celów empirycznych (konkretnych) lub czynów, bądź wreszcie wypływać mogą z ostatecznych, idealnych celów moralnego dążenia, możliwych na razie tylko do bardzo mglistego określenia. Takie to wyobrażenia celów idealnych nazywamy ideami.“

Zdaje się, że wniosek można stąd wyciągnąć jasny i niedwuznaczny i wszelkie postępki nasze, czy obliczone są na skutek doraźny czy na odległy o lat tysiące, mają za stałego towarzysza swego poczucie szczęścia i niedoli. Świadomy tego pewnika w swéj psychologii, Wundt traci go z uwagi w etyce właściwéj i w rezultacie błądzi. A jestto pewnik wszelkiéj bezstronnéj nauki o duszy, coraz widoczniejszy w toku dziejów i coraz natarczywszy. Gdyby Wundt również pilnie baczył na psychologię historyi jak na psychologię społeczeństwa, nie mógłby nie dostrzedz, że w człowieku ów żywioł hedoniczny, owo rządzenie się uczuciem pragnienia lub wstrętu, potęguje się bezustannie. Wiek nasz jest tego dowodem najlepszym. Rozpatruje on życie i stosunki coraz wyłączniéj ze stanowiska eudemonizmu. Przestał dbać o szczęście zagrobowe, a obstaje przy potrzebie szczęśliwości doczesnéj. Jego socyologia wychodzi z założenia, że każdy kto żyje, żyć powinien znośnie przynajmniéj, jego etyka odbiera kredyt Molochom, a oddaje go samymże ludziom, ściąga cele z po za ziemi na samą ziemię; jego poezya obraca się niezmiennie za pośrednictwem największych swych rzeczników dokoła świadomości, że jest źle a powinno być dobrze na świecie. Jego filozofia wreszcie ten postęp naszéj czułości na ból i rozkosz wyraźnie podkreśla, jak to czyni np. Hartmann. Teorya iluzyi, dowodząca, iż w ludzkości wzmaga się krytycyzm, i złudzenia jedno po drugiém pryskają, jest sama w sobie wysoce prawdziwa i z istotną ewolucyą świadomości całkiem zgodna. Bo rzeczywiście, we wszystkich dziedzinach myśli odbył się przełom w duchu większych od życia wymagań. Nigdy jeszcze tylu naraz poetów i filozofów nie ważyło na szalach czysto ziemskich—ogólnéj sumy szczęścia i niedoli.

Jeżeli Wundt tak wielką powierza rolę uczuciu pożądania i niechęci w procesach woli—to dla historyozofa, wolnego od wszelkich uprzedzeń, rola ta potężnieje niesłychanie.

Jednak czém się to dzieje, że pierwiastki hedoniczne zepchnął nasz myśliciel na drugi plan? Bo stworzył sobie sztuczną dosyć różnicę między motywem a celem. Pierwszy utożsamił z przeczuciem rozkoszy lub bólu, drugi z ideą jakąś, tymczasem ideą woli zbiorowéj. Cóż to znaczy? Że, jeśli zgadzam się słuchać nakazu téj ostatniéj,—jéj wyobrażenie sprawia mi przyjemność i powoduje mną—

ale... nie ono powoduje mną, a jeno abstrakcya jakaś. Nie—tak być nie może. Żadne oderwanie takiéj mocy miéć nie może. Odcięte od poczucia czyjegokolwiek, tj. własnego lub cudzego dobra, staje się pustką, jakiémś *vacuum*, którego natura nasza nie lęka się wprawdzie, ale ukochać nie może. Tak jak w świecie realnym nic ma koloru, a jest tylko kolor czarny, biały, niebieski lub inny—tak samo w sferze sprężyn nami kierujących w życiu praktycznėm—niema samoistnéj idei absolutnéj, lecz tylko myślowe, czysto-logiczne uogólnienie szczęścia lub niedoli w pojęcie nakazu lub zakazu, zwane ideą. A więc i pojęcie woli zbiorowéj musi być koniecznie zapełnione jakąś treścią, czyjémś dobrem. Umysłowi prostaczemu, pół-świadomemu może zaimponuje formalny dogmat, ale niechaj rozbudzi się cokolwiek, niechybnie spyta swego rozumu: dla czyjego dobra ma mu być posłusznym? A wtedy odrzec sobie musi: dla przyjemności Boga, dla korzyści bliźnich itd. Prawda—często działamy odruchowo w imię głęboko w nas wszczepionéj zasady; nie zdajemy sobie przy każdym czynie sprawy z jego racyi eudemonistycznych—ale etyka nie jest czynem lecz rozwagą i analizą, jéj więc zasada koniec końców musi odsłonić swoje dno konkretne, z uczucia dodatniego lub ujemnego utworzone.

Dowodzenie to—nie nowe. Podała je cała etyka i psychogia angielska między wierszami dzieł swych, uświadomił je zupełnie Spencer, choć nie położył należnego nacisku na jéj dla filozofii praktycznéj doniosłość. Jest to jedynie zrozumiały wywód. Idea woli zbiorowéj niech się odżegnywa od wszelkiéj rozkoszy materyalnéj, a dyktuje same tylko zadowolenia duchowe—to nie zmieni postaci rzeczy: pozostanie zawsze wyrazem pogoni za jakiémś dobrem. Niech godłem postępowania zamiast „użycia“ Epikura, Holbacha i Lamettriego, zamiast „pożytku“ Benthama i Milla—będzie oczyszczona z uciech przemijających „rozkosz“ Arystotelesa, szczęśliwość jak była tak i będzie gruntem przepisów moralnych.

Lecz w téj właśnie różnicy uciech tkwi przyczyna wszelkich odmian idealizmu w etyce, a więc i Wundtowskiego. Hasło „szczęśliwość“ ma dawać pochop do nadużyć i nieporozumień, ma schlebiać popędom niższym, zapewniać sobkostwu przewagę nad miłością bliźniego. Skały to groźne; dla ich uniknienia—czyż nie lepiéj wymyślić surowy idealizm?

Ale błędem jest psychologicznym mniemanie, że wieść ludzkość ku szczęściu znaczy hołdować jéj instynktom zwierzęcym.

Natura rozkoszy ma to do siebie, że wyradza w człowieku pewną ekonomię, wskutek któréj wybiera on trwalsze. Zapewne, nie wszyscy tak czynią i zbyt różową jest nadzieja J. S. Milla, iż

gdyby głosowanie powszechne miało stanowić o względnéj wartości zadowoleń, oświadczonoby się zgodnie za duchowemi i estetycznemi. Tak dobrze nie jest i tak źle nie jest — bo byśmy już dawno chyba stali u kresu dążeń ludzkich i nie wiedzieli, co z dalszém istnieniem począć. Lecz, że wspinając się po drabince rozwoju umysłowego, ród nasz uczy się przekładać rozkosze sympatyi nad rozkosze w sobie zamkniętego egoizmu, przyjemności wolne od wstrętnych reakcyi i następstw bolesnych nad uciechy chwili — to chyba wątpieniu nie ulega. Na co szukać w marnym prochu iskier tajemnéj, mistycznéj inspiracyi, kiedy ma on swoją własną odrobinę jasnowidzenia, która radzi stronić od rozkoszy i pragnień niewdzięcznych. Na co kłamać sobie i światu hymnami na cześć boskości natury człowieczéj, kiedy w samém zwierzęciu odnosi tryumf przeczucie szczęścia dłuższego nad instynkt przelotnych połechtań? Tak przecież pojmował rzecz wielki Epikur i jego szkoła, tak prawił wielki Bentham, jeden z najjaśniejszych wieku zeszłego umysłów, gdy nazywał moralność dobrą buchalteryą szczęścia.

Jest jeszcze druga obawa, którą żywi Wundt wobec rozkrzewiania się etyki szczęśliwości: ażeby, przenosząc całą wagę czynu w jego wypadkową, nie ogołocono z wszelkiego znaczenia moralnego samych pobudek i tego stanu wewnętrznego, który czyn poprzedza, który zostaje w jednostce nieujawnionym, jako sposób myślenia, jako *Gesinnung*. Bo w rzeczy saméj utylitaryzm zgadza się i na to, by postępek wypływał z przebiegłego wyrachowania—byleby w rezultacie przyczyniał się do zwiększenia ogółu szczęśliwości.

W tym skrupule Wundta i idealistów tkwi moment niezmiernie charakterystyczny, i co ważniejsza, obnażający w metodzie jego odwrotną stronę medalu.

Oto przedemną czyn, obchodzący pewne koło ludzi. Szlachetny jest czy podły? Nie wiem — bo to zależy od interesowanych, jeśli skorzystali, a suma szczęścia powszechnego wzrosła—nazywam go szlachetnym, jeśli nie — obojętnym, jeśli przypłacili go cierpieniem—zwę go występnym. Tak rozumując, jestem względnie i możliwie wolny od powziętych zgóry uprzedzeń. Mam przed oczyma zjawisko empiryczne i sądzę je, uzbrojony w to tylko przekonanie, że jest pewne *minimum* potrzeb, właściwych wszystkim ludziom, że zaspokojenie tych potrzeb jest warunkiem szczęścia wszystkich i że przyczyniać się do niego jest pierwszym obowiązkiem a stawiać zapory — pierwszym grzechem. Opieram się tedy na prawdzie elementarnéj, świadomie czy bezwiednie uznawanéj przez wszystkich (prócz chyba ogarnionych szałem ascetycznym).

Inaczéj chce Wundt. On odrazu, nie zbadawszy nawet skutków czynu, określa jego cechę etyczną i mówi: jeśli wypłynął z pobudek zacnych — jest moralny, jeśli z niecnych — jest niecny. Lecz jakie pobudki są zacne, a jakie niecne? Na czém opiera on wiadomość o ich charakterze? Widocznie więc wiedział przedtém, co jest dobre, a co złe; widocznie przystąpił do rozbioru z gotową formułką! Gdzież się tedy podziała ścisła bezstronność i przedmiotowość?

Etyka, siląc się przedewszystkiém na definicyę moralności, powinna zrzucać z siebie wszelkie wpływy i przesądy. Kodeksom i katechizmom wolno nieprzyjemną dla idealizmu prawdę kryć pod korcem i nawet czynić tak muszą *pro publico bono*. Lecz filozofa zrażać nie powinno, że szukając rdzenia moralności, odnajdzie go w przyczynkach do powszechnego zadowolenia. To też daleko więcéj męstwa okazali Grecy a dziś Anglicy, gdyż biorą się do rzeczy po Sokratesowsku, mówiąc sobie w duchu: „ja nie wiem nic— zobaczmy, co się okaże."

Wundt sam wreszcie przyznaje swą stronność, pomimo iż zapewnia o zupełnéj indukcyjności. Na str. 426 „Etyki" czytamy:

> „Nazywają to dziś naiwnie dziecinną metodą, gdy pragniemy ustalić pojęcia etyczne z pomocą tego, co wszyscy o nich myślą. A jednak nie będziemy mieli nigdy wyższego probierza prawdy nad tę właśnie powszechność. To, co przez wszystkie normalne świadomości, pod warunkiem naturalnie dostatecznego ich wyrobienia, uznane zostało za oczywiste, nazywamy pewnikiem."

Gdyby nawet w tém *credo* nie było rażącéj giętkości—jak giętkiém i względném jest pojęcie „dostatecznego wyrobienia" — to i wtedy zostanie dziwna w naszych czasach cześć dla bożyszcz, które Bacon nazywał *idola fori*. Wundt powołuje się na pewniki matematyczne, co do których nie ma przecież różnic w poglądach! Niestety—kilkadziesiąt stronic, poświęconych ocenie etyki pożytku i szczęścia, jak gdyby wykreślił nagle Wundt ze swego dzieła—zapomniał o nich; a szkoda wielka, boć one przecież jaskrawo wyświetliły, że od niepamiętnych czasów aż do najświeższéj doby wije się przez dzieje czerwona nić niewiary i odstępstwa od „bałwanów gminu." Nie wziąć w rachubę Epikura, Bacona, Hobbesa, Lockego, po części Hume'a, daléj Helvetiusa i materyalistów francuskich, wreszcie Benthama i potężny jego, z każdym dniem potężniejszy kierunek—to trochę za bezceremonialnie.

Prawdą jest niezbitą, że ostatecznéj sankcyi szukamy w zgodzie wszystkich, lecz na tezę Wundta nie wszyscy bynajmniéj się

zgadzają. I etyka eudemoniczna oklasku powszechnego nie zjednała sobie, ale ona przynajmniéj we wszystkich systemach wykryła fakt dążenia do czyjegokolwiek dobra, — nawet w krańcowo odmiennych.

Tak tedy okazuje się, iż przedmiotowy w intencyi, profesor lipski nie zdołał się powstrzymać od dogodzenia zapatrywaniom utartym, które z krzywdą dla obiektywności postawił przed swoimi wywodami.

Jeden jeszcze doniosły zarzut czyni on etyce brytańskiéj — zarzut bardzo szerokiego znaczenia. Pomawia ją o dążności indywidualistyczne, o rozstrzelenie interesów, osłabianie spójni duchowéj, czego następstwem ogólném gorycz, zniechęcenie i wreszcie wiek teraźniejszy cechująca rozpacz. Gdyby to oskarżenie było zasadne — idea zbiorowéj woli, mająca złu przeciwdziałać, byłaby wynalazkiem cennym, a hedonizm—zbrodniczym.

Na szczęście, ciężki grzech ów nie obarcza tych, komu został przypisany. Choroba, co trapi społeczeństwo nowe, nie powstała bynajmniéj z rozwielmożnionego jakoby separatyzmu. Wykwitła ona pod tym samym cieplarnianym dachem, który hodował i wybujać pozwolił dawniejszéj, odwiecznéj, przez prawo uświęconéj walce o byt. I zamiast złorzeczyć utylitarystom — czyż nie słuszniéj byłoby dziękować im, że przyśpieszyli brzask pragnień świadomych i pewnych pretensyi? Nie należy w nowszych prądach widzieć saméj tylko zakały. Jest w nich zdrowe ziarenko postępu, jeno okryte skorupą warcholstwa i skrajności. Przebywa świat chwilę krytyczną, w któréj gorączkuje i bredzi, stąd mrzonki przechodzące w utopie, stąd egzaltacya w nowatorstwie,— w chwilach przytomnych zaś skarży się i cierpi — stąd upadek ducha. Wundt odwraca porządek faktów, gdy mówi o zwątpieniu i ze stanu wtórującego robi wynik ostateczny; prywatę podaje za skutek utylitaryzmu zamiast przeciwnie, wysnuć potrzebę ogólnéj szczęśliwości z prywaty, co więcéj zgadza się z tokiem dziejów i nie okazuje pierwszéj z nich w tak czarném świetle. Gdyby zasada szczęścia i prawo woli zbiorowéj chciały, każde zosobna, zrobić obrachunek sumienia, etyka w Niemczech rozpanoszona musiałaby iść do piekła. Cokolwiek kto rozumie przez „największe dobro największéj liczby", wszyscy się zgodzą na jedno: że niedola jednostki, choćby jednéj tylko, dewizie téj poskarżyć się może. Tymczasem wszelkie absoluty są, jak ktoś trafnie wyrzekł o metafizyce, kiszkami, które można czém kto chce zapychać. W imię ogólnego postępu, w imię uległości niewidzialnym majakom idealizmu, można tępić i z siedzib rugować całe ludy, niekiedy nawet w szczerém przekonaniu,

że się służy dla tryumfu ludów wyższych, jako wierniejszych kapłanów „ideału.“ My się tego ideału, choćby tak ujmującym i łagodnym był, jak w dziele Wundta, boimy....

* * *

Nieznane objaśnia się przez znane. Z téj prawdy wychodząc, ocenialiśmy pomysły Wundta przez porównanie z bardziéj zrozumiałemi doktrynami eudemonizmu. Okazało się, że autor ten wnosi do etyki trzy rodzaje mniemań.

Jedno z nich — całkiem nowe i cenne; mianowicie poglądowe i przekonywające naszkicowanie rozwoju, jaki odbywa się w idei etycznéj, pod wpływem różnych czynników cywilizacyjnych. Rozszerza się ona, wyszedłszy z centrum, jakiém jest np. małe plemię, i z czasem ogarnia całą ludzkość. Jest-to niby wibracya fal wodnych, coraz szerszemi kołami rozchodząca się od miejsca, gdzie rzucono kamień. Jest-to obraz samorództwa moralności, całkiém odmienny od ewolucyi angielskiéj i wybornie ją uzupełnia.

Na drugi rodzaj składają się: przedmiotowość, choć nie zawsze upilnowana, ale w Niemczech i filozofii idealistycznéj nowa (gdyż mglistych zarysów Posta i Iheringa można nie liczyć). Nikt tam tak świadomie nie oparł etyki na danych antropologii, nie użył innéj nauki za materyał empiryczny. Daléj: prawo inorodztwa celów ze wszystkiemi swemi skutkami oraz wola zbiorowa; jednak żywioły te, jak się rzekło, z wrogów łatwo można przedzierzgnąć w sprzymierzeńców idei szczęśliwości, rozwagi, pożytku, zmienności i względności morału, słowem cząstek składowych nauki Benthama, Milla i Spencera. Zamiast przeczyć im, raczéj potwierdzają ich tezy, i nie byłoby dziwném, gdyby roztropny szermierz utylitaryzmu — prócz własnego, zbroił się odtąd i w oręż, bezwiednie przez Wundta dostarczony, w obu tu nadmienionych grupach myśli.

Trzecie zaś składa się z krytyki szkół przeciwnych, podściełającéj całe dzieło, i świadczy o powierzchowném ich zbadaniu, o rozmyślném przeoczaniu ich silnych stron, i parodyowaniu zasady „maxymacyi“ szczęścia. Tu także należą odważne twierdzenia, że suma dobrobytów pojedyńczych równa się zeru, że hedonizm rodzi sobkostwo i co zatém idzie, rozgoryczenie na byt, że po określenie morału trzeba udawać się do ogółu, ta bowiem teza nagłem *salto mortale* przerzuca Wundta do wyznawców myślenia *a priori*. Te i tym podobne odkrycia zbogacają skarbiec filozofii nie złotem ale blaszkami.

Napoleon Hirszband.



HELENA MASSALSKA,

KSIĘŻNA KAROLOWA DE LIGNE. HR. WINCENTOWA POTOCKA

(Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle).

CZĘŚĆ DRUGA.

LA C-SSE HELÈNE POTOCKA.—1888.

Ogłoszenie drugiego tomu, poświęconego historyi „Wielkiéj Pani“ polskiéj, niespodzianką się stało—dla piszącéj pod pseudonimem autorki, panny Łucyi Herpin, która zwierza się obecnie przed nami z tém, iż nie myślała o dalszym ciągu swéj zajmującéj, ale wyczerpanéj, jak sądziła, powieści. Obfitość nowych źródeł, których jéj dostarczono, skłoniła ją do odmiennego postanowienia. „Notat, listów, wskazówek, tradycyi rodzinnych, niczego jéj nie zabrakło“. Nawiasem mówiąc, polskiemu pisarzowi i poszukiwaczowi „tradycyi rodzinnych“, powtarzającemu te słowa i wiedzącemu, że niema w nich przechwałki, trudno obronić się od melancholicznego zwrotu do własnych, mniéj pospolicie uprzywilejowanych losów. Ale, co jest prawdą o prorokach, prawdą także być musi o wydawcach pamiątek historycznych... I prawda ta znajduje podobno zastosowanie nawet w losach panny Herpin, skoro aż w Polsce przyszło jéj szukać swojego typu *grande-damy* z XVIII wieku...

Jakkolwiekbądź, wiadomość o gotującéj się niespodziance już w ciągu roku zeszłego rozgłoszoną została, — nie bez obudzenia pewnych obaw, tak pomiędzy licznymi przyjaciołmi autorki, jak i w szerszém kole tych wszystkich osób, dla których postać „Heleny Potockiéj“ nie może być przedmiotem obojętnéj tylko ciekawości. Przypominano sobie, iż postać ta, wdzięczna ale cokolwiek wątła i nikła, nawet pierwszego tomu wypełnić nie była w stanie, inaczéj jak w parze z zabierającą zawsze i wszędzie dużo miejsca osobą księcia de Ligne, autora 34-tomowych Pamiętników. O dalszém wyczerpywaniu tego obfitego, ale przez tyle już kałamarzy wysuszo-

nego źródła nie mogła zapewne myśléć autorka. Dalszego ciągu rozkosznego dzienniczka z „Abbaye-aux-Bois“ nie znalazła z pewnością także. Czytelnicy jéj przekonali się już, że księżna de Ligne i pani Wincentowa Potocka nie dotrzymała świetnych obietnic Helenki Massalskiéj. Z czegoż tedy miał urość ten drugi tom? Zkąd się miał wziąć jego powab? Czy nie z pociągającego, niestety, ciekawość publiczną ale wieczystego źródła, zasilonego mętnemi ściekami tego, co w każdéj „rodzinnéj tradycyi“ chować się może drażliwych, bolesnych i wstydliwych wspomnień?..

Pierwsza rozmowa ze szczęśliwą właścicielką piśmiennéj puścizny po uroczéj pensyonarce z „Abbaye-aux-Bois“ i po otaczających ją osobach rozchwiała w myśli piszącego tutaj krzywdzące te domysły. Będący dziś w rękach czytelników drugi tom fałsz im zupełny zadaje. Eksploatatorką skandalu nie uczyniła się panna Herpin. Udzielonego sobie zaufania nie nadużyła. Z dostarczonych dokumentów skorzystała z oględnością, wstrzemięźliwością i taktem godnym najżywszéj pochwały. I napisała cały tom o „Helenie Potockiéj“. I tom ten, jedną tą wątłą i nikłą postacią bezpodzielnie prawie zajęty, pustym się nie wydaje. Jest zajmujący i powabny i pełen wdzięku. Jakim sposobem?

Sposobem bardzo prostym, a nie mniéj przeto bardzo wyjątkowym, jak wyjątkowém jest zjawisko, które trafiło się w osobie naszéj polskiéj bohaterki. Przypomina sobie zapewne czytelnik bohatera bajki, który w walce z mnożącym nieskończoną liczbę sztuk i fortelów nieprzyjacielem, jedną tylko posiada i zużytkowywa sztukę, ale zwycięską. Jest coś analogicznego z Heleną Potocką. Kobiety wyższéj, w pospolitém znaczeniu słowa, nie szukać w niéj. W téj tak bogatéj galeryi postaci niewieścich, celujących szlachetnemi przymiotami umysłu i duszy, którą wiek XVIII zostawił, niemasz stanowczo dla niéj miejsca. Wykształconą po nad ogólny poziom, inteligentną po nad pospolitą miarę, dowcipną w uderzający sposób nie jest. O podnioślejszém znaczeniu swego stanowiska, jako kobiety, wielkiéj pani, obywatelki, nie ma pojęcia. Jest złą żoną pierwszego męża i niekoniecznie dobrą, choć namiętnie kochającą, drugiego. O tém, że jest polką, zdaje się najczęściéj nie wiedziéć, a w każdym razie nie poczuwa się do żadnych z tego tytułu obowiązków. Macierzyństwo nawet nie udaje się jéj. Nawet chcąc, nie umié być matką. Cóż tedy umié ona i gdzie jéj przymiot zwycięski? Umié kochać!

To jéj sztuka, to jéj sekret, za pomocą którego dziś jeszcze trafia ona do naszych serc, i oto, po latach tylu zapomnienia, zdobywa sobie na obczyźnie, śród cudzoziemców niechętnych samemu

brzmieniu jéj nazwiska, takie miejsce, jakiego by pozazdrościć mogła w zagrobowém życiu niejedna z jéj świetniejszych rówieśniczek.

Zważmy, że ani bardzo wyrafinowaną, ani nawet bardzo szlachetną nie jest ta jéj miłość. Jest raczéj trywialną; w wysokim stopniu zmysłową i w nie mniéj wysokim stopniu zazdrosną, podejrzliwą, niespokojną aż do dokuczliwości i natręctwa. Zważmy, że jéj przedmiotem człowiek cale nie osobliwy, piękny podobno i wytwornego obejścia, ale zresztą miernego umysłu i mierniejszego jeszcze serca, egoista i komedyant, Don-Żuan, bez rycerskości i aferzysta bez wyższych uzdolnień ale i bez skrupułów. Cóż tedy osobliwego widać w téj miłości? Jedną, ale wielką rzecz: prawdę! Prawdziwą jest ona, to jest szczerą bez żadnych zastrzeżeń, żadnych udanych pozorów, żadnego oszukiwania siebie czy drugich; to jest bezwzględną bez żadnych ograniczeń; to jest bezinteresowną aż do najzupełniejszéj ofiary ze wszystkiego co służyć może do całopalenia na jéj ołtarzu: nawet miłości własnéj, nawet godności kobiecéj, nawet wstydu! I utrzymuje się ona taką bez zmiany, bez żądzy przerwy, bez jednéj chwili niepewności i wahania, przez cały ciąg życia bolesnemi doświadczonego przygodami. Ta kobieta, która zaczyna od poświęcenia wybranemu przez się towarzyszowi jednego z najgodniejszych zazdrości losów, jakie wydzielone kobiecie być mogą; która, aby podążyć za nim, zostawia za sobą świetne stanowisko towarzyskie i przywiązane doń przyjemności, Paryż i jego uciechy, kochającą ją przybraną rodzinę i własną nawet a jedyną córkę; która, aby pozostać przy jego boku, skazuje się na długoletnie pokutnicze niemal życie śród niewygód, trosk materyalnych i upokorzeń; ta kobieta, odzyskawszy po latach kilkunastu, szczęśliwém trafu zrządzeniem, wszystko co straciła, stanowisko, dostatki, Paryż i córkę ową nawet zwróconą niewygasłemu w jéj sercu macierzyńskiemu przywiązaniu, rzuca raz jeszcze to wszystko, aby śród srogiéj zimy, mimo nadwątlonego zdrowia, biedz na odległą Ukrainę za niewiernym podobno małżonkiem...

Powieść panny Łucyi Herpin o „Helenie Potockiéj“ nie zaniedbuje przygodnych, romansowy wątek urozmaicających akcesoryów. Znajdzie w niéj czytelnik i trochę historyi polskiéj, (za którą, nawiasem znowu mówiąc, aczkolwiek między współpracownikami dokonanego dzieła łaskawie wspomniany, nie przyjmuję odpowiedzialności), i trochę europejskiéj; nieco epizodów, niekoniecznie może świeżych nawet dla francuskiéj publiczności, z Petersburskiego życia w ostatnich latach panowania Katarzyny II i pierwszych latach rządów Pawła, i więcéj zajmujące rysy z fizyonomii po rewolucyjnego Paryża, cośkolwiek z Ukrainy, Litwy i najrozmaitszych okolic

całego świata, Berdyczów i Wiedeń, francuskie typy emigracyjne w polskiéj gościnie, no naturalnie i nieuniknionego księcia de Ligne ze swoją nie starzejącą się galanteryą, młodzieńczą werwą i strzelistemi zawsze *bon-mots*'ami. Ale w tém wszystkiém szukać będzie podobno tenże czytelnik najskwapliwiéj saméj Heleny Potockiéj, z odsłaniającym się aż do najdrobniejszych szczegółów wyrazem jéj fizyonomii moralnéj. I będzie miał słuszność.

A jednak, nie dla uchwycenia w treściwym szkicu téj, jakkolwiek interesującéj fizyonomii upomniałem się tu o rolę sprawozdawcy; osobiście doszukałem się czegoś innego jeszcze w tym drugim tomie, leżącym przedemną; czegoś o czém nie pomyślała podobno panna Łucya Herpin, tak jak, przedrukowywując w I-ym tomie dzienniczek młodéj pensyonarki, nie zamierzyła obdarzyć nas pomnikiem systematu edukcyjnego, któremu mamy do zawdzięczenia nie jedną Helenę Potocką, ale to ogólniejsze zjawisko: kobietę XVIII wieku. Owóż inne zjawisko, szerszego także i po za pojedyńczą postać niewieścią sięgającego charakteru i znaczenia, odsłania się znowu w tym drugim tomie przed oczami piszącego tutaj, któremu zapominać nie godzi się, że jest przedewszystkiém historykiem. Tém zjawiskiem, to polska rodzina Heleny, rodzina, do któréj należą dwie pierwsze żony jéj męża, późniejsza pani Mniszchowa i pani Anna Potocka, tańcząca obok niéj w r. 1810 na balu wydanym przez goszczącego w Paryżu księcia Sasko-Wejmarskiego, i on sam, trzykrotny małżonek i szczęśliwy wszystkich trzech żon donataryusz, ubiegający się w Petersburgu, roku 1795-go, o jedno bodaj spojrzenie cesarzowéj Katarzyny, i syn jego, Franciszek, dopiero co adjutant Davoust'a a już zaraz potém szambelan cesarza Aleksandra a szczęśliwy podobno także mąż Sydonii de Ligne, téj córki, którą trzecia żona jego ojca porzuciła dla tegoż ojca! Ze stanowiska polskiéj historyografii, oto najwięcéj interesująca strona rozłożonego przed nami obrazu i dział mój osobisty w zebraném przez pannę Herpin żniwie. Ale osobistych moich zaprzątnień narzucać nikomu nie pragnę, i aby nikogo nie skrzywdzić, chcę przedstawić obraz cały, o ile zmieścić się on może w ramach pobieżnego sprawozdania.

I.

POBYT W KOWALÓWCE.

(1793—1800.)

Pierwsze chwile spędzone w téj miejscowości, z którą pierwszy tom zaznajomił już czytelnika, należą do najszczęśliwszych w życiu Heleny. Zaiste, dla wczorajszéj mieszkanki zamku w „Bel-

Oeil“ i paryskiego pałacu, Kowalówka sama przez się nie może przedstawiać zbyt wiele powabów—nawet upiększona sztuką p. Simon’a, francuskiego mistrza w ogrodnictwie i hodowaniu kwiatów, który „wyemigrował niby wielki pan“. Ale jest w Kowalówce jedna rzecz, która starczy jéj za wszystko i niczego żałować nie pozwala: jest p. Wincenty, mąż zdobyty przebojem na pani Annie Potockiéj i posiadany nakoniec bezpodzielnie, bo uwięziony w téj ustronnéj rezydencyi ukraińskiéj nie tyle podobno miękkim uściskiem pieszczących go ramion, co twardszemi okowami poplątanych dokuczliwie interesów. Pozwala się on pieścić, łaskawie przyjmuje usiłowania podejmywane dla rozerwania go, wita gładkiemi komplementami oryginalne pomysły strojów przeznaczonych dla odświeżenia tego powabu, któremu pozornie przynajmniéj ulegać się zdaje, chwali suknię „*à la memeluck en étoffe ponceau et argent*“, i drugą polskiego znowu kroju „*de soie des Indes blanche, brodée de fleurs roses*“, i trzecią kozacką „*en tyftick mordoré broché d'or*“; jest nawet zazdrosnym: kiedy wydala się z domu chociażby na jedną noc tylko, żąda, aby którakolwiek z panien służebnych spała w małżeńskiéj komnacie; i jest czułym, bo pisze z pierwszego popasu:

„Miałem serce tak ściśnięte, opuszczając ciebie, że wstrzymując łzy, dławiłem się, i dla tego nie mogłem powiedziéć ci słowa, wsiadając do powozu“.

Nakoniec wracającego z kontraktów Dubieńskich wita szczęśliwa małżonka, pokazując mu z rumieńcem na twarzy, uszyty w jego nieobecności czepeczek dla oczekiwanego gościa. Czegoż więcéj żądać?

Krótkiemi atoli i krótszemi nawet niż w zwykłej doli śmiertelników są te chwile szczęścia. Przerywa je zaś dość niespodzianym występem, w roli Makbetowego widma, osoba „o któréj zapomnieli szczęśliwi małżonkowie i mieli prawo a nawet obowiązek zapomniéć. Może i czytelnikom samym I-go tomu wyszło z pamięci to, że dramatyczne zaślubiny młodéj pary w kaplicy, trzema trumnami zawalonéj, dopełnione zostały przed ostatecznem rozwiązaniem w Rzymie dawniejszych ślubów hr. Wincentego, z hrabiną Anną (Mycielską). Władza księcia-biskupa Massalskiego, uprzedzając w ten sposób wyrok stolicy apostolskiéj, nie zdołała wszelako narzucić swéj uzurpowanéj powagi umysłowi i sercu pani podkomorzyny (tytuł mężowski razem z nazwiskiem zatrzymała hr. Anna), opuszczonéj ale zawsze kochającéj małżonki. Nieprawnie dokonany związek posłużył tylko do utwierdzenia jéj w nieporzuconych nadziejach i pragnieniach. Niewierny małżonek dał już tyle dowodów niestałości swojéj, dla czegóż trzecia nieprawna żona miała by

być szczęśliwszą od dwóch pierwszych? Postanowiła tedy hrabina Anna czekać, w przekonaniu, iż najdaléj po roku spędzonym w objęciach przywłaszczającéj go sobie rywalki i w odludnéj Kowalówce, niewierny zjawi się w Warszawie i znajdzie się u jéj nóg. Rok minął i nie sprawdził tych przewidywań. Hrabina Anna przestraszyła się, i chwytając za pióro, napisała do księcia-biskupa:

„Dowiaduję się, że mój mąż żyje publicznie w Kowalówce z księżną de Ligne, która przybiera nazwisko Heleny Potockiéj. Owóż akt unieważnienia mojego małżeństwa nie został nigdy podpisanym ani potwierdzonym w Rzymie; jadę przeto do Warszawy, dla podjęcia odpowiednich kroków, celem zerwania nieprawnego związku, i odmawiam teraz mojego przyzwolenia na rozwód.“

Hrabina Anna udzieliła tego przyzwolenia, dla odzyskania syna swojego, Franciszka; ale było to przed rokiem, i wtedy syn ten znajdował się w Kowalówce pod opieką Heleny, a niewiadomo było jeszcze, że taż Helena potrafi tak trwale przywiązać pięknego i płochego Wincentego do swojéj osoby. Ze zmianą położenia zmieniła téż pani Anna zdanie. Oczywiście na księcia-biskupa spadł teraz obowiązek bronienia i dzieła, do którego przyłożył rękę i zagrożonéj powagi swojéj. Aliści z domowemi temi komplikacyami dramatycznemi zeszły się tragiczne wypadki, których Warszawa stała się widownią w czerwcu 1794 r. Dnia 18-go czerwca (nie 28-go, jak chce panna Herpin), książę-biskup padł ofiarą chwilowego szału ludności warszawskiéj, wzburzonéj nadchodzącemi z placu boju złowrogiemi wieściami. Okropna wiadomość zastała Helenę w Kowalówce przy połogu, i po raz pierwszy, mimo obecności drogiego towarzysza i spodziewanego nowego zadatku jego miłości, odezwało się w jéj sercu uczucie osamotnienia. Znikła z przed jéj oczu jedyna po za tym, kto wié? jutro może wiarołomnym znowu towarzyszem i ostatnia podpora, na którą liczyć mogła. A zdawała się znikać także nadzieja zwalczenia niespodzianego oporu hrabiny Anny.

Pozostawał jeden środek: wyzyskanie tego wpływu, którym szczycić się miał prawo hrabia Wincenty względem całego długiego już szeregu niewieścich osobistości, napotkanych w donżuanowskim swym zawodzie, a któremu zmienne koleje tegoż zawodu nie przynosiły jakoś ujmy; osobiste odwołanie się z jego strony do szlachetniejszych uczuć porzuconéj małżonki. Środek heroiczny w oczach Heleny i niebezpieczeństw pełen. Jednak przyjęty przez nią z rezygnacyą, choć nie bez przenikających do głębi duszy obaw i serdecznych dreszczów. Jesienią r. 1794 Wincenty Potocki jedzie do Warszawy dla spotkania się tam z panią podkomorzyną. Helena

zostaje w Kowalówce z dwojgiem już teraz dziatek, z których starszy, Aleksy, zachowuje pierwszeństwo w jéj macierzyńskiéj czułości, bo w nocy nawet „chrapiąc cokolwiek, przypomina swojego ojca.“

Obawy, któremi napełnia ją niebezpieczne spotkanie bezzasadnemi nie są, jak świadczy o tém list podkomorzyny, pisany do brata nazajutrz po pierwszych odwiedzinach hr. Wincentego.

„Wzruszona do głębi duszy, chwiejąc się, zrobiłam parę kroków naprzód, aby go powitać, zaledwie zaś przemówił, uczułam budzącą się napowrót miłość, któréj nic nie zdołało wydrzéć z mojego serca; potrzebowałam ostatniego wysiłku woli, ażeby nie rzucić się w jego objęcia.“

Ale nikt lepiéj od hr. Wincentego nie potrafi, jeżeli taka jest jego wola, kłaść tamy niepożądanym uniesieniom i wylewom uczuć. Szczęściem zaś dla Heleny, wola jego w tym sensie okazuje się niewzruszoną, umacniają ją bowiem bardzo poważne względy — choć nie te, których domyślać by się chciała zostawiona w Kowalówce towarzyszka. Jak wiadomém być powinno czytelnikom, jedną z pierwszych czynności Heleny po zaprzysiężeniu dozgonnéj wierności temu, którego wybrało jéj serce, było odstąpienie mu całego prawie teraźniejszego i przyszłego majątku, ogołocenie się zupełne z krzywdą zostawionéj w „Bel-Oeil“ Sydonii. Do nabytych w ten sposób i bez skrupułu przywłaszczonych przez hr. Wincentego praw przybywała obecnie olbrzymia po księdzu-biskupie puścizna, któréj skromniejsze wiano hr. Anny nie mogło zastąpić. Uzbroił się on tedy w sztywność i obojętność, nie szczędząc jednak „ujmujących słów i manier, i niebawem mógł donieść omdlewającéj śród niecierpliwego oczekiwania mieszkance Kowalówki, że wszystko pomyślnie skończone i udzielone mu zostało pełnomocnictwo do ostatecznego przeprowadzenia procesu rozwodowego.

Niestety! radość, którą sprawiło Helenie to doniesienie, nie miała znowu być długotrwałą. Już w pierwszych miesiącach następnego roku (1795) gromadzą się nad jéj głową nowe chmury.

„Zdaje się—pisze ona — jak gdyby fatalność przywiązana była do stóp moich, i skoro tylko pomyśléć mogę, że uchwyciłam szczęście, ucieka ono odemnie.“

Pisze tak pod bolesném wrażeniem straty poniesionéj w osobie drobnéj i wątłéj Helenki, którą dopiéro co powiła. Jednocześnie zaś dochodzi ją i męża wiadomość, że za wstawieniem się księcia de Ligne, cesarzowa Katarzyna rozkazała nałożyć sekwestr na dobra po-biskupie, dla zabezpieczenia pokrzywdzonych praw Sydonii. Jednocześnie także mąż, którego obecność wetuje w jéj oczach wszystkie straty i osładza wszelkie goryczy, powołanym się

mieni do Grodna, do boku Stanisława-Augusta, którego czeka w téj chwili ostatnia dotkliwa próba: narzucony z Petersburga akt abdykacyi, a w którego otoczeniu znajduje się między innemi damami pani ex-marszałkowa nadworna, Mniszchowa (Zamojska z domu), pierwsza żona pana podkomorzego. Helena zamierzyła nie opuszczać męża; towarzyszy mu do Grodna na to, aby z ust tejże saméj p. Mniszchowéj, niespodzianą przyjaźń jéj okazującéj, dowiedziéć się o nowéj katastrofie. Hrabina Anna Potocka podpisała wprawdzie akt rozwodowy, w zamian, jak zapewnia hr. Wincenty, za dość znaczne ustępstwa majątkowe, ale podpisała go dopiéro na dniu 24 listopada 1794. Owóż dwaj synowie, któremi Helena obdarzyła swojego męża, urodzili się: Aleksy w lipcu 1793, Wincenty w maju 1794 roku. Czy tedy ustępstwa jéj uczynione (na rzecz zapewne własnego syna Franciszka) zdały jéj się po namyśle niewystarczającemi, czy dała się ona uwieść znowu nadziei odzyskania wydartego sobie małżonka, za pomocą nowych ciosów wymierzonych przeciwko teraźniejszym jego ślubom, dość że wystąpiła nagle pani podkomorzyna na drodze sądowéj przeciwko prawowitemu urodzeniu, a tém samém przeciwko prawom spadkowym dwóch dopiéro co wspomnianych synów nienawistnéj rywalki.

Charakterystycznym jest sposób, w jaki Helena przyjmuje tę wiadomość, którą hr. Wincenty obiecywał sobie ukryć przez nią.

„Wiem wszystko od pani Mniszchowéj.“ A potém rzucając się z płaczem w jego objęcia: „Ach! ja to nieszczęście ci przynoszę! Będziesz chciał mnie się pozbyć!“

Uspakaja podkomorzy jak umié najlepiéj nieszczęśliwą kobietę, ale opuszcza ją znowu i jedzie do Petersburga, dla starania się o zjednanie sobie przeciwko hrabinie Annie przemożnych wpływów dworskich i wszechwładnéj opieki imperatorowéj. Listy, które ztamtąd do żony pisuje, stanowią dość ciekawy pomnik do charakterystyki owoczesnych stosunków. Przedstawiony jéj cesarskiéj mości na ranném przyjęciu przy powrocie z cerkwi, zapytanym zostaje łaskawie pan podkomorzy o to, „czy przybywa z Niemirowa i w jakim stanie znalazł drogi“, i poczytuje to sobie za dowód wyjątkowych względów, „ponieważ rzeczą jest bardzo rzadką, iżby imperatorowa mówiła do kogokolwiek po pierwszém przedstawieniu i kilka osób komplementowało mnie z tego powodu. Jakoż było kilka osób przedniejszego stanowiska przedstawionych razem ze mną, ja zaś jeden byłem tak szczęśliwy.“

Kilkoma dniami później, dostawszy się, przy opiece Markowa, którego protekcyą zjednać sobie potrafił, do sali, w któréj odbywa się obiad kawalerów św. Jerzego i w pierwszym rzędzie widzów

naprzeciwko imperatorowéj umieszczony, ma on znowu szczęście zwrócić na siebie uwagę władczyni, która pytać go raczy przez wielkiego marszałka dworu, jak mu się podoba sala. Odpowiada bez zająknienia p. podkomorzy, „że zapewne podobała by mu się ona wielce, gdyby inny przedmiot nie przywiązywał całéj jego uwagi, co zjednywa mu uprzejme spojrzenie dostojnych oczu.“ Na drugim obiedzie dla kawalerów orderu św. Ducha, mimo równie uprzywilejowanego pomieszczenia, „nie trafia mu się to samo szczęście.“ Ale natomiast danèm mu jest widziéć po raz pierwszy pięknego Zubowa, do którego prowadzi go nazajutrz usłużny Markow z listem polecającym od Repnina. List i opieka Markowa wszechmocnemi się okazują. Mimo zbyt licznego koła dworaków niedopuszczającego poufniejszéj rozmowy, faworyt kilkakrotnie przemawia do pana podkomorzego i „wszyscy zapewniają, że pierwszego to polaka spotkało „tak łaskawe przyjęcie.“ Zabiegi zaś te wszystkie dość pomyślny w końcu odnoszą skutek. Za ofiarę nowych ustępstw, na rzecz Sydonii, za którą nie przestaje orędować książe de Ligne, imperatorowa skłania się do uprawnienia dwóch małych Potockich, których „przyjście na świat mniéj kosztowało trudu“, jak się wyraża Helena. Zostawia wprawdzie p. podkomorzy, opuszczając Petersburg, niektóre niedopełnione i nowych kłopotów powodem mające być formalności, ale dla tego, że pilno mu do Mohilewa, gdzie zatrzymała się Helena, oczekując na jego powrót, mimo rozkazów jego inną odludniejszą miejscowość na tymczasową rezydencyą jéj przeznaczających. Mohilew znajduje się na drodze do Petersburga; odwiedzają tam Helenę rzadcy, ale jeszcze zbyt liczni jak dla pana podkomorzego przejezdni, i p. podkomorzy jest zazdrosnym. Zjawia się niespodzianie na ośm dni przed zapowiedzianą datą przybycia, nie dopuszcza do objęć swoich wybiegającéj z uniesieniem na jego spotkanie małżonki; żąda pierwéj ścisłego rachunku z wszystkich jéj czynności. Ale wszystko to nic: skoro przybył nareszcie, Helena jest szczęśliwą!

Tym razem szczęście, w ten sposób jéj zwrócone, trwalszém się okazuje: trwa, w dalekiéj zawsze Kowalówce, całe dwa lata. Kowalówka przestaje być zresztą w tym czasie tą ustronną i rozrywek wszelkich pozbawioną siedzibą, którą była w pierwszych chwilach: staje się owszem punktem środkowym bardzo ożywionego życia towarzyskiego, w którém główny żywioł stanowi zaludniająca tę okolicę emigracya francuska. Miły i dowcipny Walenty Esterhazy, przyjaciel księcia de Ligne i wierny towarzysz Maryi Antoniny, przesiaduje tu z całą rodziną. Hrabina Dyana de Polignac, z braćmi i dziećmi ich, hrabia i hrabina d'Aragon, wnuczka

margr. de Mirabeau i dawna przyjaciółka Heleny, margrabiostwo de Badens z córkami i innych wielu czynią z Ukrainy „nową Francyą“, jak się wyraża księżna Lubomirska. Badens'ów, dotkniętych utratą nietylko dostatków dawniejszych ale wszelkiego nawet sposobu do życia, ugaszcza Helena w samejże Kowalówce. Pani de Badens bierze się do leczenia Heleny, którój zdrowie dość wątłe zawsze budzi niejakie obawy, za pomocą fig suszonych, stanowiących jakoby wielce posilający pokarm. Figi nie odnoszą pożądanego skutku. Pani de Badens broni z żywością swojéj recepty, i, perorując, wywraca w uniesieniu czajnik dopiéro co wrzątkiem napełniony na nogi panu podkomorzemu. Na to Helena rzuca jéj spojrzenie, „które pod ziemię chować jéj się każe.“ Ale wogóle harmonia jak najlepsza panuje w całém gronie. Helena urządza teatr amatorski, maluje sama dekoracye, sporządza kostiumy przy pomocy panien de Badens; dobiéra z łatwością doskonałą trupę artystów między Polignac'ami i d'Aragonami; próbuje nawet opery komicznéj i wystawia z powodzeniem: „*Ma tante Aurore*, *Richard Coeur de Lion*, *Zemire et Azor*, *Fanchon la Vielleuse*“ i t. d.

Dwa lata szybko mijają wśród tych uciech niewinnych — i oto „fatalność przywiązana jakoby do stóp“ biednéj Heleny zjawia się znowu na progu. Wiosną 1799 roku, podczas kilkodniowéj nieobecności hrabiego, mały Wicuś, od urodzenia słabowity, zapada na gardło. Przywołany przez sztafetę ojciec znajduje go już nieżywego i znowu staje w oczach Heleny ponure widzenie trzech trumien owych, w drodze do ołtarza napotkanych. Pozostaje jéj Aleksy, jéj ulubieniec, ładny, zdrowy i rozkoszny chłopak. I znowu w nieobecności męża, noc znajduje nieszczęśliwą matkę przy łóżeczku trawionéj przez nagłą gorączkę i dławiącéj się dzieciny. Przywołany z Niemirowa doktór kiwa głową.

— To gardło także? — pyta Helena, a otrzymując potwierdzającą odpowiedź: „Wiedziałam o tém, i t a m t e n na gardło umarł“, dadaje, myśląc o synku hrabiny Anny, którego miała w swojéj opiece. „Boże! czyż trzeba, abym i ostatnie moje dziecko straciła, dla spełnienia wyroków Twéj sprawiedliwości. A przecież pielęgnowałam t a m t e g o z narażeniem mojego życia. Ale matka jego nie wierzy temu i przeklęła mnie!“ Obecni Badens'owie patrzą z trwogą na to, jak przyciska ona usta swoje do ust biédnego chłopczyny, na których śmierć położyła już palec swój trucizną zaraźliwą namaszczony. Ostatnie z ust tych drogich odebrawszy tchnienie, pada nieszczęśliwa matka na ziemię bez zmysłów. Stara się doktór o przedłużenie sztucznemi środkami letargicznego snu, w którym pogrąża ją to omdlenie. Pogrzebowe przygotowania do-

pełniają się przez ten czas. Ale instynkt, od sztuki lekarskiéj silniejszy, budzi ją w chwili, gdy biała trumienka opuszcza próg domu; rozebrana prawie, wyrywając się przytrzymującym ją pannom służebnym, zjawia się biédna Helena śród kroczącego do kaplicy orszaku. Nieporuszona, „do klęczącego posągu podobna", towarzyszy żałobnemu obrzędowi, ale gdy biała trumienka znika w podziemiu, gdzie poprzedziły ją dwie inne, zrywa się i mocnym głosem woła: — Trzy! jest ich trzy teraz!

Poczém wynoszą ją z kaplicy omdloną znowu.

I długiém już teraz, dłuższém od chwil pogodnych jest pasmo chmurnéj, zgryzotami i troskami wypełnionéj doli. Do smutków serdecznych przybywają domowe niepokoje i majątkowe kłopoty. Interesa nie nadto umiejętną choć chciwą ręką p. podkomorzego prowadzone, plączą się w dotkliwy sposób. Nad Niemirowem i Kowalówką samą zawisła groźba wywłaszczenia. Zimą r. 1799 podkomorzy wybiera się znowu do Petersburga, zostawiając przy Helenie rządy zagrożonéj fortuny, bez pełnomocnictwa jednak, które by jéj było potrzebne dla wywiązania się z téj niewdzięcznéj roli, ale udzieleniu którego sprzeciwia się jego zazdrosny charakter. Nader ciekawą i na własny jéj charakter jasne a miłe rzucający światło, jest gospodarcza strona korespondencyi Heleny w tym czasie:

„Nie masz wyobrażenia jak dalece Kowalówka upadła z winy rządcy, który wybierał od chłopów więcéj dni roboczych niż należało... wczoraj wyszedłszy w pole, zobaczyłam jednego z nich stojącego przy swoich wołach, z których jeden upadł, aby się nie podnieść już prawdopodobnie. Powiedziałam mu, aby go wyprzągł i do domu odprowadził, bo inaczéj straci go. Odpowiedział mi bardzo rozsądnie:

„Jeżeli przestanę orać dzisiaj, jutro będę bez chleba, bo zabierają nam cały tydzień na pańszczyznę Jestem teraz „poczwórny", w jesieni będę „parowy", a za rok „pieszy."

„Odpowiedziałam mu, że nie żądam więcéj jak trzy dni, i, jeżeli wymagać będą więcéj od niego, powinien przyjść na skargę. Odrzekł mi, że kozacy nie dopuszczą go do mnie. Przyzwałam ekonomów i zakazałam pod karą utraty służby brać od chłopów więcéj niż się od nich należy. Dziś rano sprowadziłam starszych ze wsi i powiedziałam im, że jeżeli będą wybierać więcéj jak trzy dni od chłopów, niechaj mi o tém raport zdadzą. Kupię to, co im brakuje z bydła, kazałam im spis sporządzić tego, co kupione być winno i dać mi zaręczenie, że mi zwrócą koszt za rok. Daję im także ziarno na zasiew; jednėm słowem wieś będzie niezadługo w dobrym stanie, staram się bowiem usilnie o to, aby chłop nie

robił więcéj nad powinność; nie tylko ludzkość, ale nasz własny interes tego wymaga, niedługo bowiem nie byłoby wcale „ciągłych“ w Kowalówce. Kazałam, ponieważ rzeczą jest nudną i prawie niemożliwą mówić z wszystkimi chłopami, aby wybrano dwóch najrozsądniejszych, którzy w każdą sobotę na sesyi przedstawiać będą zażalenia swych towarzyszów....“

Troskliwość Heleny sięga nawet do szczegółów, których świadomość powinna być oszczędzoną jéj przez lekkomyślnego małżonka:

„Małgorzata napisała do mnie list bardzo rozczulający; umiera ona literalnie z głodu. Poleciłam Sambowskiemu, aby jéj wypłacił pensyą i odpowiedziałam jéj, że jestem pewna, iż nie wiész nic o jéj przygodach, a wiedząc sama jak dalece los jej obchodzi cię i że taką jest twoja wola, kazałam Sambowskiemu, aby jéj dał satysfakcyą; słowem starałam się pocieszyć ją i uspokoić...“

Ta Małgorzata — nie domyślił by się tego zapewne czytelnik— jest dawną kochanką hr. Wincentego!

„Kochałeś ją — dodaje Helena— to wystarcza, aby dola jéj nie była mi obojętną.“

Ale gospodarcze trudy Heleny w Kowalówce, petersburskie zabiegi p. podkomorzego nie okazują się wystarczającemi dla zapobieżenia zgotowanéj katastrofie. „Rzeczą jest niepojętą — pisze Helena do męża — że ty, który zawsze byłeś wierny interesom Rosyi, nie możesz nawet uzyskać posłuchania od cesarza!“ Sam dłuższy pobyt w Kowalówce, nad którą wiszą sekwestracyjne wyroki i areszta, okazuje się niemożliwym. Z końcem 1800 roku Helena opuszcza na zawsze tę siedzibę, gdzie obok niektórych miłych wspomnień zostawia więcéj żałobnych pamiątek, aby złączyć się z mężem najpierw w Petersburgu, a późniéj po kilkomiesięcznéj wędrówce za granicą, w nowéj nieznanéj dotąd galicyjskiéj rezydencyi w Brodach.

II.

POBYT W BRODACH.

(1803 — 1807).

Brody, *1 grudnia 1803.*

„Jestem tu od dni dziesięciu; znalazłem dom nagi i pusty, ani odrobiny drzewa na opał i nic do jedzenia. Od mego przyjazdu stolarze i tapicerzy pracowali dniem i nocą; sprowadziłem nieco sprzętów, przynajmniéj niezbędniejszych, drzewo znalazło się i spi-

żarnia została na teraz zaopatrzona; znajdziesz wreszcie, moja droga Heleno, dobre łóżko, ciepły pokój i *le strict nécessaire.* Przybywaj więc jaknajprędzéj; znajdziesz nadewszystko serce, które pokochało cię na całe życie i umiera z niecierpliwości, aby cię uściskać."

W ten sposób zaprasza pan podkomorzy do nowéj siedziby zostawioną po drodze w Tarnowie i po staremu tęskniącą towarzyszkę. Pokój ów ciepły, dla niéj przygotowany, nie dał się odszukać w zamku samym, zbyt spustoszonym. Skromniejszy dom w opodal leżącym Ostrowcu przeznaczony został na ugoszczenie powracających po długoletniéj nieobecności dziedziców. A pokój ten, zwycięsko wytrzymujący próbę grudniowych mrozów, jest jedynym. Towarzyszy mu służąca za jadalnię, bawialnię i sypialnię nawet dla rzadkich gości duża sala, tak zimna, że raz i drugi Helena zmuszona jest wstać od stołu, unikając przeziębienia, a wieczorny wist czy lombr odbywa się w jéj pokoju przed kulawą kanapą. Zasiadający do tego każdodziennego wista: major Hoffmann, były plenipotent księcia-biskupa, trzymający jeden z folwarków w posesyi i rezydujący w zamku, stara generałowa, jakaś przyjaciółka czy nawet krewna p. podkomorzego, zajmująca także kilka zamkowych pokojów, rządca Histz (?) i proboszcz miejscowy—oto teraźniejsze towarzystwo Heleny, oto jéj dzisiejsze rozrywki!

W mieście samém zabawić ją może chyba widok tłoczącéj się w ciasnych zaułkach i w błocie po kolana zanurzającéj się ludności izraelskiego wyłącznie prawie pochodzenia, któréj wizerunek, ręką księcia de Ligne skreślony, zasługuje na przytoczenie.

„Biedacy, zajmujący pośrednie miejsce między bogaczami a noszącą łachmany gromadą żebraków, zawsze w potach od ustawicznego latania po rynkach i karczmach z ofiarowywanym towarem; prawie wszyscy garbaci, broda ruda lub czarna, a zawsze plugawa, płeć sina, zęby wyszczerbione, nos długi i krzywy, wzrok bojaźliwy i niepewny, głowa chwiejąca się, włosy kędzierzawe okropne, kolana czerwone i odkryte, nogi długie płaskie i na wewnątrz stawiane, oczy zapadłe, broda długa i spiczasta, pończochy czarne, dziurawe i opadające z wysuszonych łydek i grenadyerskie czapki.... Stopień poniżenia, na którym zostawiają ich rządy, nędza, z któréj wydobyć się nie mogą, złe jadło, złe powietrze w synagogach i ulicach, które zamieszkują, utrwalają ten strój i ten wygląd, o których powiedzieć jeszcze można; *Jacob genuit Isaac* podobnego do siebie.... Mają oni pewne rodzaje cnót: zawsze trzeźwi, zawsze posłuszni, punktualni i uprzedzający rozkazy, poddani wierni swojemu monarsze i nigdy w gniew nie wpadający, czasem go-

ścinni, a kiedy bogaci to pomagający chętnie biednym. Złośliwymi są oni jedynie w Polsce, gdzie, mszcząc się za doznawane upokorzenia, nadużywają władzy, która przysługuje im po wsiach".

Zdarza się, że mróz silniejszy lub gwałtowniejsza zamięć śnieżna i wspomnianych nawet wyżéj codziennych towarzyszów nie dopuszcza do osamotnionego Ostrowca. Helena gotowaby i wtedy nie skarżyć się na swój los, skoro mąż przy jéj boku pozostaje, i innéj nie pragnąć zabawy jak ta, któréj dostarczyć może obu głośne czytanie powieści pani de Genlis lub Kotzebuego, gdyby nieodmiennym rezultatem tych wspólnie podejmowanych lektur nie było pogrążenie p. Podkomorzego w głębokie i donośném chrapaniem zapowiadające się uśpienie.

Bywają przecież wieczory, podczas których, mimo braku gości i wista, oczy p. podkomorzego pozostają otwarte. Trafia się to wtedy kiedy Helena, biorąc do rąk ulubioną niegdyś harfę, towarzyszy śpiewowi jednéj jeszcze towarzyszki tych dni samotnych, o któréj nie wspomnieliśmy dotąd. Jest nią panna Karwoska, od lat już kilku w poczet domowników przyjęta, zostawiona na gospodarstwie w Kowalówce po wyjeździe Heleny i jéj męża do Petersburga, i wielkiém zaufaniem obu a osobliwą przyjaźnią Heleny zaszczycona. Kowalówka uległa obecnie ostatecznemu wystawieniu na sprzedaż; nawet portrety familijne poszły pod młotek i panna Karwoska przybyła do Brodów, więcéj pieszczona jeszcze przez swoję panią niż dawniéj, zabierająca miejsce obok niéj w powozie czy saniach, kiedy pogoda pozwala na przejażdżkę, codziennie obdarzana sukniami, fatałaszkami, upominkami wszelkiego rodzaju. Raz gubi Helena koronkową zarzutkę; Karwoska płacze noc całą, lękając się aby jéj nie posądzono; zaczém, przyzwawszy ją do siebie, każe Helena przynieść szampańskiego wina, „aby naprawić jéj humor". Aliści wieczora jednego, zobowiązawszy swą ulubienicę do wyuczenia się nowego jakiegoś duetu, spostrzega Helena udając się na spoczynek, że nuty, które zabrać miała od swego pokoju pięknym głosem obdarzona faworytka, zostały na stole. Chce poprawić zapomnienie, ale pokój faworytki, do którego podchodzi, zamknięty na klucz, i nikt nie odpowiada na jéj wołanie. Gdzie może się zabawiać panna Karwoska o téj późnéj porze? Podejrzenie, odnoszące się do pięciu czy sześciu młodych oficyalistów zajmujących pokoje na górném piętrze, nasuwa się Helenie; odpycha je ona jednak natychmiast, i zwraca się spokojnie ku swojéj sypialni, gdy, przechodząc mimo pokoju męża, przychodzi jéj myśl powiedzenia mu raz jeszcze dobranoc. Ku jéj wielkiemu zdumieniu, i tu pukanie do drzwi żadnéj nie wywołuje odpowiedzi. Dopiero na drugie czy trzecie, z naciskiem

przez nią powtórzone wezwanie, drzwi otwierają się, i p. podkomorzy zapytuje ją opryskliwie: czego żąda. Uderzona tém przyjęciem, Helena wchodzi szybko do pokoju, nie odpowiadając a rozglądając się do koła: w pokoju niema nikogo; ale, wiedziona instynktem rzuca się ona ku przyległéj komnacie. Słychać tam krzyk przeraźliwy, i, nie omylona w bolesném swém przeczuciu małżonka wraca, ciągnąc za sobą na pół nie żywą kobietę—pannę Karwoskę.

— Wszelkie tłómaczenie byłoby zbytecznem oświadcza zimno Helena przystępującemu do niéj p. podkomorzemu, i udaje się do swéj sypialni. W kilka minut późniéj p. podkomorzy podąża za nią.

„Przyszedł spać do mojego pokoju"—pisze nazajutrz Helena, „ale nie położyłam się sama. O piątéj wrócił do siebie".

Zaledwie zaś wyszedł, zadzwoniwszy na przerażone panny służebne, wydaje Helena rozkaz zaprzężenia i odwiezienia natychmiast Karwoskiéj do siostry, w Klekotowie mieszkającéj. Rozkaz zostaje spełniony, i wtedy dopiero rzuca się biédna kobieta, nierozebrana, na łóżko. Nazajutrz wstaje i przybywa do jadalni w porze obiadowéj, ale zaledwie usiadła do stołu, siły opuszczają ją, i gwałtowna gorączka pozbawia ją przytomności. Kiedy, po ośmiu dniach, wraca do niéj świadomość otaczających ją osób i rzeczy, pamięć bolesnego odkrycia zatarła się już jakoś i pomieszała się z milszém widzeniem drogiéj sercu osoby, nieodstępującéj dniem i nocą od jéj łoża, pielęgnującéj ją i pieszczącéj nieustannie. P. podkomorzy istotnie czułym i troskliwym okazuje się nad wszelki wyraz:

„Téj nocy—pisze Helena—wstał trzy razy, aby podać mi do picia". A dwoma dniami późniéj: „Kazałam przywołać męża, ażeby widział, żem wstała. Przyrzekliśmy sobie żyć w spokoju oboje; zapewniłam go, że nie będę więcéj wyrzucać mu jego postępku, a on obiecał być wiernym odtąd i pieścił mnie bardzo. Nadzieja szczęścia może jeszcze świecić dla mnie". I nazajutrz znowu: „Prosiłam męża, aby polecił Kownackiemu napisać do Wiednia o receptę *d'une soupe pour faire des enfants*".

Niewiadomo w jaki sposób wywiązał się p. Kownacki z polecenia, ale wiadomo, niestety, że niedługim jest świt téj jutrzenki, którą obiecuje sobie Helena. W gruncie rzeczy katastrofa, któréj powodem staje się panna Karwoska, stanowi tylko epizod w nakłonionym do bolesnego rozwiązania, a wieloma innemi żywiołami zasilonym dramacie. P. podkomorzy nudzi się w Brodach, a skwaszonym nadto będąc przez zły i nie polepszający się stan swoich interesów, źle jest usposobiony dla tego idylicznego *tête à tête*, w którém Helena szuka zawsze swojego szczęścia. Ona sama, nie znajdując w tém jedyném i wyczerpującém się źródle dostatecznego pokarmu

dla swojego młodego umysłu i żywéj wyobraźni, jest bezwzględnie rozdrażniona i niespokojna; naprzykrza się mężowi i przykrym go w zamian znajduje. Przychodzi do tego, że rozprawiając o interesach z Histzem i Wolffem, Helena, w gniewném uniesieniu, oskarża dotkliwemi słowy postępowanie ubóstwionego męża, a mianowicie petersburskie jego czynności: „nie dotrzymując danego słowa, zgrywał się w karty i stracił ogromne sumy, latał za wszystkiemi kobietami a zaniedbywał interesa, tak iż ona sama byłaby uzyskała nierównie korzystniejsze warunki“. Ukryty za parawanem małżonek słucha téj perory i ztąd scena, z któréj zdając sprawę, Helena pisze: „Powiedział mi rzeczy najbardziéj obelżywe, „między innemi to, że nie chce mieć dzieci odemnie, i chce abym wyjechała, chociażbym była przy nadziei“. I do tego przychodzi nakoniec, że Helena żąda sama, aby, zabezpieczywszy jéj los, pozwolił jéj opuścić go na zawsze. I kilkoma dniami później, odprowadziwszy ją do powozu i zimnym pocałunkiem na rękę złożonym pożegnawszy, wyprawia pan podkomorzy do Lwowa porzucającą go dobrowolnie małżonkę.

(*D. n.*) *Kazimierz Waliszewski.*





WYKOPALISKO

Z POD CZERWONEGO DWORU.

Dużo się w ziemi kryje starodawnych zabytków! Każde niemal wykopalisko dostarcza nam nowych materyałów, rozjaśniających naszą przeszłość, lub, co najmniéj, potwierdzających dane raz już zdobyte. Zdawało by się, że wyorywane lub wykopywane monety (blaszki), kawały lanego srebra, lub ozdób, nic nam ciekawego powiedziéć nie są w stanie i przydać się mogą tylko do przetopienia. Tak się najczęściéj dzieje w rzeczywistości i większa część naszych wykopalisk idzie zwyczajnie do tygla złotniczego, z wielkim dla poznania przeszłości naszéj uszczerbkiem; gdyż te blaszki, kawały srebra, lub ozdoby, często rozjaśnić mogłyby nam niejednę zagadkę dziejową, na wiele nowych wniosków naprowadzić; takie wnioski znowu przy studyach nad późniejszemi wykopaliskami, zaś przechodzą już w pewnik, a zatém dają nam nową zdobycz naukową. Czynimy tu tę krótką uwagę dla tego, że niniejszy nasz opis dojdzie do rąk szerszego koła czytelników, którzy, gdy się zdarzy gdzie w ich okolicy jakie wykopalisko, wykupić je może zechcą od znalazcy; najczęściéj bowiem dotąd włościanin zbywa znaleziony skarb żydowi z sąsiedniego miasteczka, gdzie ginie bezpowrotnie dla nauki.

Jesienią 1883 r. w Czerwonym Dworze, oddalonym o 16 kilometrów od Wilna, fornal orząc pole pod zasiewy ozime, wyorał miedziany kociołek z monetami i kawałami srebra. Kociołek, który od uderzenia pługiem rozpadł się w kawały, sądząc z pozostałych czerepów, mógł miéć objętości około garnca. Monety i kawały srebra fornal pozbierał i zachował do czasu, by przy sposobności sprzedać je żydowi, który jedynie umié dochować tajemnicy,

jeżeli tego wymaga jego własny interes. Lecz, widocznie, chłopek zwierzył się komuś ze swą tajemnicą, ten ktoś drugiemu i t. d., słowem wkrótce cała okolica wiedziała o znalezionym skarbie. Przybyła policya — badano, indagowano chłopka, ale ten zaparł się wszystkiego, z obawy, by mu skarbu nie odebrano. Po upływie pewnego czasu p. Sienkiewiczowi, właścicielowi majątku, udało się wykupić, jak fornal zapewnia, cały wyorany przezeń skarb, który odstąpiony p. Moraczewskiemu, numizmatykowi z Wilna, ostatecznie przeszedł do zbiorów p. Weyssenhoffa, a ten go łaskawie udzielił nam dla analiz i studyów.

Rzeczone wykopalisko zawierało:

1) monet mistrzów inflanckich i m. Rewla	sztuk	10
2) groszy praskich: Wacława II, Jana I i Karola (1300—78)	„	14
3) monetek litewskich, których rysunki załączamy . . .	„	8
4) sztabek srebra w postaci czółna i pryzmatu	„	16
	ogółem sztuk	48

Wielka szkoda, że monetki mistrzów inflanckich i m. Rewla nie zostały nabyte wraz z całém wykopaliskiem, a dziś już podobno zaginęły bezpowrotnie; bardzo by one nam ułatwiły oznaczenie czasu zakopania skarbu; zbadawszy jednak całe wykopalisko, zdołamy może rozwiązać tę kwestyą.

Przejrzyjmy monetki litewskie, zaczynając od najwięcéj uszkodzonych; wagę podajemy tylko okazów lepiéj zachowanych.

Rys. 1. Pieniążek mocno pokruszony, ledwo dał się odtworzyć. S. G. monetki przedstawia jeźdźca zwróconego w lewo, w śpiczastym hełmie, w prawéj ręce trzyma po za sobą wzniesiony miecz. S. O. odtworzyć się dobrze nie dała, widać tylko, że przedstawia krzyż patryarchalny na tarczy; proba XIV.

Rys. 2. Monetka znacznie uszkodzona; S. G. przedstawia jeźdźca zwróconego podobnież w lewo, trzymającego, jak się zdaje, wzniesiony po za sobą miecz; S. O. na tarczy krzyż patryarchalny; próba X.

Rys. 3. Brak odkruszonéj połowy prawie monety. S. G. jeździec w prawo, w śpiczastym hełmie na głowie, trzyma w poprzek dzidę z chorągiewką o dwóch końcach, dotykających grzywy konia; po za perłowym obwodem śladu liter nie widać; S. O. na półokrągłéj tarczy krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem są ślady liter; próba IX.

Rys. 4. S. G. Jeździec w prawo, trzyma przed sobą jakby berło, może miecz; S. O. na tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem śladu liter nie widać; próba IX, waga 0,31 grm.; na zużycie metalu dodać wypadnie około 25%.

Rys. 5. S. G. jeździec w prawo trzyma przed sobą chorągiew o dwóch końcach, zwróconych ku jeźdźcowi, za perłowym obwodem śladu liter nie widać; S. O. na tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, za perłowym obwodem są ślady liter; ten pieniążek zdaje się być niedobity. Próba XV; waga 0,38 gm.; na zużycie metalu okołu 15%.

Rys. 6. S. G. jeździec w prawo, w śpiczastym hełmie, trzyma poziomo dzidę, stopa jeźdźca uzbrojona ostrogą, zbliża się do formy miecza, dokoła obwód perłowy; S. O. w śpiczasto zakończonéj tarczy krzyż patryarchalny, nad tarczą jakaś litera, zdaje się łacińskie V; za perłowym obwodem ślady pisma. Próba XIV; waga 0,45 gm. na zużycie metalu przeszło 10%.

Rys. 7. S. G. jeździec w lewo, w śpiczastym hełmie o daszku wystającym nad oczyma, trzyma w prawéj ręce po za sobą wzniesiony miecz, lewą zaś lejce; koniec miecza i szpic hełmu przechodzą po za perłowy obwód, w którym widzimy litery łacińskie, dające wyczytać: ... IIVILN.... S. O. w tarczy śpiczasto zakończonéj krzyż patryarchalny, między górnemi ramionami krzyża, po pięć kulek w krzyż ułożonych; nad tarczą—szczątki jakiejś litery, a z prawéj strony tarczy—jakiś niezrozumiały znak; za perłowym obwodem szczątki pisma łacińskiego, dające wyczytać: ... IVILNA...; próba XIV; waga 0,41 gm.; na zużycie metalu około 10%.

Rys. 8. S. G. w perłowym obwodzie chorągiew (*labarum*) na któréj krzyż maltański, a nad którą krzyż drugi podobny; po bokach chorągwi—po gwiazdce między dwiema kulkami, pod chorągwią zaś pięć kulek w krzyż ułożonych; S. O. przedstawia w perłowym obwodzie litery K.I, w otoku słowiańskiemi literami napis wspaczny: .ВОΛОΔI dO ; próba XIII, waga 0,50 gm. na zużycie metalu około 15%.

Monetki te nie są okrągłe. bite na cienkiéj blasze, przedstawiają figury i krzyże w głównych tylko zarysach, bez cienia śladu, by stempelki, wbijane w matrycę, były cyzelowane; wogóle robota nadzwyczaj gruba, tylko na monetce N. 7 rysunek nabiera cokolwiek poprawniejszych form, dla tego przypuszczamy, że jest ona najpóźniejszą ze wszystkich opisanych.

Monetki podobne do przedstawionych na Rys. 1—7, były już znane w trzech pojedyńczych okazach: u p. Ryszarda w Krakowie, p. Moraczewskiego w Wilnie i p. Weyssenhoffa, podług którego wykonano Rys. 9. Każda z tych trzech monetek jest innym stęplem bita; widzimy na nich szczątki napisu słowiańskiego „ПЕЧАТЬ“. Próba monetki na Rys. 9 jest XIV, waga 0,56 gm. a na zużycie metalu około 10%; monetka zaś będąca w posiadaniu p. Ryszarda ma

wagę 0,61 gm. a próba przedstawia jakoby srebro czyste, prawdopodobnie będzie XV, i ma być bardzo dobrze zachowaną.

P. Ryszard, w swéj broszurze (1) przyznaje ją Władysławowi Jagielle z powodu zamieszczonego na S. O. krzyża patryarchalnego. Sam krzyż patryarchalny niczego tu nie dowodzi, gdyż wiadomo, że i Witołd w 1418 r., tj. prawie równocześnie z Jagiełłą, otrzymał, krzyż patryarchalny od papieża Marcina V, jako oznakę godności wikaryusza apostolskiego *in temporalibus* na Litwę, Żmudź, Ruś itd. (2); rostrzygnąć kwestyą: komu te monetki mają być przypisane, może krytyczny pogląd na kwestyą, kto na Litwie kuł monetę: Władysław Jagiełło, czy Witołd? Wprawdzie dokumentów menniczych z téj epoki nie mamy, wiemy tylko z nadania żydom w 1388 r. przez Witołda jeszcze jako ks. na Grodnie, Drohiczynie, Łucku itd. że Witold miał swych mincarzy (3); zważywszy jednak: 1. że Litwa za czasów Witołda stanowiła prawie odrębne państwo. 2. że Witold samodzielnie rządził Litwą, nie zasięgając zdania ani rady króla Jagiełły, z którym go ciągle starał się różnić cesarz Zygmunt, 3. że dumny Witold nie chciał w niczém ustąpić od praw przywiązanych do godności wielkiego ks. Litwy, a nawet marzył o oddzielnéj koronie, 4. że w tymże czasie każdy z książąt Litwy kuł swoją monetę, jak mamy przykłady na monetach Korybuta ks. na Nowogródku i Włodzimierza ks. na Kijowie; wreszcie 5. że późniejsi wielcy książęta litewscy bili monetę ze swém imieniem, naprzykład Aleksander Jagiellończyk jako w. ks. Litwy (1492—1501) bije denary i półgroszki (na których widzimy litery A, N, M łacińskie), a jako w. ks. i król (1501—1506) bije takąż monetę, (gdzie też litery są gotyckie) (4), również Zygmunt August bije monetę w 1545—1548 r. ze swém imieniem;—to przyjdziemy do przekonania, że monetki Rys. 1—6. są zabytkiem panowania Witołda z 1418—1430 r., jak to wskazuje krzyż patryarchalny.

Ciekawy okaz przedstawia monetka Rys. 7. Wszystkie monetki tego typu są ze szczątkami pisma słowiańskiego—tu zaś widzimy pismo łacińskie. Nie omylimy się może, przyznawszy tę monetę Zygmuntowi-Korybutowi Kiejstutowiczowi (1432—1440); do tego nas

---

(1) Spis 48 numizmatów ze zbioru A. Ryszarda skradzionych. Kraków 1880 r. str. 14, tabl. 2.—XXXVI.

(2) Dr. Piekosiński Fr. O monecie i stopie menniczéj w Polsce w XIV i XV wieku. Kraków 1878 r. str. 198.

(3) Daniłowicz. Skarbiec dyplomatów odnoszących się do Litwy, Rusi itd... N. 558

(4) O monetach Aleksandra Jagiellończyka, jako w. ks. (1492—1501) i jako w. ks. i króla (1501—1506) wkrótce ogłosimy rzecz drukiem; tymczasem zaznaczamy, że na podstawie analiz przyszliśmy do powyższego przekonania.

upoważnia nietylko poprawniejszy rysunek i pismo łacińskie, lecz i podobieństwo rysunku pogoni, do przedstawionéj na pieczęci, użytéj przez tego w. księcia w 1433 r. (1).

Monetka N. 8 cokolwiek odmiennego jest stempla od opisanéj w katalogu monet rosyjskich Em. hr. Czapskiego pod N. 10 (2), która mylnie została tam zamieszczoną, gdyż w téj epoce Kijów był już pod panowaniem Litwy, jako lenne księstwo; tę monetę zgodnie z hr. Czapskim należy odnieść do panowania Włodzimierza Olgierdowicza, ks. na Kijowie (1377—1395), lecz jako monetę Litwy a nie Rusi. Litery К·I mogą oznaczać Kijów.

Opisując monetki, podaliśmy wagę przy lepiéj zachowanych okazach, próbę zaś srebra — przy opisie każdego. Dziś na ewaluacye zawcześnie, dopiéro gdy będziemy posiadali większą ilość pewnego typu tych monet, a zwłaszcza lepiéj zachowanych, wtedy ewaluacye będą możebne. Podaliśmy nadto przy każdym, lepiéj zachowanym okazie, przypuszczalny procent straty metalu, by tém ułatwić analizy przyszłemu badaczowi nad monetami Litwy średniowiecznéj. Tu tylko zaznaczamy jeszcze, że na Litwie były w pospolitym obiegu następujące monety krajowe: ruble, grosze (z rubla 100 groszy) i szelągi; o egzystencyi groszy i szelągów litewskich przekonywują nas dokumenta: przywiléj Olgierda z 1337 roku, jeszcze jako księcia na Krewie, zatwierdzający prawność kupna majątku przez Hryhorya Funkel (3), oraz nadanie Żydom przez Witołda w 1388 r. (4). Zdaje się, że opisane przez nas monetki, są to szelągi litewskie.

Przejdźmy do sztabików lanych ze srebra. 14-cie okazów składało się z połówek w formie czółna, jeden cały w takiejże postaci i jeden w kształcie pryzmatu. Przyjrzyjmy się rysunkom tych ciekawych sztabików. Rys. 10 *a*, *b*, *c*, przedstawia całkowity sztabik w formie czółna, *a*—widok z boku, *b*—widok grzbietu łódki, a *c*—wyżłobienie; rys. 11 przedstawia takiż sztabik przecięty: *a*, *b*, *c*, toż samo wyobrażają co i na rysunku 10; *d*—przedstawia nos łódki, zaś *e*—miejsce przerąbania; miejsce to, jako gładkie, przedstawiono na rysunku biało, a zacieniowane jest miejsce, gdzie po nadrąbaniu, resztę srebra niedorąbanego przełamano. Rozmiarów geometrycznych nie podajemy; nicby one nas nie nauczyły, gdyż każdy

(1) Vossberg. Siegel des Mittelalters v. Polen, Lithauen.... Berl. 1854, s. 41, tab. 22.

(2) Em. hr. Czapski. Udielnyja wielikokniażeskija i carskija dieńgi drewniej Rusi. Petersburg 1875, str. 4.

(3) Daniłowicz. Skarbiec dyplomatów N. 152.

(4) Ibidem N. 358.

sztabik, jako lany w dowolnéj formie w grubym piasku, a późniéj zwierzchu przyciśnięty, prawdopodobnie drewienkiem w stygnącym metalu, dla nadania mu wklęsłości, wedle ścisłych pomiarów, okazuje się różnym od innych: mają one tylko ogólną jednostajną formę czółna, a powinny mieć jednakową wagę i próbę srebra.

Nie ma wątpliwości, że mamy przed sobą ruble. Ruble lała Ruś, Litwa, Inflanty, Mołdawia i t. d. Ruble ruskie znamy i te nic wspólnego z przedstawionemi nie mają. O rublach litewskich, wykopanych w dobrach Kossakowskich, wspomina Czacki i zaznacza, że miały formę owalu, a próbę XV½, lecz sam ich nie widział, i opisuje je tylko z opowiadania (1); opowiadający może nie umiał należycie opisać ich formy, mogły one być podobnemi do przedstawionych obecnie przez nas. Przejdźmy teraz do analizy: poprzecinane ruble niejednakową mają wagę; trzy połówki dały wagę przybliżoną do wagi półtora całkowitego rubla, próbę zaś srebra trzymają XV½ (2). Rubel całkowity, również XV½ próby, waży 178,60 gm., a uwzględniając 2% na zużycie metalu—182,17 gm., strąciwszy zaś $^1/_{32}$ część na miedź, otrzymamy w takim rublu 176,40 gm. czystego srebra.

Wiemy, że w 1417 r. w dzień św. Katarzyny król Władysław Jagiełło pożyczył od Witolda pięćset rubli czystego srebra topienia litewskiego i obowiązał się w zamian zapłacić 1000 grzywien litewskich groszy praskich rachuby polskiéj (3). Grzywna zaś groszy praskich rachuby polskiéj z 1417 roku zawierała 88,15 gm. czystego srebra, więc rubel, odpowiadający dwom takim grzywnom, powinien zawierać 176,30 gm. czystego srebra (4).

Rubel mający kształt czółna, po dokonanéj analizie, wykazał zawartość 176,40 gm. czystego srebra, różnica zatém od rubla litewskiego, pożyczonego Jagielle w 1417 r., jest arcy mała; przytém, przy wyrachowaniu procentu zużycia metalu, możebną jest mała niedokładność (więcéj na 0,10 gm.), wolno więc nam przyjąć za pewnik, że opisane przez nas ruble są niezaprzeczenie litewskie, lane około 1417 roku.

Rubla w postaci pryzmatu (rys. 12), znalezionego pojedynczo, nie poddawaliśmy analizie, gdyż wraz z wykopaliskiem nie przeszedł do zbioru p. Weyssenhoffa; podamy natomiast analizę uczy-

---

(1) Czacki. Prawa polskie i litewskie. Warszawa 1800, t. I, str. 171.

(2) Jedna połówka ważyła 86,70 gm.; druga—89,20 gm.; a trzecia — 92,90 gm.; więc przeciętnie połówka waży 89,60 gm., czyli cały rubel 179,20 gm. — różnica od wagi całkowitego rubla wynosi więcéj na 0,60 gm.

(3) Czacki. Prawo polskie i litewskie. T. I, str. 172 i 173.

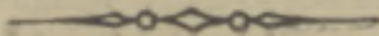
(4) Piekosiński Dr. F. O monecie i stopie menniczéj w Polsce str. 160.

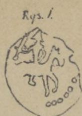
nioną na podstawie listu p. Moraczewskiego: trzyma próbę XV, waży 85,20 gm. (20 zołotników), uwzględniając 2% na zużycie 86,90 gm., a strąciwszy $1/_{16}$ na miedź, otrzymamy w takim rublu 81,49 gm. czystego srebra. Co do tego rubla trudno coś orzec stanowczego; wprawdzie wiemy, że w 1450 r. z 15 rubli srebra wagi litewskiéj, otrzymano 15 grzywien (1); wagi zaś grzywny czystego srebra z 1450 r. nie znamy, lecz poprawiona grzywna za Kazimierza Jagielończyka w 1456 r. wynosi brutto 151,53 gm., a netto tylko 56,82 gm. (2); więc być może, iż ten rubel jest inflancki? Wątpliwość tę mogą rozjaśnić tylko studya nad nowemi wykopaliskami. Co do wagi tego rubla także pewności matematycznéj nie mamy, gdyż był ważony na zołotniki, a przy podobnéj wadze, przy najskrupulatniejszém ważeniu, różnica może wynieść przeszło gram.

Rzućmy jeszcze raz okiem na całe wykopalisko. Z monet pewnych mamy: grosze czeskie z okresu 1300—1378 roku, monety mistrzów inflanckich i m. Rewla, monety Włodzimierza, ks. na Kijowie 1377—1395 roku i monetki Litwy z krzyżem patryarchalnym, wskazującym, że są wybite po 1418 r. Zapewne dziwném jest, że w tym wykopalisku nie spotykamy tak pospolitych groszy czeskich Wacława III i półgroszków koronnych Władysława Jagiełły; to nasuwa podejrzenie, pomimo zapewnień fornala, że wykopalisko nie całe przeszło w ręce p. Sienkiewicza. Sądząc z monet czeskich i kijowskiéj, zakopanie skarbu powinniśmy odnieść prędko po 1395 r., lecz monetki litewskie z krzyżem patryarchalnym dowodzą, że zakopanie skarbu nastąpiło już dobrze po 1418 roku, gdyż widzimy monetki Litwy bardzo obiegiem zużyte. Za panowania Witołda z 1418—1430 r. nie widzimy przyczyny zmuszającéj kogoś do ukrywania swego skarbu. Dopiéro w 1432 i 1435 widzimy takie przyczyny, w czasie bratobójczéj wojny między Zygmuntem a Swidrygajłłą, albo około 1440 r., gdy Zygmunt pod koniec swego panowania, wskutek podejrzliwości, prześladował Litwinów, odbierał im mienie, więził ich i katował; wtedy to najprawdopodobniéj opisane wykopalisko dostało się do ziemi. Nie omylimy się przeto, gdy czas zakopania tego skarbu wskażemy około 1440 roku.

(1) Ibidem str. 160. — (2) Ibidem str. 83 i 84.

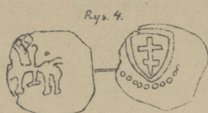
Wiktor Wittyg.



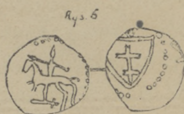

Rys. 1.

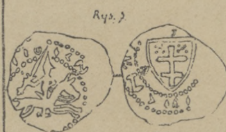

Rys. 2

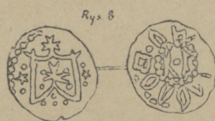

Rys. 3

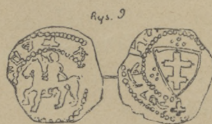

Rys. 4.


Rys. 5


Rys. 6

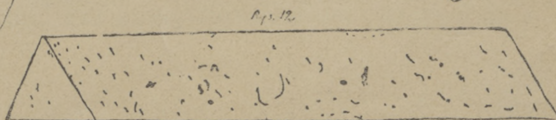

Rys. 7


Rys. 8


Rys. 9


Rys. 10
a
b
c


11
a
b
c
d
e


Rys. 12.



KAZIMIERZ JAROCHOWSKI.

(1829—1888).

Napisanie życiorysu Kazimierza Jarochowskiego jest dziś bodaj najtrudniejszém u nas zadaniem, jakie się dostać może w udziale polskiemu publicyście. Pisano już dużo i prawdopodobnie napisze się jeszcze więcéj o przedwcześnie zmarłym a tak niepospolitym mężu, ale powątpiewać należy, czy ktokolwiek skreśli rychło, a na szerokiéj podstawie, wyczerpującą, gruntowną i prawdziwie historyczną ocenę stanowiska i działalności jego. Nie dla tego, żeby trudność nieprzebytą stawiało zbadanie życiorysowego materyału, ale raczéj ztąd, że zanadto mało i zanadto powierzchownie znamy rozwój życia i bytu społecznego, politycznego z czasu, w którym głównie żył i działał Jarochowski. On może jeden znał i rozumiał epokę tę krytycznie. Czy sam przed sobą zdał sobie już z niéj sprawę, nie wiadomo, ale przypuszczać należy. Nie znalazł jednak sposobności, żeby to, co widział i rozumiał o wielkopolskich dziejach i stosunkach z ostatnich lat kilkudziesięciu, wypowiedziéć bezstronnie, otwarcie i jasno, jak wypadało na historyka o dobrze zasłużonéj sławie naukowéj. Tylko z pola literatury wielkopolskiéj zostawił nam bardzo cenny szkic okolicznościowy, odnoszący się do epoki współczesnéj. W szkicu tym są szerokie światła, rzucane poglądowo na wszystkie stosunki życia umysłowego, ale i to wszystko odnosi się do pierwszéj połowy bieżącego stulecia, w któréj Jarochowski się uczył i co najwyżéj zapatrywał na wzory mężów starszego pokolenia. Działalność jego własna poczęła się w drugiéj połowie, a świadomość o téj epoce życia duchowego i społecznego dzielnicy wielkopolskiéj wziął z sobą do grobu i pozostawił nam w puściźnie nierozwiązaną zagadkę, nad któréj rozwikłaniem jeszcze długo silić

się będziemy daremnie. Nie można powiedzieć, żeby Jarochowski w życiu wielkopolskiém ostatnich lat czterdziestu mniéj więcéj, kiedy w niém brał czynny udział, zajmował przewodnie, rozstrzygające stanowisko; owszem z natury stosunków, a po części może i charakteru, stanowisko jego zawsze poniekąd było, że tak powiem, kryptogamiczne, i właśnie dla tego tém trudniéj określić granice jego duchowego panowania. Młodością sięgał w epokę rewolucyjnego romantyzmu, zmarł w epoce politycznego wycieńczenia a zarazem ekonomicznych porywów i usiłowań, zwróconych ku odbudowaniu zachwianych podstaw bytu społecznego i narodowego na realizmie, nie mogącym się otrząsnąć z tysiącznych sprzeczności. Czy, o ile i jak w tym dokonywującym się zwolna przewrocie duchowym, stawał, płynął z wodą lub pod wodę, czy i jak ruch ten rozumiał i zrozumiał, któżby się już dziś odważył na wyrzeczenie stanowczego zdania, kiedy arena życia Jarochowskiego jest jeszcze niedogorzałém spaleniskiem, niezagojoną raną, niedośpiewaną pieśnią—żałobną.

Niechże więc czytelnik nie spodziewa się i po nas ani wyczerpania ani ostatecznego zgłębienia przedmiotu. Nie tylko piszący nie są dziś do tego przygotowani, ale daleko mniéj jeszcze czytająca publiczność, która przedewszystkiém się lubuje w konwencyonalnych frazesach. Sypią téż z nich całe mogiły nad każdą zmarłą znakomitością, że aż doprawdy wspomnienia pośmiertne przestały już wielokrotnie być zaszczytem dla zmarłych i żyjących. Nie pragniemy tu bynajmniéj zadowolnić czytelnika spaleniem trywialnéj hekatomby frazesowéj: byłoby to ubliżeniem dla pamięci zmarłego; ale tak samo, ze względu na zbyt żywe i świeże jeszcze stosunki, musimy sobie poniekąd odmówić przyjemności krytycznego rozbioru téj strony i części życia a pracy Jarochowskiego, która poświęcona była praktycznéj stronie życia publicznego: polityce i publicystyce dziennikarskiéj. Wszystko, co w téj materyi powiedzieć możemy, musi być tylko ogólnikowém, szkicowém, pobieżną uwagą a dostarczy tylko najogólniejszych konturów do charakterystyki nieboszczyka.

Kazimierz Jarochowski urodził się 12 września 1829 r. w Sokolnikach Małych w powiecie szamotulskim, z ojca Cypryana i matki Konstancyi z Trąmpczyńskich. Rodzina Jarochowskich należy do bardzo staréj szlachty. W ciągu dziejów niejednokrotnie spotykamy Jarochowskich, jeżeli nie na senatorskich to przecież na nie mniéj zaszczytnych rycerskich posługach Rzpltéj a nad kolebką Kazimierza stało stadło rodziców, odznaczające się najżywszém po-

czuciem obywatelskiém i najgorętszym patryotyzmem. Poczucie to i patryotyzm były zawsze cechą wybitną średniéj szlachty polskiéj. Nie jednokrotnie to zmarły historyk nasz zaznaczał słowem i piórem, dowodząc „że właściwa siła Rzpltéj zawsze w téj tylko szlachcie spoczywała, a zepsucie ogólne, nawet w najopłakańszych rzeczach nie dosięgło i nie skrzywiło zupełnie tego rdzenia narodu.

W epoce, kiedy się Kazimierz rodzi i wychowuje na młodzieńca, obywatelskość, patryotyzm i uczciwość były synonimami rewolucyonizmu, konspiracyi. Nie dziw więc, że w pierwszéj młodości pociągnięty został w zakres robót i cierpień politycznych. Już w r. 1846 jako uczeń gimnazyum, wysłany z misyą do Drezna, zapoznał się podobno z murami Koenigsteinu. W r. 1847 kończy jednak studya gimnazyalne a w r. 1848 znów bierze żywy udział w wypadkach poznańskich. Odtąd jednak życie jego poszło spokojniejszym torem. Skończył na uniwersytecie berlińskim wydział prawny a w r. 1862 otrzymał w Poznaniu rządową posadę jako sędzia powiatowy. Na stanowisku tém, dla Polaka wielce trudném i drażliwém, wytrwał Jarochowski aż do r. 1882, kiedy nastała era ryczałtowego przesiedlania urzędników polskich do okolic niemieckich. Powód zewnętrzny u Jarochowskiego dał ku temu zjazd Długoszowy w Krakowie, w którym Jarochowski brał czynny udział. Wytoczono mu proces dyscyplinarny i przeniesiono mocą wyroku na posadę sędziego do Zieleńcina (Zielenzig), w obwodzie rejencyjnym frankfurckim (n. Odrą). Nie mogąc się pogodzić z myślą wegetowania po za krajem, na piaskach brandeburskich, złożył Jarochowski dobrowolnie urząd i jako emeryt zamieszkał w Poznaniu. Niestety śmierć przedwczesna już po 6 latach wyrwała go ze społeczeństwa, wśród którego dopiero swobodniéj żyć co tylko rozpoczął. Umarł 24 marca 1888 r.

Chcąc poznać człowieka, jakim był dla kraju a po szczególe téż jakim pozostanie dla potomności, rozdzielić nam wypadnie szkic ten na dwie części. W pierwszéj pokusimy się o zapoznanie z mężem nauki a szczegółowo nauki historycznéj, w drugim dziale powiemy zdanie nasze o polityku i dziennikarzu; zaznaczamy jednak z góry, że trudno będzie utrzymać się w zakreślonym tu podziale gdyż w Jarochowskim historyk był zawsze częściowo politykiem, a polityk zawsze i dość jednostronnie historykiem.

W obydwóch wszakże kierunkach złożył zmarły dowód niezaprzeczonego talentu. Między historykami zajmuje bardzo wybitne stanowisko, między dziennikarzami polskimi niewątpliwie jedno z pierwszych miejsc, pod względem inteligencyi i zasobu naukowego.

Dwa były czynniki, które działalność Jarochowskiego skierowały na pole dziejopisarstwa. Młodość jego przypada na czas, kiedy w Poznańskiém jeszcze żyło i tętniało zajęcie sprawami umysłowemi i naukowemi. Byli mecenasi nauk, byli pisarze, wydawcy, pisma naukowe i literackie, a przedewszystkiém była publiczność odpowiednia. Szczególnie zaś zakwitła wtedy działalność historyograficzna, na któréj czele z jednéj strony stał konserwatywno-monarchiczny Łukaszewicz a z drugiéj postępowy wyznawca i obrońca szlacheckiego gminowładztwa, Jędrzej Moraczewski. Strzelisty a badawczy umysł Jarochowskiego, żyjącego w atmosferze takiéj, zajął się łatwo zadaniami, które w oczach jego starsi pracownicy rozwiązywali, a stosunki, tradycye domowe sprawiły od razu, że młodzieniec zapisał się z całém i nigdy niezachwianém przekonaniem do obozu Moraczewskiego. Wynikało z porządku rzeczy, że z pisarzem tym musiał miéć bliskie stosunki, że wiedział jak daleko sięgnie i sięgnąć może kres jego pracy. W głównéj części niedokończona, stanęła ona w r. 1855 na dziewiątym tomie „Dziejów Rzpltéj Polskiéj“, posunięta aż do końca panowania Jana Kazimierza. Jeżeli zważymy, że Jarochowski w r. 1856 wydał swoje „Dzieje panowania Augusta II“, nie trudno nam zrozumiéć wewnętrzny związek, jaki między obudwoma wydawnictwami istnieje. Praca Jarochowskiego miała być dalszym ciągiem dzieł Moraczewskiego, w jednym duchu podjęta i przeprowadzona konsekwentnie. Obadwaj występują zawsze i wszędzie jako bezwzględni wielbiciele gminowładztwa szlacheckiego i „ustawy“ Rzpltéj, ale Jarochowski przewyższa poprzednika swego o całe niebo, gruntownością badań, szerokością horyzontu, umiejętnością grupowania argumentów, a nareszcie świetnością stylu.

Drugim, więcéj zewnętrznéj i przypadkowéj natury czynnikiem, który Jarochowskiego skierował na drogę historyografii, było, że około r. 1850 dostały się do rąk jego bardzo obszerne materyały i dokumenty historyczne, wydawane następnie przez niego od roku 1854—1862 pod tytułem Teki Podoskiego. Zbiór ten obejmuje począwszy od r. 1717—1733 dokumenty historyczne o wszelakiego rodzaju czynnościach publicznych Rzpltéj, jako to dyaryusze sejmów, korespondencye króla z dygnitarzami i dygnitarzy między sobą itd., „co wszystko“, powiada wydawca, „dla wygody czytelnika, a daj Boże, p r z y s z ł e g o d z i e j o p i s a r z a S a s ó w, porządkiem lat ułożyliśmy“.

Ze zbioru tego poznał młody badacz po raz pierwszy epokę ową i wyrobił w sobie powołanie na historyka smutnych czasów saskich. Jak i o ile się z zadania swego wywiązał, wiadomo powszechnie.

Niejednokrotnie jednak zadawano sobie pytanie, czemu mąż takiego zakroju, z tak świetnemi danemi, poświęcił czas i siły, godniejsze lepszego zadania, na badanie zgniłéj, sromotnéj epoki Sasów. Że Jarochowski z całą świadomością przystąpił do zadania życia swego, widać ztąd, że i on sam zadawał sobie powyżéj zakreślone pytanie. W przedmowie do I tomu Sasów powiada on: „Niejednemu, kto pracę moję weźmie do ręki, nasunie się samo przez się pytanie, czemu poczynający pisarz nie doświadczał raczéj sił swoich na świetniejszéj epoce przeszłości naszéj, aniżeli na pełnym nieszczęść i zgrozy wieku Sasów“ i t. d. Na pytanie to znajdujemy następnie i odpowiedź: „To co mamy i czém jesteśmy za dni naszych, poczyna się z wszelkiemi szczegółami od chwili wstąpienia na tron pierwszego Sasa, którego panowanie jest częścią pierwszą datą, częścią przyczyną obecnego stanu rzeczy. Dzieje nasze, od 17 czerwca 1696 (elekcya), do chwili, w któréj te słowa kreślę, stanowią nierozerwaną całość; biorąc się do historyi pierwszego Sasa, zasiadam tylko do szerzéj pojętych dziejów teraźniejszości naszéj. I dla tego to postawiłem twierdzenie, że właśnie epoka Sasów powinna się była stać dla nas szczególnym przedmiotem pracy i badań, że właśnie dla myślącego głębiéj Polaka dzisiejszego czasu, jest ważném w praktycznych następstwach swych zadaniem, śmiałe dotknięcie się téj epoki, od któréj dotąd, jak niemogąca znieść widoku krwawéj rany niewiasta, uciekaliśmy. Ale może i dla tego ta rana dotąd nie uleczona, że jéj nikt jak należy zbadać nie chciał.“

Otóż, że tak powiemy, moralne namaszczenie, z którém Jarochowski przystąpił do swéj pracy, a zaprawdę, jeśli z tego stanowiska rzecz pochwycił, należy mu się nie tylko wysokie uznanie, ale i wdzięczność narodowa za sumienną pracę historyka, w któréj stawał się czasem apologistą rodzinnych stosunków polskich, Rzplitéj polskiéj, a przedewszystkiém szlachty wobec zepsutego moralnie a wynarodowionego w kierunku kosmopolitycznym możnowładztwa. „Cnota, rozum narodowy, uczciwość, zrozumienie obowiązków względem siebie i kraju — mówi Jarochowski—tkwiły tylko i jedynie w téj prawda ciemnéj, ale większa prawda, że uczciwéj i poczuwającéj się do godności polskiéj szlachcie.“ W słowach tych odzwierciedla się cały zasób dodatniéj zdobyczy, jaką uczony badacz potrafił sobie uskarbić ze studyów nad wstrętną epoką. Jak i o ile Jarochowski na tym pewniku opierał całą swą historyozofią i politykę, zobaczymy późniéj. Tu tylko jeszcze nadmienimy, że nasz apologeta szlacheckiéj Rzplitéj ciężkie przechodził próby swéj

Nasz historyk epoki Saskiéj nie tylko że zbadał gruntownie tę tak drażliwą sprawę, nie tylko że wyjaśnił jéj tajniki a odparł oszczerstwa miotane na Polskę, — ale co ważniejsza, sprawił kłamliwéj historyografii i publicystyce niemieckiéj odwet należyty drogą zaczepną. W r. 1877 ogłosił on właśnie w „Ateneum“ jedną z najlepszych prac swych p. t. „Sprawa Kalksteina“ (1670—72). Jak wiadomo, Kalkstein był głównym wyrazem opozycyi księstwa pruskiego przeciwko elektorowi brandeburskiemu, który w traktacie welawsko-bydgoskim uwolnił się z pod lennictwa Polski. Następstwa tego traktatu wywołały tragiczną walkę między wzdychającymi za spólnością z Polską stanami Prus książęcych a elektorem, dążącym do zaprowadzenia rządów absolutnych w zręcznie nabytéj dziedzinie. Ofiarą jego bezwzględności padł pod toporem Kalkstein, najzagorzalszy stronnik Polski, a okoliczności towarzyszące katastrofie kalkstejnowskiéj, mianowicie porwanie Kalksteina z Warszawy rzucają ponure cienie nie tylko na epokę samę, ale i na charakter Wielkiego Elektora. Wszystko to w nagiéj prawdzie odkrył i z archiwów berlińskich wydobywszy, ogłosił Jarochowski zdumionemu światu, prostując mianowicie błędne i tendencyjne przedstawienie rzeczy prof. Droysena. Ta doskonale pod względem naukowym, świetnie co do stylu napisana rozprawa podniosła do zenitu sławę i znaczenie autora i ukazała się w kilku wydaniach. Nie wiemy, czy takowe dziś są wyczerpane, a jeżeli tak jest, wartoby zrobić nowe, ile możności popularne wydanie. Nieboszczyk sam, jak słusznie, dumnym był z téj właśnie pracy swojéj i niejednokrotnie wyrażał pragnienie, żeby na podstawie jego historycznego przedstawienia rzeczy, dramaturg polski stworzył dzieło sceniczne. Zaiste tkwi w sprawie téj materyał do szekspirowskich tragedyi! Za życia nie doczekał się Jarochowski téj pociechy; może choć wzmianka niniejsza, na tak wdzięczny temat zwróci uwagę naszych poważnych dramaturgów.

Wspominaliśmy już, że prace monograficzne Jarochowskiego wyszły różnemi laty w czterech zbiorowych tomach. Wydawnictwa te nie obejmują jednak wszystkich pism jego, pomieszczanych w najpoważniejszych czasopismach: w „Ateneum“, „Przeglądzie Polskim“, „Przewodniku Naukowym“, „Niwie“ i t. d. Prac tych niepodobna nam ani wyliczać, ani oceniać. Wszystkie one odznaczają się źródłowém, sumienném opracowaniem, a przytém zawsze przewodnią myślą czy to interesu politycznego polskiego, czy idealnego posłannictwa Polski.

Obszerniejszą jednak wzmiankę poświęcić nam wypada innéj jeszcze pracy Jarochowskiego. Wyszła ona osobno w Poznaniu

r. 1880, a zalicza się także do najzasłużeńszych publikacyi zmarłego historyka. Jest-to jego „Literatura Poznańska w pierwszéj połowie bieżącego stulecia.“ Wydanie dzieła tego spowodowane zostało prelekcyami profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, w Poznaniu wygłoszonemi, o udziale Wielkopolski w naszéj literaturze narodowéj. Pobudka zatém do napisania książki była polemiczna, ale wynik polemiki objawił się w sposób najdodatniejszy. Materyał obfity, zgromadzony w téj okolicznościowéj pracy, upoważnia nas do twierdzenia, że autor zbiérał go oddawna, a wystąpienie profesorów krakowskich, dodało mu tylko zewnętrznego bodźca do zaokrąglenia i wydania téj z niesłychaną pilnością skreślonéj a wyczerpującéj książki. Kto o umysłowém życiu, o literaturze Wielkopolski z danéj epoki chce być poinformowany, znajdzie w dziele Jarochowskiego potrzebne wskazówki, tém pożądańsze, że dotąd praca Jarochowskiego jest jedyną w swym rodzaju i nie łatwo znajdzie konkurenta. Ileż to rzeczy trzeba przejrzéć, ileż przeczytać, żeby sobie pozwolić na sąd w sprawach, opracowanych przez Jarochowskiego. Praca jego zaś o tyle jeszcze większe ma znaczenie, że nie ogranicza się na bibliografii i krytyce literackiéj, lecz rzuca szerokie promienie światła na stosunki kraju umysłowe wogóle, na jego inteligencyą, życie ogólne i prądy polityczne a społeczne w danéj epoce. Dzieło to stanowi też łącznik między działalnością Jarochowskiego historyka a Jarochowskiego publicysty i polityka; dla tego uwagi nasze o niém położyliśmy na koniec charakterystyki naukowéj, kiedy nam, w granicach zgóry nakreślonych, przejść wypada do omówienia jego działalności publicystycznéj. Pod tym względem dzieło o literaturze jest poniekąd kluczem do zrozumienia stanowiska, zajmowanego przez Jarochowskiego i zawiera niejednokrotnie jego *credo* polityczne, jego najgorętsze pragnienia. Czasy tą pracą objęte, mianowicie w drugiéj ich połowie, uważa on, rzec można, za złotą epokę umysłowości wielkopolskiéj, zwłaszcza wobec „jutra“, t. j. epoki, na którą przypadła właściwa działalność naszego autora. Epoka wczorajsza, że ją tak nazwiemy, tchnie jeszcze echami życia Rzplitéj, gminowładztwa szlacheckiego, patryotyzmu zawartego w konspiracyi i rewolucyonizmie, we wzgardzie i lekceważeniu warunków i podstaw bytu, wobec błyskotek politycznego romantyzmu. Zasady takie wyznaje nasz autor i przeszedł z niemi z pola dramatycznego wczoraj na pole tragicznego jutra i dziś, którego, narówni z wielu innymi epigonami epoki romantycznéj, niezrozumiał i jako *par excellence* szlachcic gminowładczy zrozumiéć nie mógł. Widzi on jednak, że i jak w dopełnionem wczoraj stara owa Polska

szym ciągiem ustroju gminowładczo-szlacheckiego. Za to téż tém chętniejszym i skorszym był zawsze do popierania każdego kierunku i objawu życia publicznego, który miał lub zdawał się mieć pozór akcyi politycznéj, choćby się téż kończył zwykle tylko na jakim nieprzydatnym świstku papieru dodatnio, a ujemnie nastrajał przeciwko nam coraz srożéj wszelkie potęgi piekła i ziemskich nienawiści. Szkoła dziennikarska, do któréj Jarochowski należał i w któréj czasowo przewodniczył, była przedewszystkiém historyczną. Ztąd i polityka przez szkołę tę robiona nosiła przeważnie i jednostronnie cechę historyczną. Logika téj szkoły jest bardzo prosta. Jest historycznym faktem, że nam się krzywda stała i dzieje, więc trzeba się wszelkiemi sposobami bronić a skoro obronić się nie można, trzeba obronę udawać, żeby przez to podnosić ducha. A ponieważ ze „wszelkich“ środków obrony najłatwiejsze są, jak ongi za Rzpltéj, aktykowane tak licznie protesty, memoryały, adresy i nowszego autoramentu wnioski, interpelacye, mocye na zebraniach, nareszcie uchwały nie znające skutku i komisye, grzebiące zwykle sprawę, cała nieledwie akcya publiczna u nas toczyła się pod patronatem dziennikarstwa w tém zaczarowaném kole prawie zupełnie bezskutecznéj roboty, Z zaczarowanego koła tego nie wyszedł Jarochowski, nie wyszła wogóle polityka nasza, bo jeszcze ciągle ubezwładniona jest uprzedzeniami epoki, rozpanoszonemi od r. 1845—63. Nie ma dziś, broń Boże, u nas rewolucyonistów, ale idee wszczepione w społeczeństwo za panowania kierunku rewolucyjnego, jeszcze nie ustąpiły nowym, mozolnie od czasu Marcinkowskiego krystalizującym się wśród społeczeństwa, którego aparat duchowy zupełnie dla nich jest obojętnym. Dziś idee te zrobiły już wielkie postępy, ale ideałem patryoty jest dotąd na zewnątrz ostentacyjnie działający, protestujący, szamocący się, czujący gorąco nie zaś rozumny, na zimno obliczający, naginający się bez ujmy dla jedności narodowéj, systematycznie od dołu nad odtworzeniem podstaw bytu pracujący Polak. Ideały Jarochowskiego, choć niejednokrotnie sam walczył z krzykactwem niepohamowaném, były niewątpliwie po tamtéj stronie i to z tradycyi, wychowania, przykładów za młodu uświęconych. Walczył on z krzykactwem niepomiarkowaném, ale sam jako dziennikarz gotów był każdéj chwili na słowa i artykuły wydać oraz wojnę nie tylko Hohenzollernom, Habsburgom ale i najchętniéj „Holsztyno-Gottorpom“. Uważał siebie, uważał swoje słabe i znikczemniałe społeczeństwo za stronę wojującą, równouprawnioną—a niestety z naszéj strony uprawnioną tylko do papierowych represalii. Wszystko to bardzo słuszne ze stanowiska historycznego. Nasze prawa historyczne są przewybor-

nie zapewnione, ale niestety polityka nie jest wykładem historyi powszechnéj, jeno konglomeratem najrozmaitszych czynników, z pomiędzy których oczywiście historya nie jest wykluczona. Nawet bywa, że historya zajmuje w polityce dominujące stanowisko, ale tylko wtedy i póty na tém stanowisku utrzymać się może, póki rozporządza siłą własną czy sprzymierzeńców interesowanych. Skoro zaś siły nie ma na zawołanie, powinna się cofać do arsenału a w swoje miejsce stawiać czynniki chwilowo odpowiedniejsze. Takie pojęcie polityki nieprzystępném było i jest dla naszéj szkoły polityków historycznych, którzy logikę swą wyprowadzają z „wczoraj“ a najczęściéj po przez wszystkie przypadłości stanowczego „dziś“ przeskakują z nią w błędne „jutro“. Czerpiąc siły jednostronnie z tradycyi, krzepią je nadziejami nieustannéj spekulacyi na „jutro“, zamykając oczy na fatalne warunki przemożnego „dziś“. Takim politykiem tradycyi i spekulacyi optymistycznéj (1) był nasz historyk Jarochowski.

Tak jest, historykiem był znakomitym, dziennikarzem, publicystą nieledwie jeszcze znakomitszym, znakomitym nawet był krytykiem politycznym w swych dziełach, ale praktycznym politykiem nie był, poprostu dla tego, że był jednostronnie politykiem historycznym. Głos jego bezwątpienia wpływał przeważnie przez wiele lat na naszą akcyą parlamentarną, która poszczycić się nie może na zewnątrz najmniejszym skutkiem dodatnim, tak dalece, że już dziś za wielki tryumf uważać nawykliśmy „pewne wrażenie“, zrobione na Niemcach przez mówców naszych. Skierowanie czynności naszéj parlamentarnéj do świadomo bezowocnych celów sprawiło téż, że przez tyle lat, jak ogólnie utrzymują, między posłami dotychczas nie wykształcił się prawie ani jeden mąż, któryby był materyałem na statystę, gdyby go w razie szczęśliwego zwrotu okoliczności, zkądkolwiek od nas zażądano.

---

(1) Optymizm Jarochowskiego był jednak tylko, że tak powiemy, polsko-urzędowym, jak u większéj części poczciwych naszych optymistów, którym się zdaje, że świat by się zapadł, gdyby sobie pozwolili powiedzieć szczerą prawdę i do niéj zastosować swą działalność. Co Jarochowski rozumiał w głębi duszy o optymistach, wypowiedział okolicznościowo w swéj charakterystyce Patkula. Powiada on: Patkul jest na wpół żołnierz, na wpół dyplomata, podobnie jak wiele bardzo osobistości, znajdujących się na świeczniku owéj epoki, widocznie (był) bardzo miernym żołnierzem a zarazem może uzdolnionym, ale téż bardzo mało poważnym, powierzchownym człowiekiem, optymistą, naturą, dla któréj Francuz jakby wynalazł umyślnie trudny do przepolszczenia a przecież tak dobrze zrozumiały przymiotnik swego języka *„frivole“*. (*Przyp. aut.*)

Zatém, praca Jarochowskiego dziennikarska była niewątpliwie świetną co do stylu, imponująca co do inteligencyi, ale dodatnio politycznego znaczenia dla kraju nie miała, ani w kierunku parlamentarnym, ani w czasie nieszczęsnéj tragedyi 1863 r. ani podczas „kulturkampfu“, a gdy wystąpił potop antypolskiego kierunku, toć już wogóle polityczne artykuły dziennikarskie przestały być bronią przekonywującą.

Ale i na zewnątrz praca dziennikarska Jarochowskiego nie wyrobiła Wielkopolsce tak pożądanych stycznych z innemi dzielnicami. Jarochowski przez wiele lat korespondował do najznaczniejszych pism zakordonowych, a jednakże właśnie za temi kordonami skarżą się nie od dziś, że stosunki i sprawy zaboru pruskiego braciom naszym są zupełnie obce, że o nich poprostu wyobrażenia nie mają, mimo że tak znakomite pióro przez tyle lat utrzymywało za pomocą licznych korespondencyi stosunki informacyjne. Pióro było świetne, temu nikt nie zaprzeczy, ale pisarz systematycznie uważał za stosowne donosić z Księstwa braciom tylko albo o ucisku niemieckim, albo o wiekopomnych czynach swego obozu, obliczonych na efekt zagraniczny. O stosunkach wewnętrznych, domowych, walkach i prądach nurtujących społeczeństwo, o upadku moralnym z jednéj, a dźwigających się siłach moralnych z drugiéj, o siłach, jakie w. ks. Poznańskie i zabór pruski jeszcze dla kraju reprezentują, nic a nic nasi bracia za kordonem nie wiedzą.

W powyższéj uwadze pierwszy raz wspomnieliśmy o Jarochowskim jako o człowieku obozu tj. aktualnego stronnictwa. Był nim rzeczywiście, był czy reprezentantem czy uczestnikiem tz. obozu narodowo-liberalnego, który swego czasu istniał w w. ks. Poznańskiém w przeciwieństwie do tz. ultramontańskiego czyli narodowo-kościelno-konserwatywnego. A że był najdzielniejszym w piórze ze swego obozu i skazanym na prowadzenie wszelkich polemik, uskarbił sobie u przeciwnego obozu znaczną porcyą niechęci i nienawiści, co mu przez wiele lat przeszkadzało w przyjęciu jego kandydatury na posła. Dopiero na dwa lata przed śmiercią, gdy po załatwieniu niefortunnym u nas sprawy kulturkampfu, ostrza stronnictw się stępiły, doszedł nareszcie Jarochowski do poselstwa. Kiedy kandydaturę jego roztrząsano, niejednokrotnie zwykł był mawiać: „pójdę jeżeli mnie chcą, ale pójdę takim, jakim byłem i jestem; takim téż chce pozostać“. I poszedł, ale tylko na swoję zgubę, z największą stratą dla społeczeństwa. Nadwątlone zdrowie jego nie wytrzymało frykcyi, z jakiemi się spotkał jako poseł polski, jako człowiek obozu i jako człowiek myślący—we wszystkich okolicznościach życia parlamentarnego. W nieulezczonym stanie wrócił w po-

czątku r. b. z Berlina i umarł, a strata jaką społeczeństwo przez śmierć jego poniosła w żadnym nie pozostaje stosunku do zaszczytu jakiego doszedł i do działalności poselskiéj, jaką mógł rozwinąć. Tyle nagromadzonego materyału, tyle pracy rozpoczętéj, tyle myśli przetrawionych i gotowych wejść w jakiś system szerszych poglądów, wszystko to zostało stracone. Taka bywa koléj rzeczy, taka ironia losów.

Nie możemy skończyć szkicu tego, żeby nie dodać jeszcze dwóch pociągnień pióra. Powiedzieliśmy już poprzednio, że Jarochowski nie brał prawie wcale udziału w ruchu wewnętrznym społecznym. Tak było. Nie rozumiał go, nie miał do niego serca, ale był tyle uczciwym, że się do niego nie mieszał ani przywodzić w nim chciał. Wyjątek stanowiło dla Jarochowskiego pole literacko-naukowe w ruchu tym. Nie tylko że należał od dawna do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ale brał najczynniejszy udział w jego posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego. Ilekroć mu wypadło przybyć na posiedzenie, przynosił zawsze piękny, gruntowny, wykład lub odczyt, a wiele z wydanych późniéj monografii, pierwszy raz poznawano na posiedzeniach tego wydziału. Po śmierci Bentkowskiego Władysława, objął kierownictwo wydziału a prawie równocześnie powołany został do zarządu Towarzystwa na miejse wiceprezesa. Jak poselstwo, tak i ten zaszczyt późno bardzo spadł na najzasłużeńszego, właśnie z powodu jego politycznego stanowiska w obozie tz. narodowo liberalnym, zkąd przeciwnicy niechętnie w życiu tutejszém przypuszczali ludzi do stanowisk i zaszczytów jakokolwiek wpływowych. Otóż wszystkie trudności te pokonał Jarochowski ostatecznie potęgą swego umysłu i godną zawsze postawą. Był on niezawodnie człowiekiem stronnictwa, obozu, nawet powiedzieć można w pewnéj mierze koteryi, ale przyzwoitość nigdy go nie opuszczała, był on z tych ludzi partyjnych, z któremi zrywać stosunków nie ma nigdy konieczności. Jako człowiek myślący i posiadający szeroki horyzont umysłowy, umiał zawsze w stosunkach wewnętrznych ocenić stanowisko czyjeśkolwiek, liczyć się z okolicznościami danemi, z prawem i interesem bliźniego.

To téż, o ile niesłychana pracowitość nie zamykała go w pustelniczéj pracowni, był w kole bliższych znajomych nieocenionym towarzyszem. Rozmowa z nim była zawsze zaciekawiającą, bo i wiedział wiele i umiał opowiedzieć, okrasić wszystko błyszczącym dowcipem, niekiedy mocno sarkastycznym. I w świecie uczonym miał nie tylko między swymi, ale i między obcemi narodowościami mnóstwo stosunków i znajomości, zawartych bądź przy wy-

cieczkach na studya do archiwów Berlina, Drezna, Kopenhagi, bądź u źródeł leczniczych, bądź na kongresach i zjazdach naukowych.

Na pamiętnym zjeździe długoszowym w Krakowie godnie reprezentował Wielkopolskę, a że był członkiem Akademii Umiejętności, wiadomo powszechnie.

Imię i pamięć jego nie zaginie w społeczeństwie polskiém, bo należał do wybranych ziemi swéj, którzy dobrze zasłużyli na wdzięczność następnych pokoleń.

S.





STOSUNKI PRAWNE W ZIEMI HALICKIÉJ

W WIEKU XV.

Dr. Xawery Liske. Akta grodzkie i ziemskie tom XII. Najdawniejsze zapiski sądów halickich 1435—1475. We Lwowie 1887, 4°, stron XIV, 551.

Oto w krótkim czasie okazał się już drugi tom zapowiedzianego przez wydawcę cyklu średniowiecznych zapisków sądowych ziem ruskich, rozmiarami równy pierwszemu. Jak niezmiernie ważnym jest tego rodzaju materyał dla poznania ustroju administracyjno-sądowego, prawa zwyczajowego, znamion etnograficznych, ekonomicznych, kulturowych téj lub owéj ziemi, dla poznania wogóle tych wszystkich stosunków, które obejmujemy wspólném mianem wewnętrznego życia narodu — o tém wspominać nie potrzeba. O ileż bardziéj cieszyć się wypada z ogłoszenia źródeł świeżych, nieznanych i obfitych, przynoszących tyle nowego dla poznania téj części dawnéj Rzplitéj, która tak mało pod tym względem jest dotychczas znaną.

Sprobujemy tu w krótkim zarysie podać co ciekawsze szczegóły.

Organizacya sądowo-administracyjna ziemi halickiéj, przed zaprowadzeniem w niéj prawa polskiego była, jak to wydawca w przedmowie wykazuje, zupełnie taką samą, jak w sanockiéj, istniał tu tylko jeden sąd, ziemski ze starostą na czele; dopiéro w r. 1435 następuje rozdział na gród i ziemstwo. Na czele sądu ziemskiego zasiada, jak w innych ziemiach polskich, osobny sędzia i podsędek; starosta odtąd tylko w grodzie urzęduje, a na rokach ziemskich ukazuje się tylko jako zwykły ziemianin-asesor i to głównie wówczas, gdy ma jaką sprawę dla załatwienia w sądzie. Na całą ziemię jest tylko jeden sąd ziemski w Haliczu, ale ziemia

halicka dzieliła się na 4 powiaty: halicki, światyński, kołomyjski, trębowelski, a każdy z nich posiadał osobny sąd grodzki; sąd ziemski natomiast miał tylko dwie filie, w Kołomyi i Trębowli, gdzie zasiadali komornicy i dokąd zjeżdżał czasami sąd ziemski w komplecie. Komorników takich miał zarówno sędzia, jak i podsędek ziemscy po trzech: w Haliczu, Kołomyi i Trębowli, a zasiadają oni na rokach już od r. 1435.

W ogólności załatwia tu sąd ziemski te same sprawy, jak wszędzie indziéj, jeżeli jednak znajdujemy tu czasami nieustaloną jeszcze kompetencyą i chwiejność w osądzeniu tego lub owego wypadku, jeżeli sąd czasem sam nie umié uznać, czy sprawa jakaś leży w sferze jego działania, jeżeli wreszcie znajdujemy tu wypadki podlegające gdzieindziéj innym sądom, to chwiejność ta i brak ścisłego określenia kompetencyi, których liczne przykłady widzimy i w aktach sanockich, ma swą przyczynę w tém, że sąd ziemski jest tu jeszcze w stadyum tworzenia się, że zresztą kodeksu, przewidującego wszystkie wypadki nie było. Tak np. znajdujemy tu przed sądem ziemskim sprawę o gwałt publiczny, napad na gościńcu, należący do czteru artykułów starościńskich (2042) *), znajdujemy sprawę rozwodową, należącą do sądów duchownych (610), albo kwestyą, czy arcybiskup lwowski ma odpowiadać przed sądem ziemskim czy duchownym — sędzia odsyła do komisarzy królewskich. Przeciwnie przyznaje swojéj kompetencyi sprawę o staw i orzeka, że wszystkie takie sprawy, o które pozwy leżą w grodzie, należą do ziemstwa, a nie do grodu (589).

Kiedy ten sąd odbywał posiedzenia, ile razy do roku i w jakich porach, trudno o tém coś pewniejszego powiedzićć i w jakąś regułę ująć, gdyż akta nie są kompletne, a z drugiéj strony mamy w XV w. co do tego rozmaite postanowienia, tak, że stałéj normy nie ma. Tylko co do pory dnia postanawia w r. 1464 wiec halicki, ażeby roczki ziemskie odbywaly się do zachodu słońca (3140).

Między urzędnikami ziemskimi występuje także za czasów Warneńczyka *tutor* (opiekadlnik) (porów. S. Kwiatkowski: Urzędnicy....), którego znaczenie trudno odgadnąć, miał on jednak jakiś wpływ na tok spraw, gdyż ziemianie odkładają np. sprawę „*ad tutorem*“; a miała takiego „tutora“ każda ziemia. Do składu sądu należy tu jeszcze prócz pisarza i podpisarek *(subscriba)*.

Jak wszędzie indziéj, wydaje sąd ziemski pozwy pod imieniem króla, ciekawe jednak, że w r. 1445, 5 kwietnia wychodzi pozew pod imieniem Władysława III, który jeszcze 10 listopada 1444 zgi-

---

*) Liczby w klamrze oznaczają zapiski.

nął pod Warną; dowód więcéj, iż rzeczywiście w śmierć jego nie wierzono (2025), tak, że jeszcze nawet 1 maja 1447 mówiono o koronacyi Kazimierza, jako o rzeczy niepewnéj (1814). Pozew musiał mieć pewną przepisaną formę, musiał być w pewnym czasie doręczony, choć bliższych wskazówek ani do jednego, ani do drugiego nie mamy; uważano jednak pozew za „zły“, gdy nie miał wyrażonego nazwiska powoda, tylko urząd jego (1635); pozew był „nieporządny“, jeżeli doręczono go dopiéro na cztery dni przed terminem (4080). Zwykle wydawano trzy pozwy, z trzykrotnym terminem stawania, tu spotykamy się jednak i z sześciu i siedmiu ważnymi terminami (1998); za nieprawne pozwanie następowała kara 3 grzywien, za niewłaściwą skargę kara „potaczno“ 1 wiardunek stronie, a 1 sądowi. Kary sądowe, czysto dyscyplinarne, są tu dosyć częste; szlachta butna, krzykliwa, bez należytéj ogłady, pozwalała sobie rozmaitych „wiolacyi“ sądu, nieuszanowania wobec trybunału sprawiedliwości; niejednokrotnie zdarzało się, że w gorącéj wodzie kąpany szlachcic wyprawiał w sądzie krzyki i burdy wszczynał, że złajał woźnego, że w zapale repliki nazwał przeciwną stronę kłamcą; ba, zdarzało się nawet, że gruboskórny hreczkosiéj wobec sądu położył się na stół lub skrzynkę, albo nawet dla większego zapewne efektu wylazł w izbie sądowéj na stół (784, 1244, 1471, 1615). Ale w ślad za tém następowała kara; sąd chcąc utrzymać powagę swoję i zmusić do poszanowania i bojaźni nieociosanych junaków naznaczał natychmiast dorażną karę, zwykle w wysokości 3 grzywien. Również karał zawsze nieusprawiedliwione niestawiennictwo na termin karą 1 wiardunka. Tylko król mógł zwalniać na pewien czas od stawania w sądzie, jak np. w roku 1437 uwolnił król Annę Kleczkowską po śmierci męża na jeden rok od terminów sądowych (160). Od pojedynczych terminów można się było zresztą uwolnić prócz choroby obłożnéj, służby królewskiéj i wypadków elementarnych (jak powódź), sprawą „*pro maiori*“; jeżeli kto miał w innym sądzie ważniejszą sprawę, odkładał termin, na dowód jednak, że tak było, musiał z tamtego sądu przynieść piśmienne zaświadczenie (1945—1999).

Ważną rolę w ziemstwie odgrywa woźny; do niego należy obliczanie zagród chłopskich po wsiach i sprawozdanie sądowi ilu chłopów siedzi na całéj, ilu na pół-zagrodzie (1733), do niego skonstatowanie, w celach reklinacyi chłopskiéj, czy w pewnéj wsi znajduje się odpowiednia ilość chłopów, dozwalająca jednemu lub dwom opuścić wieś, jego rzeczą jest „nawiedzieć“ zboże, które bydło pozwanego spasło, wogóle wszelkie czynności, odbywające się po za izbą sądową. Do takich należało przedewszystkiém rozno-

szenie pozwów, odbywania wizyi i t. p. Uchwałą z r. 1464 określił wiec halicki wynagrodzenie woźnemu za jego czynności; według niéj otrzymywał woźny od doręczenia pozwu 1 grosz od mili drogi, bez względu na to, że do jednéj miejscowości zanosił kilka czasem pozwów; taką samę nagrodę otrzymywał za wizye (3139).

Po nad sądem ziemskim w wyższéj instancyi stoi wiec ziemi w Haliczu, po nad oboma nieznany bliżéj zjazd *(convencio)* całéj Rusi Czerwonéj w Mościskach, który to zjazd wysyła deputatów dla rozsądzenia niektórych spraw (608, XXXI). Na wiec odwoływano się, o ile wnosić można, w sprawach o głowę (1517) i o dobra dziedziczne. Mamy np. zapiski, gdzie pozwany o dobra odwołuje się na wiec, gdyż „to nie jest prawo ziemskie“ (1507), albo że tu chodzi „*pro hereditate*“ (1985); zdaje się jednak, że wartość przedmiotu spornego rozstrzygała, czy sprawa należy do wiecu, czy nie. Np. w zap. 3478 strona pozwana odwołuje się na wiec, motywując, że tu chodzi o 300 grzywien i tyleż szkody, powodowa strona zaprzeczyła, powiadając, że taksowała tylko na 29 grzywien i nie chciała odwołania dopuścić.

Z poszczególnych spraw, załatwianych przed sądem ziemskim halickim, należy wymienić przedewszystkiém liczne kontrakty, zawierane zwykle na czas od Bożego Narodzenia do Bożego Nar. (836); załatwiają jednak także sprawy pieniężne na dorocznych jarmarkach w Haliczu (2286); pożyczki zaciągało się za wystawieniem rewersów (1991), a można je było spłacać ratami tygodniowemi (1490). Sprawy o zaprzeczenie szlachectwa są tu nieliczne, wszystkiego tylko pięć zapisków odnosi się do nich, z których jednak dwa (2775—6), bardzo obszerne, zawierają ciekawe wywody szlachectwa ze świadkami herbowymi ze strony ojca, matki i babki.

Liczne stosunkowo są sprawy o kradzież i to nietylko chłopów lub mieszczan, lecz i szlachty. Obwiniony o kradzież lub o chowanie złodziei, oczyszczał się przysięgą, składaną czasami samosiódm (702), a jeżeli dowiodło się oskarżycielowi fałszywego doniesienia, spotykała go kara 3 grzywien. Aleksander, mieszczanin halicki, oskarżony, że skarb z Olkusza zabrał dla siebie, chcąc się oczyścić, powołał oskarżycieli przed sąd, a ci wyznali, że oczernili go tylko ze złości i z namowy innych ludzi; sąd uznał naturalnie Aleksandra niewinnym (3328). Albo spotykamy się z ciekawym dokumentem oczyszczającym, jaki kasztelan chełmski wystawia słudze swemu szlachcicowi, „którego dobrą sławę jakiś wróg, dyabeł rodzaju ludzkiego oczernił, zwąc go złym człowiekiem i złodziejem“, czemu wszystkiemu kasztelan zaprzecza (2941). Zdarzało się jednak, że oskarżenie o złodziejstwo rzucał nie jeden czło-

wiek, ale opinia publiczna wskazywała na pewne indywiduum i obwiniała je o zajmowanie się tém haniebném rzemiosłem, nazywało to się „być w rugu“, „być w rudzye przissassugey *sive* zemskyey.“ Taki obwiniony przez obmowę ziemian *(per* rugowanye *alias oblocucionem)* składał przysięgę oczyszczającą przed wojewodą, albo deputatami sejmikowymi i to zwykle samosiódm (588, 4208). Każdy lojalny obywatel był obowiązany dostawić złodzieja na żądanie do sądu, a nie czyniący tego podpadał karze 3 a nawet 14 grzywien (4300, 4428).

Najciekawsze są dwa statuty ziemskie o złodziejach; pierwszy wydany w języku ruskim w r. 1435 jest téj treści: „My Michał Buczacki pan i starosta hal. i Kola sędzia hal., dziedzic z Dalejowa, wyznajemy to z ziemianami, że my to tak ułożyli: kiedykolwiek się zdarzy, że pójdzie kto za swoim złodziejem w gorącym pościgu i gdy przyjdzie mu wnijść do którego sioła i jakiego człowieka obwinić, jako złodzieja swego, to już wtedy ma się odbyć sąd w jego sprawie w tym dniu po jego przyjeździe do sioła bez zwłoki.

A jeśliby pan tego sioła rzekł, że tego człowieka nie ma i zapewni to (słowem) swojéj czci, że tego człowieka w siole nie ma, wtedy iściec ma czekać tego człowieka przez drugie trzy dni, a gdyby jego jeszcze nie było wtedy, kiedy człowiek ten obwiniony do domu przyjdzie, po jego przyjeździe na trzeci dzień ma się odbyć sąd; a jeśliby ataman albo radca rzekł, że jego w siole nie ma, to on ma za prawdę przyjąć, iż tego człowieka w siole nie ma, ale tak, iż prawa swego nie traci; a gdyby zaś zbiegł ów człowiek i nie byłoby go nigdzie, tedy temu iścowi pan tego sioła ma zapłacić mieniem owego zbiega; a gdyby którykolwiek ziemianin przeciwił się temu i gdyby nie chciał pomóc sądowi, tedy ma on pokupić 3 grzywny, a pokupiwszy je, ma przyjść w pomoc sądowi“ (4204).

Drugi statut z r. 1444 w języku łacińskim odwołuje się na poprzedni i to samo postanawia (1395).

Sprawy o główszczyznę znajdują się w aktach także dosyć licznie. Cena głowy jest rozmaitą; pogłówne za chłopa wynosi raz 12, raz 17 grzyw., za szlachcica 63 grzyw. A w zapisce 1873 przedstawia nam się w całéj surowości prawo odwetu, kiedy Fedko i Daniło z Grabowca z jednéj, a Krystyna z Grabowca, wdowa, z drugiéj strony zawierają zgodę na wieczne czasy w sprawie o zamordowanie Ardeowa brata Fedka i Iwanka syna Krystyny, przezco prawu stało się zadość „*caput pro capite*.“ Prawda, że z takim przykładem „krew za krew“, stawiającym przed oczy pierwotne stosunki, gdy człowiek, jak zwierz, staczał walkę o byt, spotykamy się raz tylko

jeden; w niektórych razach dochodził szlachcic swéj krzywdy mniéj krwawo. Jakiś nie bardzo pochopny do korda szlachcic pozywa drugiego przed sąd o dwa policzki (1322), a inny skarży znów o policzek zadany mu „*quinque digitis et palma*“ (3062); przypomina to nam zupełnie dzisiejsze sceny przed sędzią pokoju.

Najciekawszą stroną obecnego tomu, przynoszącą nowy, niezmiernie ważny materyał, są zapiski odnoszące się do stosunków chłopskich. W porównania z tomem XI, gdzie pomiędzy aktami sanockimi zapiski téj kwestyi bardzo były nieliczne, mamy tu tak obfity zbiór zapisków dotyczących sprawy włościańskiéj, że ilość ich wynosi mniéj więcéj czwartą część całości. Co więcéj mamy tu roczki, na których specyalnie rozsądzano sprawy o chłopów „*termini pro hominibus*“, a jeżeli prawda, co podaje w pracy swojéj Jurysdykcya patrymonyalna ks. Lubomirski, który wiele archiwów znał, a między innemi i obecne akta przed ich uporządkowaniem, że tylko halickie i łęczyckie akta mają osobne roczki o kmieci, to tém bardziej wzrośnie ważność téj publikacyi, otwierającej obfite źródło dla badań stosunków chłopskich i to szczególnie na Rusi, gdzie one mniéj znane niż gdziekolwiek indziej.

Są tu chłopi wolni i niewolni, do pierwszych należą szczególnie zagrodnicy, t. j. siedzący na całéj i pół zagrodzie *(homines de area et de media area)*, do niewolnych „kalenni“ i „ordyńcy“, ci ostatni prawdopodobnie w niewolę wzięci Tatarzy (?). Prócz tych mamy tu zajmujących się uprawą roli „ratajów“ *(homo circa aratrum existens alias* ratay), daléj „podsadków“ (*inquilinum alias* podsathka. 4046), którzy różnili się znowu od tamtych, bo np. w zap. 3982 czytamy: „*ego sum homo arealis et non* podsadek“. Główną różnicą między wolnymi a niewolnymi chłopami było to, że pierwsi mogli w oznaczonym czasie i w ściśle ograniczonéj liczbie opuszczać osady i przenosić się do innych wsi, kiedy drudzy całkowicie byli przykuci do gleby i do woli swego pana. Chłop wolny mógł opuścić wieś za zezwoleniem pana i za opłatą pewnych oznaczonych należytości i przenieść się do wsi innego pana; przenosiny takie zwały się „*reclinatio*“ „*recessus cum iure reclinationis*“. Już statut Wiślicki mówi, że jeden lub dwóch chłopów może wieś opuścić, nie określa jednak bliżej warunków przesiedlenia. Z zapisków obecnych możemy sobie wyrobić o reklinacyi dość jasny obraz. Chłop, pragnący się przesiedlić, znosił się z przyszłym swoim panem tej wsi, do któréj chciał się udać i prosił teraźniejszego swego pana o prawo reklinacyi. Jeżeli na chłopie nie ciążyła żadna wina, jeżeli zresztą innym warunkom stało się zadość, pan dawał pozwolenie. Przesiedlania te odbywały się „*tempore transitus hominum*“, t. j. w czasie

dwóch tygodni, od Bożego Narodzenia licząc, a odbywały się uroczyście w dzień, nie w nocy, tak, ażeby to mogło być dla każdego widocznėm, że chłop opuścił wieś jawnie, za zezwoleniem właściciela, a nie pokryjomu nockiem; przy tėm byli także zawsze obecni „*duo homines extranei alias* opczy“, zapewne wysłannicy tėj wsi do której miał się chłop udać i przychodzący po odbiór jego. Brak tych zwyczajem wymaganych warunków, t. j. jeżeli reklinacya nie odbyła się „*tempore et hora*“ i „*coram extraneis hominibus*“, mógł być powodem niedopuszczenia jėj. Opłatę, do jakiėj chłop przesiedlający się był obowiązany, określa statut ziemski z r. 1435: „*Cum aliquis incolarum de domo in villa a festo Nativitatis Christi a domino suo recesserit, extunc domino villae sesagenam, viccum tritici alias* dzber, *duos truncos avenae, quatuor tortas Rutenicales, quatuor genera gallorum alias* cur, *currum feni, currum lignorum dare debet*“. (4203) (por. zap. 485). Nadto było także warunkiem reklinacyi, ażeby chłop, przenoszący się do innėj wsi, osiedlał się na tėm samėm prawie, na jakiėm był dotąd osiadły, a więc z prawa ruskiego wolno mu się było przenosić tylko na prawo ruskie, z wołoskiego na wołoskie, co po największėj części w zapiskach jest wyrażone. N. p. w zap. 454 szlachcic K. reklinuje szlachcicowi S. chłopów; chłopi ci przenoszą się z prawa ruskiego na prawo ruskie; otóż K. oświadcza, że gdyby chłopów tych w przeciągu roku znalazł na prawie niemieckiėm osiadłych, mają mu być zwróceni wraz z karą 3 grzyw. Ilu chłopów z jednėj wsi mogło się przesiedlać na raz, na to trudno odpowiedzieć stanowczo; spotykamy się z zapiskiem, według którego woźny ma zliczyć chłopów we wsi, jeśli jest ich więcej niż 10, natenczas jeden może wieś opuścić (1729); w innym razie ma ich być przynajmniėj 20 (i to nie licząc popa, dziesiętników i innych 3 ludzi), aby jeden mógł się przesiedlić (1640); w innėm miejscu znowu orzeka sąd, że jeżeli we wsi jest więcėj niż 20 ludzi na prawie wołoskiėm (oprócz popa, karczmarzy, podsadków i dwóch chłopów na prawie ruskiėm) natenczas dwóch może wieś opuścić (2377). Spotykamy się jednak z zapiskami, gdzie się reklinuje trzech, cztérech a nawet i siedmiu ludzi z jednej wsi (1635. 1641). Jakiėjż tu normy przestrzegano?

Gdy pan udzielił już raz pozwolenia chłopu, nie miał już prawa cofać tego pozwolenia i nie dopuszczać reklinacyi, prawnie i według wszelkich wymogów udzielonėj, i nie mógł zatrzymywać takiego chłopa w ostatniėj chwili, zwłaszcza, jėżeli nie miał mu nic do zarzucenia. W przeciwnym razie bowiem panu, do którego chłop reklinowany miał się udać, służyło prawo upomnienia się o niego, jak o swoję własność, mógł pozwać pierwotnego pana przed sąd, że

chłopa „*decenter*“ reklinowanego nie chce wypuścić. Nie śmiał również właściciel po udzieleniu prawa reklinacyi i otrzymaniu należytéj opłaty od chłopa, zabierać mu żadnéj rzeczy, gdyż o grabież taką musiał również odpowiadać przed sądem na skargę wniesioną przez nowego właściciela, występującego jako patron w obronie chłopa—swéj własności. Statuty ziemskie, które są najważniejszą częścią tych zapisków, uchwalone na wiecach w r. 1444 i 1445 naznaczają w jednéj i drugiéj sprawie odpowiednie kary. Piérwszy postanawia, że pan, zatrzymujący u siebie chłopa reklinowanego do innego pana i nie chcący go puścić, płaci karę 3 grzyw. stronie, a 3 grodowi; kara zupełnie taka sama, jaką nakładano za nieprawne zatrzymanie u siebie zbiegłego kmiecia (1395). Drugi orzeka, że żadnego chłopa po reklinacyi grabić nie wolno, choćby się miało doń słuszne pretensye, lecz należy czekać aż do rozprawy sądowéj z nowym właścicielem (1525). Ta reklinacya wywoływała więc, jak widzimy, rozmaite stosunki prawne, które rozstrzygano na osobnych roczkach „*pro hominibus reclinatis*“ albo „*fugitivis*“, odprawianych w piérwszych dniach stycznia każdego roku. Częstokroć chodziło o to, czy chłop, dopraszający się reklinacyi, ma do niéj prawo, czy należy do téj kategoryi wolnych chłopów, którym prawo to przysługiwało, czy do kalennych lub ordyńców. W takim razie rozstrzygała tu przysięga. Szlachcic, nie chcący chłopa puścić, dowodzi innymi chłopami kalennymi, że i ów chłop jest kalenny (2386); w innym wypadku szlachcic, do którego chłop się reklinował a nie został puszczony, z powodu zarzutu, że jest niewolnym, składa przysięgę, że to chłop wolny „i ze any Iwanow dzad, anny oczecz niebil kalenni, anny hordinecz. Gy sprawidliwe wissedl“ (1096). Jeżeli sąd znalazł, że chłop jest wolny, siedzący na zagrodzie i że nie ma przeciw niemu żadnego zarzutu, natenczas nakazywał puszczenie go ze wsi i wysyłał woźnego „na vimioth“ t. j. dla przeprowadzenia wyroku i przesiedlenia chłopa reklinowanego do innéj wsi. Oprócz tego spotykała pana naturalnie wyżej oznaczona kara (3453).

Organizacya ta stosunków chłopskich przyszła tu z zachodu, z W. Polski, na któréj wzór została na Rusi przeszczepioną. Dowodem na to, że statut z r. 1435, ustanowiający opłatę reklinowanych chłopów, mówi, że on obowiązuje już w ziemiach krak., sandom. i W. P o l s k i; statut Piotrkowski zaś z r. 1493 określając warunki recessyi dla ziemi krakowskiéj, powiada, że niema on dotyczyć ziem W. Polski i Rusi, „*ubi antiqua consuetudo servatur*“ (Bandtkie, *Ius Polonicum*, 327). Zdaje się jednak nadto, że stosunki włościańskie na Rusi, zostały urobione specyalnie na modłę stosunków ziemi łęczyckiéj. Naprowadza na to owo twierdzenie ks. Lubomirskiego, że

tylko w Haliczu i Łęczycy zachowały się osobne roczki o zbiegłych chłopów, a powtóre, że w konstytucyach ziemi łęczyckiéj z r. 1418 i 1419, zachowanych u Bandtkiego (str. 197. 200) znajdziemy postanowienia: *quod kmethones a dominis ipsorum surgere non possunt, nisi a festo nativitatis domini, recipientes licenciam a suo domino ante duas septimanas*... zupełnie tak samo jak było w ziemi halickiéj. Klasyfikacya jednak chłopów, ich podział, ich nazwy—to stosunki rodzime, czysto ruskie.

Chłop, jak wszędzie indziéj, był tu rzeczą, nie człowiekiem. Szczególnie upośledzonym był stan chłopa niewolnego, który rodził się, żył, pracował i umiérał nie dla siebie lecz dla pana swego, niby bydlę domowe, które przedstawia wartość pieniężną. Dziedzic pozywa drugiego, że mu sługę paszącego stadninę, schwycił, sprowadził do swego domu i powiesił, „*nullum jus ad ipsum habens*", czém mu wyrządził szkodę na 29 grzywien (3878).

Chłopem niewolnym można było zostać nietylko przez urodzenie, ale także przez zaprzedanie; ojciec miał prawo sprzedać swoje dziecię w niewolę, (por. Rakowiecki. Prawda Ruska I. 93) jak to bywało w dawném prawie ruskiém. Chłop pozwał Jana Kolę o porwanie córki; na to Kola wstał i odrzekł: ja mu córki nie porwałem, lecz on będąc moim człowiekiem, sprowadził na mój dom złodziejów, którzy mię okradli, złożyłem więc na niego sąd i skazałem go na 60 grzyw., on zaś przyszedłszy do sądu z córką swoją, ofiarował mi ją na wieczne czasy w zamian za te 60 grzyw. i okroił nos téj dziewce (—na znak jéj niewolnictwa—) i ona przez to stała się moją niewolnicą (*serva*. 2004). Na równi z chłopstwem stało niższe duchowieństwo ruskie; diak i pop niczém prawie nie różnili się od wolnego chłopa. Pan pozywa o diaka, który uszedł „*abs reclinacione*" (723); dziedzic każe popa utopić bez złożenia nań sądu, wprawdzie za to pociągnięty został do odpowiedzialności sądowéj (118); popa, według wszelkich formalności *in tempore et hora* reklinowanego, nie chce pan puścić ze wsi (3755). Tak samo jak chłop, należał więc pop do prawa patrymonialnego dziedzica; — jakaż to pod względem stanowiska prawnego przepaść między nim, a duchownym łacińskim.

Jurysdykcyą patrymonialną wykonywał dziedzic albo osobiście albo ustanawiał nań sąd z kilku chłopów złożony (515). Chłop, skarżący szlachcica, rzadko kiedy staje sam przeciwko niemu, zwykle zastępuje go pan jego, opiekun w obec prawa. Procesy chłopów załatwiają się tu przed sądem ziemskim, zdaje się jednak, że właściwém ich *forum* był sąd komorników, którego akta po raz pierwszy ogłasza wydawca. Sąd komornicki jest podwładny ziemskiemu (3969), a jak-

kolwiek załatwiają się na nim takie same sprawy jak przed ziemskim, zdaje się, że właściwy wydział komorników stanowiły sprawy chłopskie, które najobficiéj znajdują się w ich aktach. Wszelkie bowiem zapisy, uczynione z jakichkolwiek powodów przed aktami komornickiemi, winny były być, tak samo jak z grodzkich, przenoszone do ksiąg ziemskich.

Na sądach komisarskich, których księga, tak samo jak komornickich, zachowała się począwszy od 1460 r., zasiadają prócz zwykłéj szlachty, urzędników ziemskich i grodzkich, sędzia lub sędziowie przez króla wyznaczeni, ale tylko „*specialiter ad has causas*“, wyroki odkładają od nich czasem na sejmik lwowski pod orzeczenie arcybiskupa i wojewody (4172).

Ciekawém jest również, co nam przynosi zbiór ten do poznania topo- i etnograficznych stosunków ziemi halickiéj. Liczne wsi są tu osadzone przeważnie na prawie ruskiém lub wołoskiém, rzadko na niemieckiém; ludność pierwotna ruska i wołoska i napływowa ze Szląska, z Mazowsza, z Węgier, a nawet i Tatarzyn gdzie niegdzie się znajdzie. Żydów dość wielu, a w rękach ich znajdują się czasami cła i myta. Cała ziemia silnie nawodniona; prócz górskich rzek i potoków, jest tu mnóstwo stawów, po kilka czasem w jednéj wsi; nad któremi warczą wszędzie koła młyńskie. O stawy te mnóstwo spraw się toczy w sądzie. Nad rzekami i stawami wznoszą się obronne zamki (oprócz grodów) w Michalczu, w Manasterzyskach, Jazłowcu, Tłustem, w Magnum Byele nad Seretem i in. Z możnych rodów szlacheckich górują tu po nad innemi Buczaccy-Jazłowieccy, którzy posiadają olbrzymie dobra na Rusi i na Podolu, Jazłowiec, Czerwonogród, Manasterzyska z przyległemi wsiami i cały komplet dóbr z jednéj i drugiéj strony rzeki Strypy (3428). Idą tu daléj panowie Kola z Dalejowa, panowie z Chodcza, a wreszcie powstający, lecz mało jeszcze znany i niezamożny dom Sieniawskich. Wielka posiadłość, do któréj należy kilkanaście wsi, napotyka się tu dość często; jest jednak i bardzo drobna posiadłość, jak np. wieś Jamki ma być podzielona między 12 spadkobierców, wieś, która liczy wszystkiego razem 27 zagród i to tak ma być podzielona, że połowę wsi z 13 zagrodami dostaje jeden spadkobierca, a 11 innych drugą połowę z 14 zagrodami (3509).

Oprócz przybyłéj z Polski szlachty, są tu jeszcze potomkowie dawnych rodów ruskich, możni niegdyś, potężni kniaziowie, którzy dziś pod obcym rządem usunęli się zupełnie z życia publicznego i w dumném, ponurém zasklepieniu rezydują w swych starych zamczyskach. Sąd tytułuje ich zawsze „*illustris dux*“ albo „*princeps*“, które tytuły oddawano tylko członkom rodu królewskiego, ale nie

zawsze chcą oni uchylić hardego karku pod jarzmo obecnych rządów. Kniaź Mithko de Kurosz oskarżony o napad i poranienie mieszczanina Rohatyńskiego wysłuchuje w sądzie skargę i nie zaszczyca go ani słówkiem odpowiedzi, lecz odchodzi hardo, ani ust nie otworzywszy na swą obronę (529).

Do stosunków miejskich odnosi się statut z r. 1435, który postanawia, żeby żadnych towarów, bydła, ani wiktuałów nie sprzedawano i nie kupowano nigdzie, tylko na jarmarkach po miastach, ktoby przeciw temu wykroczył, podpada karze 3 grzywien, a gdyby gdzie we wsi znaleziono takie targi prywatne, mają być wszystkie towary skonfiskowane (4203). Statut ten przyczyniał się, jak widać, znacznie do wzrostu miast.

Mamy tu także niejednę wskazówkę do cen majątków, bydła i towarów. Wieś jest w cenie 100 do 500 grzywien, oczywista, że różnica ta zależała zarówno od jakości gleby, jak i rozmiarów użytecznych gruntów i należących do wsi przysiołków; że różnice pod tym względem bywały wielkie, widać z tego, iż spotykamy się z zamianą jednéj wsi na trzy (2461); zastaw na wsi wynosi zwykle 20—50 grzywien. Cena bydła jest również rozmaitą: wół jest wartości 1 — 1½ kopy, koń 1, 6, a nawet 29 grzywien, krowa 1 kopy 120 owiec=15 grzyw. Z towarów łokciowych napotykamy płótna i barchany gorlickie; sztuka płótna gorlickiego kosztuje 4 grzywny, sztuka sukna żółtego 10 grzyw.. Łańcuch srebrny i pozłacany na wartość 20 grzyw. i t. p.

Trudno wyczerpnąć w krótkiém sprawozdaniu bogaty, a tak różnorodny materyał znajdujący się w tym tomie, to pewna, że przyczyni się on wielce do rozświecenia mnóstwa kwestyi, szczególnie zaś włościańskiéj i z niecierpliwością musimy oczekiwać dalszego ciągu publikacyi, która w dwóch tomach tak świetną przyniosła nam zdobycz.

W pierwszym z nich a XI-tym ogólnego zbioru, dobrze znanego w świecie naukowym, ogłosił d-r Liske najdawniejsze zapiski sądów sanockich z lat 1423—1462, w tomie zaś XII znajdujemy zapiski sądów halickich od r. 1435, t. j. od czasu zaprowadzenia na Rusi prawa polskiego (co uroczyście zostało wypisane na czele aktów), aż do r. 1475. Kiedy jednak w poprzednim tomie mieliśmy trojakie akta sanockie, ziemskie, grodzkie i wyższego sądu niemieckiego, w obecnym znajdujemy akta czterech sądów halickich, mianowicie ziemskiego, grodzkiego, komornickiego i komisarskiego. Najlepiéj z nich zachowały się akta ziemskie i one idą téż nieprzerwanym ciągiem od r. 1435 do 1475; z grodzkich dochowały się tylko szczątki i to w stanie nadzwyczajnie uszkodzonym, tak,

że mamy z nich jedynie ułomki z lat 1435, 1438—1440, 1456—9, 1462—4. Nadto mamy tu jeszcze akta komornickie z lat 1460—1475, o których w sanockiém ani śladu nie ma, i część aktów komisarskich, obejmujących 7 lat 1460—6. Różnica ta występuje najlepiéj w ilości ogłoszonych zapisków, cały zbiór obejmuje ich bowiem 4444, z tego wypada na ziemskie 3865, komornickie 294, komisarskie 43, grodzkie 242. To było téż powodem, że w wydaniu tych aktów nie poszedł prof. Liske drogą użytą w poprzednim tomie t. j. nie daje nam pod każdym rokiem aktów każdego z tych czterech sądów, zbyt znaczne luki uniemożliwiały bowiem tę metodę; podaje on nam natomiast w całości akta ziemskie w jednym ciągu, potém osobno i w całości akta trzech innych sądów. W oddaniu tekstu trzyma się wydawca zasad wyłuszczonych i zastosowanych przy ogłoszeniu aktów sanockich: do r. 1440 wyłącznie są zapiski podane w dosłownem brzmieniu, odtąd przeważnie w skróceniu, ale w takiém, które opuszcza tylko stereotypowe formuły, a zachowuje istotną treść zapisku.

Na zakończenie chciałbym zapytać, czy w zap. 37 dwa opuszczone nieczytelne wyrazy nie można by uzupełnić przez [*primam pecuniam*] *perdidit alias* zadatek, analogicznie do zapisku N. 6?.

Indeksy znane są już z poprzednich tomów; mają one ustaloną reputacyą, a dokładności ich niczego zarzucić nie można. Tak jak w tomie 11 jest ich tu trzy: 1) indeks osobowy i miejscowy, 2) wyrazów polskich, 3) rzeczowy, dla prawników oraz dla tych, którzy pojedynczą kwestyą jakąś opracować zamyślą, nadzwyczaj ważny, ułożony przez prof. Balzera według téj saméj metody, jak w tomie poprzednim.

F. Bostel.





DROBNY PRZYCZYNEK

DO BIBLIOGRAFII

PIŚMIENNICTWA DOLNO-ŁUŻYCKIEGO.

Od r. 1574, w którym „śpiewnik“ i „katechizm“ Albina Mollera, w narzeczu dolnych Łużycan wydane u Michała Wolraba w Budyszynie, początek dały dolno-łużyckiemu piśmiennictwu, pojawiło się w druku razem z publikacyą Mollera w ciągu 144 lat następnych zaledwie siedm książek dolno-łużyckich (1). I tak z kolei potém wydał Andrzéj Tharaeus we Frankfurcie nad Odrą 1610 r. „Enchiridion Vandalicum“; 1706 r. ogłosił Bogumił Fabricius w Korjeniu pod Chociebużem „mały katechizm Lutra“, po raz drugi wydany 1714 r. w Chociebużu; jeszcze przed 1709 r. wyjść miały, jak zapewniają Knauth i Gulda (2), Abrahama Knježka „křeścijanske prašenja a 30 špruchow ze swjateho pisma“, dotąd niestety nieodszukane (3); 1709 r. wspomniany wyżéj Bogumił Fabricius wydał w Chociebużu „nowy testament“, tamże 1714 znowu przedrukowany (4); 1711 r. podług świadectwa Knautha wydrukował Krzysztof Gabryel w Gubinie „Quirsfeldische Deutsch und Wendisch vermehrte Catechismus-Fragen, wydane po raz drugi 1718 w Lubinie;

---

(1) Pismowstwo a spisowarjo delnjołužiskich Serbow. Wot (1548) 1574 — 1880. Zezběrał K. A. Jenč. Časopis Maćicy Serbskeje 1880. Zešiwk II.

(2) Tamże str. 93.

(3) Zdaje się, iż „Compendium theologico-Vandalicum“ tegoż samego autora wydane w Lubinie 1727 r. jest późniejszym przedrukiem téj właśnie książki.

(4) Jak zauważył Alfons Parczewski „Přinoski k serbskej bibliografiji z měšćanskeje knihownje we Wrótsławju“, Časopis Maćicy Serbskeje 1882. Zešiwk II, str. 74, są wydania z r. 1709 dwa odmienne odbicia.

nareszcie 1713 r. wyszło Bogumiła Fabriciusa „krótke rozwučenje“ bez podanego miejsca druku.

Oto całkowity zasób drukowanych zabytków dolno-łużyckiego piśmiennictwa aż po r. 1718.

Jak widzimy, składają się na tę ubożuchną wiązankę druki wyłącznie treści nabożnéj i do użytku kościelnego służące. Z zakresu rzeczy świeckich, o ile wiadomo, nic zgoła aż do owego czasu w narzeczu dolnych Łużycan drukiem nie ogłoszono. Tém więc cenniejszym nabytkiem są niezawodnie dwa czterowiersze z r. 1718, które udało nam się wydobyć z dotychczasowego ukrycia, a cenniejszym dla tego, że uważać je można niejako za pierwszy zawiązek świeckiego na dolnych Łużycach piśmiennictwa. Znalazłem je w broszurze *in folio* będącéj własnością miejskiéj biblioteki we Wrocławiu a zatytułowanéj jak następuje: „Pietatis Observantiaeque Symbola Ex Jacobi Typotii Variis diversorum Principum Symbolis In Anniversaria Festivitate Onomastica Viri Praecellentissimi Amplissimi Ervditissimique Domini M. Sigismvndi Cleemanni Philologi ac Polyhistoris Praeclarissimi nec non Athenaei Guben. Rectoris longe meritissimi Die II Maji A. R. O. MDCCXIIX. Auspicato affulgente Votis devotis collecta et Apollini suo Ne ἀσύμβολοι essent Sancta Religione consecrata a Devinctissimis Superioris Auditorii Alumnis. Gubenae Excudebat Joannes Henr. Hofmann.“ Broszura ta liczy 7 kart, opatrzonych u dołu sygnaturą *B—D* i zawiéra przeważnie wierszowane płody kilkudziesięciu uczniów *superioris auditorii* gubińskiéj szkoły, na cześć Zygmunta Cleemanna, zasłużonego rektora tejże szkoły, ułożona i celem uświetnienia dnia jego imienin wydane.

Rodzina Cleemanów w mieście Gubinie ogólnego w tym czasie zażywała szacunku. Ojciec naszego Zygmunta, Andrzéj Cleemann, rodem z Luboraza (Lieberose), pełnił w Gubinie najpierw obowiązki rektora szkoły, z kolei był w tém mieście archidyakonem i umarł tu jako pastor primarius 1713 r. Opróżnione po ojcu miejsce pastora objął młodszy syn jego, także Andrzéj, starszy natomiast Zygmunt, poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu, sprawował w Gubinie od r. 1709 urząd rektora szkoły, a niewątpliwie pracował na tém stanowisku z chlubą dla siebie i z rzetelnym dla szkoły pożytkiem, skoro, jak tego dowodzi broszura nasza, prawdziwie serdeczną miłością otaczała go młodzież kształcąca się pod jego kierunkiem.

Nader rozmaite co do układu i rozmiarów, różną téż przedstawiają wartość młodociane płody w téj publikacyi zawarte. Najwięcéj jest wierszy ułożonych w różnych narzeczach języka nie-

mieckiego, obok tego są wiersze w językach łacińskim, hebrajskim i greckim, jest także kilka słów uwielbienia dla ukochanego mistrza wypowiedzianych prozą po francusku, — na ostatniéj zaś karcie *tergo* znajdują się zajmujące nas tutaj wyłącznie dwa dolno-łużyckie czterowiersze. Są one wydrukowane literami gockiemi. W nagłówku, jak przy wszystkich innych wierszach, mieści się *symbolum* z Typotiusa, u spodu podane jest imię i nazwisko, oraz miejsce pochodzenia autora. Dajemy najpierw wierny odpis tekstu, nie zmieniając w niczém drukowanego oryginału. Uwagi i objaśnienia językowe umieszczamy w przypiskach.

1.

Virginius Vrsinus, Dux Bracchianum, Rotam L. Rerum vicissitudo.

KNes Rector Bog dai was westaunei (1) Glusä (2) qveschisch
Won kschel wam kuschdi Zaß ten Schen Smerom (3) dasch sweschisch,
Won scharsch' was kuschdi Zaß pschi swojim swetim (4) Slowe,
Won nekschel Nestrowosß, dasch sato lube Strowe.

Johann Landwogt / Horna Lus.

2.

Antonius Medices, Magnus dux Hetruriae, Arbusculas excrescentes, L. Tandem.

KNes Husabnik asch my jak Bomky (5) newostali,
Tho myßmy waschom (6) fleiß' (7) a wernoschz' (8) pschipißali,
Bog kschel was wot Nebia Kronnowasch swelikeu Glucku,
Won kschel was pscheze wiastsch se swoieu moßneu Ruku. (9)

Christan Friedrich Schmidt, Zaednig. March.

Ażeby ułatwić odczytanie i zrozumienie tekstu, powtarzamy go tutaj raz jeszcze alfabetem łacińskim, podług zasad pisowni nowoczesnéj i z uwzględnieniem właściwéj interpunkcyi.

---

(1) = we stawnej. — (2) niem. Glück. — (3) = z měrom. — (4) Formy *instrumentalisu* błędnie tutaj użyte zamiast form *locativu* swójom swětem. — (5) niem. Baum. — (6) = wašomu.— (7) = flaisu, niem. Fleiss. — (8) = wěrnosći. — (9) Ostatnie dwa wiersze liczą po 15 zgłosek, gdy poprzednie dwa są trzynastozgłoskowe. Nieregularność tę możnaby uchylić wprowadzając do tekstu zamiast form *wjelikeju* tudzież *swójeju mócneju* prawidłowe i dotąd używane w Dolnych Łużycach formy *wjelkej swójej mócnej*.

1.

Kněz rektor! Bog daj was we stawnej gluce kwěšiś,
Wón kšěł wam kuždy cas ten żeń z měrom daś swěšiś;
Wón żarž was kuždy cas při swójom swětem słowje,
Wón njekšěł njestrowosć daś za to lube strowje.

2.

Kněz hucabnik! Až my jak bomki njewostali,
To my smy wašom flais' a wěrnosć' připisali.
Bog kšěł was wot njebja kronowaś z wjelikeju gluku,
Wón kšěł was přece wjasć ze swójeju mócneju ruku!

Bliższych szczegółów o autorach owych wierszy wyśledzić nie zdołaliśmy. Jan Landwogt pochodził, jak opiewa dołączony do jego nazwiska dopisek, z Horna = Horno, po serbsku Rogow, wsi, która i dzisiaj jeszcze pozostała serbską i jedyna w całym gubińskim powiecie oparła się skutecznie germanizacyi. Krystyan Fryderyk Schmidt zaznaczył, jako miejsce urodzenia swego Zaednig = Sehdenick, po serbsku zapewne Sadnik. Jest to miasto położone w Marchii brandeburskiéj, w powiecie łęplińskim, nad Hawolą, oddawna już zgermanizowane.

Ani Landvogt ani Schmidt nie zabłysnęli w historyi dolnołużyckiego piśmiennictwa i nazwiska ich nie przedostały się do szczupłego zastępu tych dzielnych, którzy wśród najniekorzystniejszych warunków ojczystą mowę swoję usiłowali podnieść do znaczenia języka literackiego. Cała ich w zakresie ojczystego piśmiennictwa działalność ogranicza się, jak się zdaje, do tego jednego na ławach jeszcze szkolnych literackiego debiutu. Nie mniéj przecież należy im się na karcie dziejów dolno-łużyckiego piśmiennictwa wdzięczne wspomnienie.

Dr. Bolesław Erzepki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Zasady matematyczne muzyki przez Władysława Witkowskiego.(*) Warszawa, 1887.

Stosowanie matematyki w teoryi muzyki jest uzasadnioném w naturze rzeczy i sięga głębokiéj starożytności. Już Pytagoras utożsamiał liczby z harmonią, a stosunki liczbowe, zachodzące między tonami skali muzycznéj, przenosił do sfer planetarnych. Ten wszakże kierunek badań, daleki od wszelkich metod doświadczalnych, wyrodził się w spekulacye metafizyczne i astrologiczne, które w dziedzinie muzyki przez długie wieki wszechwładnie panowały. Nawet taki geniusz wiedzy, jakim był Kepler, nie mógł się uwolnić z więzów metafizyki liczbowéj w dziedzinie téj teoryi.

Dopiero w połowie zeszłego wieku znakomity matematyk Euler wprowadził teoryą matematyczną muzyki na tory racyonalne. Jemu to teorya ta zawdzięcza ciekawe reguły arytmetyczne, według których oznaczyć się daje stopień konsonansu przedziałów (interwalów) i akordów muzycznych z danych stosunków liczbowych drgań, odpowiadających uważanym przedziałom. Wpływ tonów zwanych kombinacyjnemi nie był jeszcze Eulerowi znany. Po nim

(*) Jeżeli, nie mając żadnéj kompetencyi w rzeczach muzyki, pozwalam sobie zamieścić tu uwagi swoje nad pracą p. Witkowskiego, to czynię to poczęści z obowiązku zdania sprawy o książce, która wydana w roku zeszłym, doczekała się zaledwie krótkiéj recenzyi ze stanowiska muzykalnego w „Echu muzyczném“ (No. 188 z dnia 7 maja 1887, porówn. odpowiedź p. Witkowskiego w No. 197 z dnia 9 lipca tego roku), po części na wezwanie wystosowane do redakcyi „Ateneum“, w którém szanowny autor zwolnił recenzenta od oceny strony muzycznéj jego pracy. Odsyłając przeto czytelnika do wspomnianéj recenzyi p. Kleczyńskiego w „Echu muzyczném“ ograniczam się jedynie na zdaniu sprawy z matematyczno-fizycznej osnowy książki p. Witkowskiego.

w dziedzinie tėj najbardziej zasłużyli się Tartini, Rameau i d'Alembert. Pierwszy uwzględniał już tony kombinacyjne, drugi tony harmoniczne *(Obertöne)*; prace te przeniosły teoryą muzyki z gruntu metafizyczno-liczbowego na grunt przyrodniczo-matematyczny. Pomysły Hoene-Wrońskiego i oparta na nich teorya Durutte'a stoją na gruncie matematyczno-metafizycznym.

Największe zasługi w teoryi przyrodniczėj zjawisk muzykalnych położył współczesny nam genialny badacz Helmholtz. Wielkie jego dzieło p. t. „Die Lehre von den Tonempfindungen" stanowi epokę w tėj dziedzinie. W niém to Helmholtz zbadał istotę dźwięków muzycznych, wyjaśnił doświadczalnie naturę dźwięczności *(timbre, Klangfarbe)*, konsonansu i dysonansu przedziałów i akordów, przedstawił rozwój teoryi muzyki i scharakteryzował jego istotę; wypowiedział przytém mnóstwo niezmiernie interesujących poglądów estetycznych, tak że wspomniane dzieło, mimo że autor jego przyznaje się tylko do dyletantyzmu w muzyce, stanowi nieocenioną pracę źródłową dla muzyków, a zwłaszcza dla pracujących w dziedzinie teoryi muzycznėj. Szczególniėj ważną jest teorya dudnień *(Schwebungen, battements)*, będąca podstawą nauki konsonansu i dysonansu.

Część arytmetyczna teoryi muzyki oprzéć się winna, zdaniem naszém, na teoryi fizycznėj; stanowi ona jėj dopełnienie i stosować się musi do jėj rozwoju. Uważana sama w sobie ma znaczenie pewnych prawideł arytmetycznych, prawideł zresztą bezwątpienia pożytecznych i ciekawych, lecz nie sięgających w istotę zjawisk muzykalnych.

Wziąwszy do ręki książkę p. Witkowskiego, spodziewaliśmy się, sądząc z tytułu, znaleźć w niėj zbiór tego rodzaju prawideł, opartych na najnowszych rezultatach badań Helmholtza. Tymczasem o tych badaniach znajdujemy zaledwie pobieżną wzmiankę (str. 8); o tonach kombinacyjnych, o dudnieniach i t. p.—ani słówka. Autor stoi na stanowisku takiém, że zdaniem jego, arytmetyka muzykalna, że tak powiem, nie teorya matematyczna w znaczeniu ścisłém—jest wszystkiém; ona to „rozwiązuje ostatecznie pytanie, na czém rzeczywiście polega melodya i harmonia muzyki" (Przedmowa). Stanowisko to wydaje mi się naukowo nieuzasadnionėm.

O ile zrozumieć mogliśmy, pomysł sz. autora przedstawia się w sposób następujący:

Ponieważ istota gam oraz melodyi i harmonii muzycznėj były dotąd zdaniem autora, niewyjaśnionemi, powziął więc myśl wyprowadzenia tego wszystkiego z jednego źródła, a raczėj oparcia wszystkiego na jednėj podstawie. Tą podstawą jest bardzo prosty szereg

geometryczny, którego wyrazem pierwszym jest 1, a wykładnikiem $\frac{3}{2}$, czyli tak nazwany szereg *kwint*:

$$1, \frac{3}{2}, \left(\frac{3}{2}\right)^2, \left(\frac{3}{2}\right)^3, \left(\frac{3}{2}\right)^4 \ldots\ldots$$

Szereg ten zastąpić można w badaniu szeregiem wykładników (logarytmów), wyrażających odległość tonów muzycznych:

$$0, 1, 2, 3, \ldots\ldots$$

Sprowadzenie tonów szeregu kwint do tejże saméj oktawy uskutecznić się daje przez podzielenie każdego jego wyrazu przez odpowiednią potęgę liczby 2. Iloraz wykładnika uważanego wyrazu przez wykładnik téj potęgi stanowi ułamek $\frac{log\ 2}{log\ 3 - log\ 2}$, który rozwinięty w ułamek ciągły, prowadzi do różnych podziałów gamy, między innemi, do podziału na 7 i 12 części. Wynik tego rachunku uważa autor za dowód prawdziwości swéj teoryi. Następne wywody autora opierają się na rozmaitych przekształceniach powyższego szeregu geometrycznego i odpowiadającego mu arytmetycznego—oraz na stosowaniu redukcyi wyrazów szeregu według modułu 7 i 12, przyczém autor wprowadza jeszcze pojęcia rozciągu tj. różnicy między najwyższym i najniższym tonem na skali kwint oraz zawartości, która mierzy się sumą wyrazów szeregu tonów, zamienionego na liczby wyrażające odległości. Na tych to pojęciach opiera „prawa" melodyi i harmonii, w rozbiór czego wdawać się nie mogę; zauważę tylko, że z teoryi akordów autora wynika, że liczba wszystkich akordów (od 3-ch do 7 tonowych) może być 258, a gdy odrzuci się akordy, których rozciąg przechodzi liczbę 12, to będzie ich 181.

Za podstawę teoryi swojéj uważa autor następujące twierdzenie (str. 12):

„Stosunki tonów muzycznych stanowią szereg geometryczny, którego pierwszy wyraz jest jedność, odpowiadający tonowi fundamentalnemu, a stosunek kwadrat ze stosunku największego, któremu odpowiedni ton nie daje się odróżnić od tonu fundamentalnego".

Prawo to nazywa sz. autor „nadzwyczaj ważném i nowém, podstawą wszystkich praw muzycznych". Nie wchodząc w bliższy rozbiór kwestyi, czy twierdzenie podobne może być nazwane „prawem", pozwolę sobie zauważyć, że, o ile wiem, zestawienie tonów w szeregi geometryczne nie jest nowością, jak to można czytać w dziele Helmholtza (str. 478), co się zaś tyczy samego wywodu twierdzenia, to wyznajemy, że nie zadwolnił on nas wcale pod względem wymagań ścisłości. Co się znów tyczy pojęcia „kommy",

to, zdaniem naszém, daleko bardziéj przemawiającym do przekonania jest wywód Wrońskiego (przytoczony w dziełku: *Wroński et l'esthetique musicale par Charles Henry*, str. 38), jakkolwiek rozumowanie Wrońskiego przenika pierwiastek metafizyczny.

Z akustyki bierze autor tylko jedno prawo, mianowicie, „że ton każdy odpowiada ściśle stałéj liczbie drgań, bez względu na ciało wibrujące“—wszystkie inne odrzuca (str. 10); ale czémże jest prawo drugie autora: „każdy ton mierzy się stosunkiem liczby drgań tego tonu do liczby drgań tonu fundamentalnego“ jeżeli nie parafrazą odrzuconego przezeń prawa: „Każdy akord muzyczny między dwoma tonami może być wyrażony i jest oznaczony przez stosunek $\frac{n}{n'}$, dwóch liczb wyrażających ilości drgań na sekundę, odpowiadających tym tonom“. Zauważyć przytém należy, że autor nazywa często „prawem“ to, co jest zwykłém spostrzeżeniem lub wnioskiem z przeróbki arytmetycznéj.

Gdy teraz przejdziemy do samego wykonania pracy, to z żalem wyznać musimy, że tekst jest przepełniony mnóstwem błędów, z których nie wszystkie są omyłkami druku, przy czém i korekta jest fatalną. Zwrócimy tu uwagę na niektóre tylko błędy:

Na str. 1. powiedziano: „sama ta l i c z b a po wykonaniu działania nazywa się potęgą“; tymczasem nie ta liczba jest potęgą, lecz w y n i k mnożenia.

Na str. 2. Wyrażenia „$\frac{729}{512}$ dzieląc przez 512; dzieląc ostatni ułamek przez licznik 217“—użyte błędnie; należało powiedzieć „dzieląc licznik i mianownik ułamku przez itd.“

Na str. 4. Powiększony i l o ś c i ą s t a ł ą zamiast: powiększony o i l o ś ć s t a ł ą.

Na str. 9. „Przechodząc do tego stosunku, doświadczenie uczy nas“—jest to wyrażenie niepoprawne pod względem językowym.

Na str. 11 powiada autor, że szereg

$$1, \frac{\alpha+1}{\alpha}, \ldots \quad 2, \frac{2\alpha+1}{\alpha}, \ldots$$

zawiera w s z y s t k i e liczby, zacząwszy od jedności itd., co nie jest prawdą.

Na str. 14. Zdanie: „szereg 4) posiada tę własność, że zacząwszy od ułamka bardzo małego λ wyrazy tego szeregu rosną, zacząwszy od 1 i stoją się coraz prostsze, więc można ten szereg odwrócić“ jest mylne i niejasne.

Na str. 19 nazywa autor peryodem ilość różną od zera, dla któréj $\left(\frac{3}{2}\right)^{\omega} = 1$; tymczasem, ilość ω, jeżeli jest rzeczywistą, nie może

być różną od zera; błąd autora pochodzi stąd, że idzie mu właściwie nie o potęgę samego ułamku $\frac{3}{2}$, lecz o potęgę tego ułamka podzieloną przez pewną potęgę liczby 2.

Na str. 78 autor pisze wzory takie, jak

$$a^{-m}=2.\frac{1}{a^m},\quad a^m=2.\frac{1}{a^{-m}},$$

które są matematycznemi absurdami. Popełnia on tu ten sam błąd, jaki wskazaliśmy w uwadze poprzedzającéj.

Na str. 85—wzór na S jest napisany błędnie, gdyż—nx wypisano jako wykładnik, co być nie powinno. Jest to omyłka druku, nie poprawiona w korekcie.

Klasyfikacya gam i akordów przy pomocy prostych wzorów arytmetycznych jest istotnie zadaniem bardzo interesującém, szkoda tylko, że przedstawienie zadania tego w szacie tak nieścisłéj nie może zachęcić matematyków i fizyków do przeczytania pracy pana Witkowskiego.

S. Dickstein.

Prace filologiczne wydawane przez Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II, zeszyt II. Warszawa, 1888 r.

P. Kalina w ciągu dalszym rozprawy swojéj p. t. „Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiéj“, zastanawia się nad słowami, których tematy w języku sanskryckim mają akcent na zakończeniu. O ile wnosić można z pierwszéj części niniejszéj rozprawy, umieszczonéj w zeszycie I, autor przez końcówkę tematową rozumie samogłoskę, którą dawniéj uważano za spójkę, łączącą temat z fleksyą konjugacyjną np. sanskr. *tudá* zamiast dawniejszego systemu spójkowego *tud-á*, co będzie tematem słowa sanskryckiego *tudâmi*, *tudási*, *tudáti* (uderzam, uderzasz, uderza). Zwracamy uwagę, że p. K. mówiąc o tych tematach, nie przytoczył jednak powyższych przykładów, utrudniając tém czytelnikowi zrozumienie i tak zawikłanego przedmiotu. Naznaczywszy autor istnienie akcentu w końcówkach tematowych, przechodzi do dziedziny języków słowiańskich, zastanawiając się nad wpływem akcentu na przemianę samogłosek tematowych, co wiele za dobą przedsłowiańską powyższego przemawia zjawiska, zachodzącego jednak w słowach spólnéj kategoryi np. osoba I cz. teraźn. w starosłowiańskim *żegą* i *żъgą*, porówn. słowieńskie: *żgem*, bułg. *żegъ*, ross. *żgu*, rusk. czesk. *żhu*, polsk. *żże* obacz *żeże* (1). Z tych forma druga z jerem miękkim jest właściwą cechą

(1) Historya języka polskiego, 408.

tego czasu, gdy pierwsza z samogłoską mocniejszą *e* przejętą została z czasu przeszłego (*żeg*), aby uniknąć w osobie drugiéj cz. teraźn. przykrego zbiegu dwóch *ż* (*żъżeszi*). Istnienie samogłoskowości jerów objaśnia się tém, że dźwięki rzeczone w starosłowiańskim łączą się z płynnemi *l*, *r* i nosową *n*. Wyjątek wszakże stanowią tematy *nъzą* i *żъgą*, które nie kończą się ani na płynną, ani na nosówkę.

To co się mówiło o słowach: *żegą* i *żъgą* nie odnosi się do typów: *ber* (berę-biorę), tworzących czas przeszły od rozszerzonego tematu *bra*. Słowo *znają* (znam) jest formą cz. przeszłego, bo w teraźn. wypadłoby *zen* od pierwiastku *g'an* jak np. *gna* brzmi *żeną* (gnam) itp. W ciągu dalszym przytacza autor słowa, które na analogii z powyższemi powstając, przekształcają się w narzeczach słowiańskich, stosownie do ustroju dźwiękowego w dyalektologii.

Pracę te nazwać by można cennym nader przyczynkiem do zbadania fleksyi konjugacyjnych w języku polskim, gdyby autor zechciał zachować w układzie pewien porządek, na czém by wiele jasność rozprawy zyskała.

Lubo już W. A. Maciejowski w Dodatkach do Piśmiennictwa polskiego (str. 150) umieścił niektóre wyjątki z komedyi o mięsopuście, że jednak pomieniony pisarz dopuścił się błędnych niekiedy objaśnień, bardzo jesteśmy wdzięczni p. K. za ogłoszenie rzeczonego rękopisu, znajdującego się w bibliotece petersburskiéj. Pomnik ten szczególniéj jest godnym uwagi, że nie zachowano w nim ówczesnéj pisowni, co poniekąd może być miarą wymowy XVI w. Proces znikania nosowości samogłosek ogarnął już nietylko końcówkę ale i środki wyrazów. Jest to zjawisko, które przejawia się w wielu gwarach ludu polskiego, grożąc pochłonięciem nosowości, co już w innych narzeczach słowiańskich stało się faktem spełnionym. Samogłoski czyste oznaczano literami nosowemi np. *wyrzączili* (wyrzucili), *czemą* (czemu), w *domą* (domu) itp. P. K. widzi w tém ślady akcentu przeciągłego (circumflexus). „Okoliczność ta podaje nam ważną wskazówę, mówi autor, ażeby w pisanéj literze nie szukać zawsze odpowiedniego dźwięku żywéj mowy, gdyż w niéj może często zachowany być tylko dawniejszy zwyczaj ortograficzny, który z rzeczywistym rozwojem języka nie zawsze idzie w parze".

P. profesor Nehring przywodzi nam ośm kartek z nieznanéj staréj książeczki do nabożeństwa. Kartki te przyklejone były do desek Adagiów Erazma Rotterdamskiego z r. 1515 w bibliotece uniwersyteckiéj we Wrocławiu. Zabytek ten należy do najdawniejszych druków polskich, bo z końca XV w. a więc wcześniejszych od „Obyczayu mowyenia zoltarza panny Maryey (1521 r.). Dźwięki nosowe

wyrażają się za pomocą greckiego ą (ą) lub α (ę). Znak ten używa się także w Żywocie papieża Urbana (druk z 1514 r.). Z osobliwości językowych zkąd inąd znanych notujemy tylko: przyp. 2 l. mn. *tysiąc* (zam. tysięcy), rzeczownik *uczastnik*, przymiotnik *wzdziaczny* i imiesłów *umarwszy*.

Oprócz znanych form przysłówkowych w staropolszczyźnie na *sky*, powstałych z przypadku 6 l. mn. deklinacyi rzeczownikowéj przymiotników, p. Kryński przywodzi nam niektóre okazy z pomników XV i XVI w., np. *przyjacielski* (1449—1460 r.), *złodziejski* (1450), *małżeński* (1450 r.), *polski* (1450 r.) itp. Zabytkami poniekąd tych przysłówków są formy na *e* np. *babskie* (po babsku), *chłopskie* (po chłopsku), żyjące jeszcze aż po w. XVIII.

P. Karłowicz umieścił: Dziesięć pieśni mazurskich, pieśń staroczeską o narodzeniu Jezusa (w. XV), zaduszniki—łańtuch, rańtuch i kilka słów o nazwiskach litewskich. Szczególne formy z pieśni mazurskich: *zakścią* (zakwitną), tak zwane *połnogłasije* w formie *seroka* (sroka) porówn. nazwy miejscowości *Seroki*, *Serock*. Z leksykologii: *wódka* nie oznacza gorzałki lecz wodę, podobnież *gorączka* = gorąco, upał.

Do lżejszéj i popularniejszéj, ale bardzo pouczającéj lektury „Prac filologicznych“ należą prace: prof. Malinowskiego Studya nad etymologią ludową (c. d.) i Kamińskiego Ostatni zwrot w sporze o starożytność rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego.

Justyn Feliks Gajsler.

= **Poezye Adama Mickiewicza**. *Nowe wydanie*, z *życiorysem autora, skreślonym przez Piotra Chmielowskiego* (Warszawa, 1888, 4 tomy str. C + 240, 340, 363, 374). Co nasi najbliżsi sąsiedzi zachodni, Niemcy, posiadali już od lat trzydziestu, my dziś dopiero zaczynamy nabywać, to jest tanie wydania pierwszorzędnych poetów ojczystych. Istotnie najnowsza edycya Poezyi Mickiewicza może naprawdę nie tylko na równi ale nawet wyżéj być postawioną niż którebądź niemieckie wydanie Goethego lub Schillera. Nie taniość bowiem jedynie (4 tomy, o dwudziestu kilku arkuszach każdy, za kopiejek 80), ale nadto dobroć papieru, wyraźność druku, poprawność tekstu przy nadzwyczaj starannéj korekcie, objaśnienia historyczno-literackie, opatrzenie stosunkowo obszernym życiorysem należy tu wciągnąć do porównania, z którego edycya polska wyjdzie niewątpliwie zwycięsko. W wydaniu tém poezyi Mickiewicza mieszczą się nie tylko rzeczy znane z edycyi dawniejszych, lecz również takie, które po raz pierwszy w drukach warszawskich się pojawiają jak fragment dramatu p. n. „Jakób Jasiński“, „Wielka wojna

w przyszłości“, „Aleksander Puszkin“, „O duchu narodowym“, „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych“, „O dążeniu ludów“, „Mazzini i Mazziniści“, „Odpowiedzialność rządu według pojęć ludu“, „Socyalizm“, „Chłopi“. Pomieszczenie tych utworów, po większéj części ogółowi naszemu czytającemu bardzo mało znanych, jest nabytkiem nowego wydania wielce pożądanym, gdyż uwielbianego poetę przedstawi z nowéj strony, o któréj dotychczas mała tylko garstka ludzi wiedziała. W układzie starano się zachować porządek chronologiczny z uwzględnieniem atoli podziału na rodzaje literackie. A więc w tomie I-ym po życiorysie, obejmującym stronic sto, podano „Ballady i romanse“ ponieważ od tych utworów epicznolirycznych rozpoczęła się właściwa działalność Mickiewicza jako reformatora naszéj poezyi; następnie zaś umieszczono sonety erotyczne i krymskie, poezye miłosne i elegijne, przemowy, ody i pieśni, poezye religijno-gnomiczne; a w dodatkach powiastkę „Żywilę“ i wiersze wątpliwéj autentyczności („W imionniku M. S.“ „Do***“, „Dziewica na rozdrożu“, „Do Deotymy“). W tomie II-im wydrukowano poematy: „Grażyna“, „Dziady“, „Konrad Wallenrod“ i „Farys“, poezye dydaktyczne („Warcaby“, „Do Joachima Lelewela“, „Do doktora S.“), bajki i powiastki. Tom III-ci zajął „Pan Tadeusz“. W tomie IV-ym wreszcie mieszczą się przekłady z obcych poetów, i przekłady utworów Mickiewicza pisanych po francusku; dodatkowo zaś do „Poezyi“ dodano rozprawy literackie i polityczne do poznania poety w całości jego umysłu niezbędne. Tu właśnie obok znanych powszechnie: Uwag nad Jagiellonidą, O poezyi romantycznéj, Goethe i Byron, O krytykach i recenzentach Warszawskich, znalazła miejsce większa część tych, które jako zupełną nowość téj edycyi wymieniono powyżéj. Zalety tego wydawnictwa pod względem zewnętrznym i wewnętrznym są tak wielkie, że przy nich nikną całkowicie drobne usterki, i sprawiają, iż bezwarunkową pochwałą zalecić możemy czytelnikowi to nowe wydanie Poezyi wieszcza.

= **Typy i ideały pozytywnéj beletrystyki polskiéj** *przez Teodora Jeske-Choińskiego* (Warszawa, 1888, str. 225). Autor zamierzył sobie przedstawić, jak się ukształtowały w kreacyach powieściowych z ostatnich lat dwudziestu kilku hasła wygłaszane przez tak zwanych pozytywistów. Zadanie to ciekawe i ważne zarówno pod względem psychologiczno-artystycznym jak i społecznym, gdyby podjęte było i wykonane z dokładną znajomością przedmiotu a bez uprzedzeń stronniczych; bez tych zaś przymiotów traci istotne znaczenie i staje się tylko pracą okolicznościową z charakterem czysto-publicystycznym. P. Choiński otwarcie podaje się za polemistę „młodego konserwatyzmu“, tak ochrzczonego przez siebie a wrogo występują-

cego przeciw zasadom postępowym; i przyznaje, że działalność powieściopisarzów pozytywnych tylko w świetle tego stronnictwa przedstawić się starał. Wstrętnym jest dla niego cały ruch „pozytywny“, a więc i beletrystyka przezeń do życia powołana. Powieściopisarze i powieściopisarki, zalecający pracę organiczną, malujący ludzi „porządnych“: dobrych ojców, rzetelnych kupców, przemysłowców i rzemieślników rozumnych, trzeźwo i jasno na zadania społeczne patrzących profesorów, urzędników, rolników, głoszący wielką wartość nauki w zastosowaniach praktycznych, są to według niego—pisarze szkodliwi a tém szkodliwsi, im większy posiadają talent. Dlaczego?—zapyta może czytelnik: oto dlatego, że nie są bohaterami w wielkim stylu, według szablonu romantycznego. „Każdy z nich—powiada p. Choiński o ideałach pozytywistów — zapewni szczęście swéj żonie i będzie pamiętał o utrzymaniu dla rodziny. Jeżeli jest typem dodatnim, nie dopuści się czynu hańbiącego, ale nie zdziała téż nic, coby przekraczało miarę codziennych potrzeb społeczeństwa. Niéma między nimi n a r w a ń c ó w, niéma natur gienialnych, żyjących wyłącznie dla idei niesamolubnéj“ (str. 214). Gdyby autor dbał naprawdę o rozjaśnienie sprawy, gdyby mu szło istotnie tylko o charakterystykę rodzaju twórczości beletrystów pozytywnych, nie zaś o poniżenie ich ideałów; toby niewątpliwie przyszedł do przekonania, że beletryści owi, odtwarzając rzeczywistość, nie mogli zapełnić swych utworów postaciami proroków, apostołów, rycerzy „żyjących w y ł ą c z n i e dla idei niesamolubnéj“, bo takich w życiu nie napotkali, gdy tymczasem ludzi nie gienialnych wprawdzie, spełniających jednak sumiennie swe obowiązki, widzieli i do kreacyi swoich wprowadzili. Wielcy ludzie pojawiają się rzadko; romantyzm nie znajdując wkoło siebie znacznéj ich liczby, a zmuszony zadość czynić swemu popędowi, albo zanurzał się w przeszłość dla wyłowienia z jéj głębin bohaterów sobie sympatycznych, albo téż wytwarzał szeregi gienialnych natur skrzywionych. Dzisiejszy realizm woli malować teraźniejszość, woli zajmować się powszedniemi cnotami i występkami, jakie ma ciągle przed oczyma. Nasi beletryści dawniejsi niewiele stworzyli natur gienialnych; zwykłym zaś ich wybrańcem był niezadowolony i rozczarowany artysta, poeta, nie wielki zazwyczaj przynoszący pożytek społeczeństwu, bo nie umiejący lub nie mogący wywalczyć dla siebie stanowiska, któreby mu działać pozwoliło. Dzisiejsi powieściopisarze zaniechali tę postać, a wprowadzili doktorów, inżynierów, przemysłowców, kupców, nie dając im archanielskich skrzydeł, ale uposażając w przymioty, które mogły ich pożytecznymi członkami społe-

czeństwa, dążącego przez wzmocnienie podstawy materyalnéj bytu do utrwalenia i przechowania skarbów duchowych. Rycerzy w dzisiejszych stosunkach zazwyczaj przedstawiać nie mogli, ale gdy chcieli ich odmalować, zwracali się ku przeszłości. P. Choiński z rozmysłem pominął powieści historyczne Jeża, w których niejedna piękna postać rycerza się znajduje, a pominął dlatego, ażeby mu to w jego tendencyi zohydzenia ideałów pozytywnych nie bruździło. Z tegoż samego powodu pominął takie utwory Orzeszkowéj, gdzie głębokie uczucie zostało uwydatnione; szło mu bowiem o to, ażeby w jéj pismach tylko suchy racyonalizm uwydatnić. U Konopnickiéj, tąż samą powodowany dążnością, dostrzega tylko kosmopolityzm (str. 207) a nie widzi tych łez, jakie poetka wyléwa nad dolą ojczystą, akcentuje jéj pessymizm, a nie potrąca nawet słówkiem o dodatnich pierwiastkach jéj poezyi. Dosyć będzie tych wskazówek, ażeby nabrać przekonania, że p. Choiński nie chciał patrzéć tam, gdzie mu gwoli tendencyi patrzéć nie wypadało, i że przedstawił czetelnikom nie wizerunki naszych powieściopisarzów, ale ich karykatury. Chociaż więc przy końcu broszury wyliczył sumarycznie zasługi beletrystyki pozytywnéj (wprowadzenie nowych typów, roztworzenie nowéj sfery, udoskonalenie techniki, wywalczenie dla ludzi nauki „stanowiska towarzyskiego“ (?), przygarnięcie do serca maluczkich i sponiewieranych, patrzenie uważne na życie itp.); to wyliczenie to jako nieoparte na wywodach poprzednich, wygląda dziwnie jak pochwała ludzi tych samych, którym dopiero co szkodliwość się zarzucało, i za to samo, za co się ich łajało. Ta jaskrawa niezgodność z samym sobą, występująca tak wyraźnie przy końcu książki, ujawnia się nieraz i w niéj saméj, tylko w formie nie tak dobitnéj. Brak zaś należytego wystudyowania przedmiotu, brak nawet zasadniczych wiadomości z zakresu obejmującego to, co się krytykuje, widziéć się daje dość często. Kto bowiem bierze ograniczenie pola badań naukowych za zrozpaczenie o saméj nauce (str. 131, 221); kto Galileusza poczytuje za „odkrywcę teoryi heliocentrycznéj“ (str. 196), jakby nic nie słyszał o Koperniku; ten nie może rościć pretensyi do nazwy znawcy kierunku pozytywnego, który krytykować się podjął. Może on tu i owdzie wypowiedziéć jakąś trafną uwagę estetyczną, ale ogarnąć całości ruchu pozytywnego i wydać o nim sądu kompetentnego nie potrafi.

— **Czwarta część Dziadów Adama Mickiewicza.** *Studyum porównawcze napisał Dr. Józef Kallenbach (Kraków, 1888, str. 21 w 4-ce).* Jak w pracach swoich nad twórczością Kochanowskiego, tak i w obecném studyum nad czwartą częścią „Dziadów“ p. Kallenbachowi idzie wyłącznie o wykrycie źródeł literackich, z których wy-

płynęły pewne wyobrażenia lub wyrażenia poety. Uwzględniając to wszystko prawie, co poprzedni badacze pod tym względem zrobili, starał się autor posunąć dalej poszukiwania i wzbogacić je nowemi zdobyczami. Zastanawia się tedy pokolei nad wpływem „Nowéj Heloizy“ Roussa, „Wertera“ Goethego i pism Jean Paula Richtera na pomysły i obrazowanie Mickiewicza w dziejach miłości Gustawa. Co do „Nowéj Heloizy“ zaznacza p. Kallenbach głównie powoływanie się kochanków na wyższe, przedwieczne wyroki, które dusze dwojga ludzi dla siebie przeznaczyły, a nadto słusznie zestawia jeden poszczególny pomysł Roussa i Mickiewicza o owém zachowaniu się kochanka, kiedy dowiadując się o ślubie kochanki, chce ją w początku zabić, ale niebawem przerażony tą samą myślą, pozostawia ukochaną udręczeniom sumienia tylko. Zresztą między Gustawem a St.-Preux nie widzi „istotnego duchowego podobieństwa“. St.-Preux to „figura bez krwi i kości, automat poruszany myślami autora“, mianowicie od czasu, gdy schodzi na biernego kochanka; Gustaw zaś jest „bezwątpienia silniejszym, naturalniejszym wyrazem namiętności młodzieńczéj;“ on nie umie jak bohater Nowéj Heloizy „wyperswadować sobie uczuć kochanka i stać się spokojnym przyjacielem“.—Co do pomysłów analogicznych z pewnemi ustępami utworu Goethego, to p. Kallenbach streszczając dawniejsze wywody, dodaje od siebie szczegół, iż „jak Werter zapowiada, że pójdzie naprzód do wspólnego wszystkich ojca i czekać będzie na kochankę, a gdy ta wreszcie przybędzie, Werter w obliczu Najwyższego złączy się z nią na wieki; tak i Gustaw pod koniec Dziadów jest przekonany, że śladem lubego anioła cień jego błędny wkradnie się do nieba, spokojnie wyczekuje téj chwili, pewny, że dla niéj i dla niego przyszłość śmieje się wesoła“. Robi zaś nacisk na to, że dwaj bohaterowie są w gruncie różni od siebie, gdyż żyją innemi wspomnieniami i inaczéj zapatrują się na świat. Wywody p. Kallenbacha, dotyczące stosunku obu do natury, niezbyt wydają się nam trafne i przekonywające, dla tego że nie widzimy rzeczywistego punktu porównania. U Gustawa niéma właściwie zamiłowania natury w tém znaczeniu jak u Wertera; przytoczone przez autora ustępy dowodzą tylko, że Gustaw przywiązany był do pamiątek, a więc zarówno do zawiązki ze złotych włosów jak do listka cyprysu czy gałęzi jedliny, ponieważ one były darami lubéj albo mu téż dary te symbolizowały; szukanie zaś w rozmowie ze świętojańskim robaczkiem równoważnika do przeciwstawienia go „bólowi wszechświatowemu“ Wertera jest wyszukaném i naciąganém; wyszukaném, bo oprzéć się trzeba nie na słowach bohatera zupełną przytomnością umysłu nacechowanych, tylko na urojeniu obłąkańca; naciąganém,

bo Gustaw świętojańskiemu robaczkowi nie tylko spółczucie przyznaje, ale także ostrzeżenie, że na świecie nawet zalety bywają przyczyną zguby, ostrzeżenie pełne smutku niezbyt dalekiego od „bólu wszechświatowego“. — Nad wpływem Jean Paula pierwszy p. Kallenbach się zastanowił. Pobudką ku temu była mu dewiza umieszczona nad czwartą częścią Dziadów („Ich hob alle mürben Leichenschleier auf“ itd.). Autor doszedł, że dewiza ta wyjęta została przez Mickiewicza z utworu Jean Paula zatytułowanego: „Biographische Belustigungen unter der Gehirnschale einer Riesin“. Sądził, że poeta nasz wziąwszy motto z téj powieści, korzystał może i z niektórych pomysłów w niéj zawartych. Doznawszy pod tym względem zawodu, gdyż się okazało, że ani całość opowiadania, ani sytuacye pojedyncze owych „Zabaw biograficznych“ nie przedstawiają najmniejszéj analogii z poematem Mickiewicza, — zabrał się do wertowania innych pism Jean Paula w nadziei odnalezienia śladów pokrewieństwa między niemi a dziełem naszego wieszcza. Ponieważ zaś wiersz Mickiewicza „Nowy Rok“ co do pomysłu zasadniczego i podziału na trojakie życzenia wzięty jest, jak to p. Kallenbach również pierwszy zaznaczył, z powieści Jean Paula „Siebenkäs“ (rozdział XXIII), szukał tych śladów w niéj przedewszystkiém. Niedziw, że oddawszy się badaniu temu z zamiłowaniem, odnalazł miejsca, które mu się wydały wielce podobnémi, chociaż krytykowi, przystępującemu na chłodno do oceny rzeczywistości tych podobieństw, zupełném złudzeniem się wydają. Jakoż ani z toku myśli ani z wyrażeń niepodobna wynaleźć dalekiéj nawet analogii pomiędzy słowami Mickiewicza: „Gdy na dziewczynę zawołają żono, już ją żywcem pogrzebiono“, a zdaniem Jean Paula, że dzień ślubu dziewczyny jest najdłuższym jéj dniem (*ihr längster Tag*—trudno przypuścić, ażeby p. Kallenbach czytał tu myślowo ihr *letzter* Tag, kiedy wydrukował poprawnie). Podobnież wprowadzenie „kołatka“ (*Trotzkopf*), który u Jean Paula ma przypominać zbliżającą się śmierć, a u Mickiewicza jest pokutującą duszą lichwiarza, nie posiada takich cech spólnego pochodzenia, ażeby go za przypadkowe poczytać nie wypadało. Sam zresztą autor nie przywiązuje wielkiéj wagi do tych szczegółów, lecz sądzi, że w ogólnym nastroju ducha, w podwyższonéj skali uczuć i pewném zabarwieniu mistyczném u Mickiewicza objawił się wpływ Jean Paula; nie daje jednak na to przekonywających dowodów; ponieważ zaś te czynniki równie istniały w Bürgerze, Goethem, Schillerze i innych poetach niemieckich, a specyalnych właściwości Jean Paula (humor kapryśny, melancholiczny) nie znajdujemy u Mickiewicza, musimy twierdzenie powyższe uważać za całkiem niedowiedzione. Poruszenie

jednak saméj kwestyi wpływu było potrzebném i to stanowi wraz z pozytywnemi zdobyczami badania, lubo drobnemi, zasługę p. Kallenbacha.

═ *Adam Mickiewicz.* **Początek I księgi Pana Tadeusza w przekładzie na 9 języków europejskich**. (Lwów. Nakład Wł. Bełzy, 1888, str. 24; jest także tłómaczenie tego tytułu na francuski). — P. Władysław Bełza, który się tak gorliwie krząta około rozpowszechniania wiadomości o Mickiewiczu i jego utworach, podjął to wydawnictwo nie tylko dla dania bibliograficznéj notatki o przekładach „Pana Tadeusza", lecz także w celu zwrócenia uwagi na to arcydzieło tych pisarzów tych krajów, które jeszcze przekładu jego nie posiadają. Wydanie ograniczone zostało do dwustu egzemplarzy, przeznaczonych wyłącznie dla bibliografów i bibliotek zwłaszcza zagranicznych. Mamy tu 22 początkowe wiersze „Pana Tadeusza" naprzód oczywiście po polsku, a następnie w językach: czeskim (przekład Elizy Krasnohorskiéj), wielkorosyjskim (przekład Mikołaja Berga), małoruskim (przekład Kuźmy Wołyńca, który, jak się dowiadujemy z dopisku, ma gotowe tłómaczenie dwu ksiąg), białoruskim (przekład Wincentego Dunina Marcinkiewicza), francuskim (przekład wierszowany Wacława Gasztowtta), włoskim (przekład prozą Arigò Boito), hiszpańskim (przekład Leona Mediny), niemieckim (przekład Zygfryda Lipinera) i angielskim (przekład pani Maude Ashurst Biggs). Wydanie przedstawia się bardzo ładnie pod względem zewnętrznym; druk i papier bardzo dobry; poprawność znaczna.

═ Znany z prac swoich nad życiem i pismami Heinego p. *Gustaw Karpeles* przygotował do druku i ma niebawem ogłosić (nakł. Roberta Oppenheima w Berlinie) **Autobiografią Henryka Heinego**, zebraną z pism prozaicznych, poezyi, listów, rozmów i nieznanych dotąd utworów samego poety, w ten sposób, iżby utworzył się całkowity zarys życia i twórczości, wszechstronnie rozważonych.

═ **Podręcznik austryackiego prawa wekslowego**. *Napisał Dr. Józef Retinger.* (Kraków 1888, str. 166. Nakład. Żupańskiego i Heumanna). — Stały rozwój języka prawniczego polskiego w urzędach i sądownictwie Galicyi wywołał od niejakiego czasu dążność do wydawania nie tylko samych tłómaczeń ustawy, ale i dzieł obejmujących szerszy zakres. Dążność owa znajdując swój wyraz w całym szeregu poważnych publikacyi naukowych, jakiemi od pewnego czasu nieustannie wzbogaca się uboga jeszcze stosunkowo nasza literatura prawnicza, daje tém samém dowód coraz większego rozkwitu u nas téj gałęzi wiedzy i coraz większych na tém polu wyników naukowych. Do pokaźnéj liczby dzieł, jakiemi dział ten

wzbogacił się ostatnio, przybywa obecnie nowa, źródłowo opracowana książka dr. Retingera. Oprócz wzorowego przekładu tekstu austryackiéj ustawy wekslowéj, rozwinął tu autor szerszy pogląd na zasadnicze definicye pojęć prawa wekslowego w ogólności. Po krótkim wstępie, w którym podaje zwięzłą charakterystykę i pogląd historyczny na ustawodawstwo wekslowe od najpierwszych tegoż zawiązków aż do dzisiejszego jego stanu w poszczególnych państwach, poświęca autor dłuższy rozdział roztrząśnieniu dawnéj ustawy wekslowéj polskiéj z r. 1775. Ustawę tę przytacza dr. R. w całości, aby wykazać, iż w ogólnym zakresie była ona wielce zbliżoną do dzisiejszego ustawodawstwa wekslowego, a współcześnie w niczém nie ustępowała ustawodawstwu wekslowemu innych państw. Objaśnienia do tekstu austryackiéj ustawy wekslowéj i procesu wekslowego opracował autor z uznania godnym mozołem na podstawie orzeczeń i motywów Najwyższego Trybunału w Wiedniu, uważając ten rodzaj komentarza zupełnie słusznie za odpowiedniejszy dla praktycznego stosowania ustawy. Nie pominął téż dr. Retinger i zdań teoretyków, wypowiedzianych w obfitéj austryackiéj literaturze prawa wekslowego, a nadto wyzyskał wyczerpująco cały dostępny materyał, zawarty w czasopismach prawniczych. Obok swéj niezaprzeczonéj naukowéj wartości jest książka d-ra Retingera niezbędnym podrecznikiem dla użytku prawników galicyjskich, a wydaniem jéj oddał autor licznemu ich zastępowi nie małą przysługę.

= Z dniem 25 lutego b. r. począł w Krakowie wychodzić miesięcznik poświęcony wyłącznie sprawom Towarzystw prawniczych polskich p. t. **Kronika prawnicza**. Pismo to jest organem założonego niedawno w Krakowie z inicyatywy ostatniego zjazdu prawników i ekonomistów, Towarzystwa prawniczego, a redakcyą tegoż objął profesor prawa politycznego w uniw. Jagiel. d-r Franciszek Kasparek. Nowy miesięcznik założył sobie przedstawiać wierny obraz działalności Tow. prawniczego krakowskiego a zarazem utrzymywać łączność tego towarzystwa z towarzystwami prawniczemi prowincyonalnemi i ożywiać ruch naukowy w téj sferze. Obok szczegółowych sprawozdań z przebiegu obrad w tych towarzystwach, „Kronika prawnicza“ zamieszcza w całości rozprawy i referaty odczytywane i rozbierane na owych posiedzeniach. Szereg tychże rozpoczął wykład prof. Kasparka: „O stanowisku prawném cudzoziemców.“ Staranność w układzie części redakcyjnéj i uporządkowaniu obfitego materyału dobrze wróży o przyszłości pisma, które na galicyjskim gruncie przyczynić się może istotnie do wzmożenia ruchu naukowego w dziedzinie nauk prawnych.

— **Sonety Józefa Orłowskiego**. *Lwów 1888.*—Nie wielki ten zbiorek „Sonetów“ obejmuje cztery cykle, każdy z kilku utworów złożony i w pewną całość zaokrąglony. Pierwszy z nich zatytułowany „Sonety lwowskie“ ma za przedmiot wspomnienie historyczne z przeszłości Lwowa i okolicy, drugi zawiera wiersze okolicznościowe „Z życia“, trzeci erotyki, czwarty zaś poświęcony jest wspomnieniom Nowego roku. Z nieudolną formą, znamionującą początkujące pióro, rywalizuje w tych płodach brak głębszéj myśli i tendencyi, a wszędzie na pierwszy plan występuje przestarzały romantyzm. Historyczny cykl grzeszy brakiem umiejętnie ułożonego planu i konsekwencyi myśli, obrazki z życia rażą nienaturalnym sentymentalizmem, a erotyki, najudatniejsze stosunkowo co do formy, zdradzają manierę. Widocznie zresztą sam autor nie jest zbyt wymagającym w swych żądaniach, gdy mu „rąbek chmurnego obłoku“ wystarcza do szczęścia, i przypuszczać można, że tego rodzaju wylew wezbranego uczucia ulżyć musiał niemało duszy trawionéj gorączką poetycką. Dla chłodniejszego dzisiejszego pokolenia utwory p. Orłowskiego nie mogą się wydać czém inném, jak poronionemi płodami chorobliwéj i na niewłaściwe tory skierowanéj fantazyi zapóźnionego romantyka.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Występy artystów petersburskich w Warszawie.—Żyjemy w epoce pary i elektryczności!—Saski ogród leczy ze złudzeń.—Niecierpliwość młodzieży.—Zwątpienie starszych.—Obawy ogółu co do czasów przyszłych.—Żółwi krok rzeczywistości.—Stare rany.—Byt robotników wiejskich lat temu kilkadziesiąt i dziś.—Konkurs z inicyatywy studentów.—Artykuł „Wieku“ o parobkach i najemnikach.—Straszny obraz nędzy materyalnéj i moralnéj niedoli.—Świat, gdzie kradzież nie jest występkiem!—Jaki robotnik jest najdroższy?—Co robić?—Ile powinien zarabiać ojciec rodziny?—Pomysł Libelta.—Czego się nauczyć możemy od szlachetnych alchemików socyologii?—Najemnicy.—Robota „na wydział“.—Wątpliwości, czy się u nas robota taka przyjmie.—Płaca od sztuki i wynagrodzenie dzienne.

W ubiegłym miesiącu w Teatrze Wielkim w Warszawie dało kilka przedstawień towarzystwo artystów dramatycznych z Teatrów cesarskich w Petersburgu. Odegrano „Pskowianka“ p. Meja, „Na czasie“ przez nieznanego autora, „Rozwiedźmy się“ p. Aleksandrowa, „Dziwny zbieg okoliczności“ p. A. R-na, a także drobną sztuczkę Paillerona „Iskierka“, zlokalizowaną przez p. Pleszczejewa. Na wyróżnienie krytyki i widzów zasłużyli: p.p. Warłamów, Korwin-Krukowski, Szewczenko, oraz panie Wasiljewa, Czystiakowa, Ponomarewowa i Aleksandrowa.

Żyjemy w epoce pary i elektryczności! Niezaprzeczoną tę prawdę powtarzamy często i kłujemy nią siebie i innych jak ostrogą, pobudzając do tem większego pośpiechu. Szczególniéj mieszkańcy dużych miast skłonni są do przejęcia się tym pewnikiem. Życie otaczające pędzi z oszałamiającą szybkością, wypadki mijają się i migają w oczach naszych jak bicykliści na wyścigach, wszystko dokoła dąży gdzieś, śpieszy. Fotografują *à la minute*, bilety wizytowe drukują *à la minute*, nawet śniadanie jedzą *à la minute*. Dorożki, tramwaje, posłańcy biegną we wsze strony: na koniach i ludziach widać pośpiech. Kogo spotkać czasu nie ma, bo go nagli pilny interes. Gdyby nie pełne godności całodzienne defilady tłumów przed strojnie ugarnirowanemi ławkami Saskiego ogrodu, gdyby nie bezustanne zaludnienie werend i bilardów w cukierniach, można by na-

wet Warszawę—któréj przecie daleko jeszcze do Londynu i Paryża—przyrównać do kotła z wrzącą wodą.

Pośpiech otoczenia odbija się na przedsięwzięciach jednostek. Młodzi szarpią krępujące ich munsztuki, pragnąc jak najprędzéj w czyn zamienić dobre swe chęci. Jedni są przeświadczeni, że co się dziś nie da uskutecznić, to zduszoném zostanie na wieki tłuszczem egoizmu. Inni sądzą, że zbawcze reformy, że wielkie rewolucye są tak bliskie, jak pękanie lodów w marcu, i lękają się, aby dzieło odrodzenia nie zostało dokonane bez ich udziału. Ale i starsi reformatorowie trapią się nieraz wątpliwością, czy ludzkości nie zgnębią do reszty klęski, zanim przyjąć się zdoła zbawczy ich przepis. Jak niegdyś Aleksandra Wielkiego dręczyła obawa, aby jego ojciec nie podbił świata całego, zostawiając mu tylko jednostajność spokojnego panowania, a Radziwiłł lękał się, że mu Rejtan wszystkie niedźwiedzie powybija, kiedy on będzie w Warszawie,—tak i dzisiaj, jeżeli nie ogół, to w każdym razie liczne jednostki niepokoją się, czy jeszcze zostały w kole życia jakie ważniejsze losy. Iluż to ludzi zdejmuje trwoga, że pola pracy nie znajdą, bo wszystkie warsztaty już zajęte; że furtki do majątku, do karyery, do sławy właśnie zamykają się, że ryb w wodzie, ptastwa w powietrzu, zwierzyny w lasach zabraknie. Trzeba się śpieszyć, choćby płuca pęknąć miały, a urwać coś z reszty kończącego się świata dawnego, obfitego w dary różnorodne.

Jakże wśród takiéj gorączki pozostać zimnym i nie wpaść w tempo ogólnego prądu! Ciągle i zawsze lękać się trzeba: czy nie zapóźno!

Ale oderwijmy tylko oczy na chwilę od zgiełku osobistych kłopotów, oddalmy punkt widzenia, a zmieni się zaraz obraz cały. Jakże irytująco powolnym jest rozwój życia! Gdzie tam para, gdzie elektryczność,—to krok żółwia, który pełznie powoli i odpoczywa co chwila. Z iluż to ran społecznych sączy się krew dziś jeszcze, choć o zagojeniu ich myśleli już dziadowie i pradziadowie. Pracowali i cierpieli, a owoców nie widać ani z téj pracy, ani z tych cierpień. Ile nędzy, nieszczęść, cokolwiek zaledwie złagodzonych parowiekowymi wysiłkami uczonych, polityków, filantropów. Serce cierpnie, gdy się na to wszystko spojrzy i rozważy.

Bardzo palącą kwestyą u nas jest nieszczęśliwy dziś, niepewny jutra byt parobków i najemników wiejskich. Przejmował on troską czujniejszych obywateli lat temu wiele, nawet wtedy, kiedy poniżenie ogółu chłopskiego zaćmiewało go swymi rozmiarami. Budziły się dążenia ulepszeń, powstawały projekty.. i dziś tyleż co wtedy, a może więcéj niedoli trawi nasz organizm. Trudno było by so-

bie w téj chwili przypomnieć wszystkie prace, jakie poświęcono téj kwestyi, najbardziéj jednak gruntowną była, zdaje się, broszura p. Ludwika Górskiego, wydana 28 lat temu przy „Rocznikach gospodarstwa krajowego“.

Obecnie troskę o polepszenie doli proletaryatu wiejskiego postawiono znowu na porządku dziennym. Obowiązkiem jest prasy, obowiązkiem każdego obywatela, współczującego nędzy, dbałego o pomyślność ogółu, nie pozwolić aby raz jeszcze uwaga powszechna zasnęła na lat wiele, nie sprowadziwszy żadnéj zmiany. Dziś, jak przed ćwierć-wiekiem, zajść muszą w stosunkach rolniczych zmiany. Jesteśmy w epoce przesilenia. Dziś prędzéj niż kiedykolwiek można coś wykołatać: osoby interesowane, zagrożone we własnym bycie, łatwiéj nadstawią ucha na rady i wskazówki.

Rok czy półtora roku temu studenci szkoły rolniczéj w Puławach złożyli rs. 200 jako nagrodę konkursową za najlepszy projekt właściwego wynagradzania oficyalistów i robotników w gospodarstwie rolném, oraz ubezpieczenia ich bytu na starość lub w razie kalectwa; „Gazeta Rolnicza“ do zaofiarowanéj sumy dołączyła 100 rs. od siebie. W sądzie konkursowym spotkali się ludzie najrozmaitszych kierunków, poczynając od szczytów zachowawczych do krańców radykalizmu. Wyrok zapadł w tych dniach, ale niestety żadna z nadesłanych prac na nagrodę nie zasługiwała, odznaczono tylko względnie najlepszą rozprawę p. Bolesława Zdziarskiego. Postanowiono dać mu 150 rs., drugą zaś połowę zwrócić studentom.

Jednocześnie też samą sprawę podnosi „Wiek“ w sześciu artykułach zatytułowanych: „W kwestyi robotników wiejskich“. Ponieważ Wiek ma reputacyą pisma szlacheckiego, a autor zdaje się być ze sprawą obeznanym dokładnie i bezpośrednio, więc przesady co do czarnéj barwy przypuszczać tam nie możemy, a pomimo to zobaczmy, jak obraz ponuro wygląda.

Materyalne położenie parobka było zawsze bardzo liche. Praca ojca nie wystarczała nigdy na utrzymanie rodziny. Żona i dzieci musiały chodzić na zarobek, który téż był tak szczupły, że gdy kartofle na wyznaczonym przez dwór zagonie nie urodziły, jeśli główna karmicielka—krowa zdechła, wtedy straszny głód był towarzyszem ciężkiéj nieustannéj pracy. Od roku 1876 położenie się pogorszyło i pogorsza wciąż. Moneta obiegowa straciła połowę niemal swéj wartości, wszystko zdrożało, a zarobki proletaryatu wiejskiego niepodniosły się. Brzemię nędzy się wzmogło, dławi straszniéj, głód wysysa resztki sił całéj licznéj klasy, któréj udział w pracy jest ważny, znaczny. Łatwo sobie wyobrazić, czém jest choroba w takiém położeniu. Łatwo pojąć, do czego spaść musi moralna strona życia rodziny, pozbawionéj wszystkiego—nawet nadziei.

„Czyż tedy można się dziwić—pisze organ ziemiaństwa,—że parobek wiejski, przyciśnięty straszną koniecznością, złamany niedolą i pozbawiony wszelkich innych sposobów ratunku, chwyta się ostatniego, jaki mu jeszcze pozostał... kradzieży?“

Co znaczą, co pomogą wobec okropnéj konieczności wszelkie utyskiwania na niesumienność, na zepsucie służby wiejskiéj? Ze słów autora artykułu wynika, że skarżyć się na złodziejstwo parobka, to toż samo, co narzekać, że powietrze nie zatrzymuje rzuconego do góry kamienia.

Na tém nie koniec; każde złe jest jakby pierwszém ogniwém łańcucha. Czém mogą być dzieci, nie wychowywane, bo ich nikt nie wychowuje, ale wzrosłe w atmosferze nędzy i zepsucia? Na to pytanie odpowiada „Wiek:“ „będą zręczniejszymi i ostrożniejszymi złodziejami.“ A więc złodziejami dziedzicznymi, z urodzenia, na których nowoczesna psychologia ma jeden tylko środek: usunąć ze społeczeństwa ludzkiego zupełnie i na zawsze.

To są skutki moralne opłakanego stanu wielu tysięcy rodzin, do tego dołączyć należy zgubne wpływy ekonomiczne.

Przed kilkunastu laty w Manchester robotnicy i robotnice przędzalni bawełnianych urządzili wielkie i długotrwałe bezrobocie. Dochody urwały się, trzeba było żyć z dawnych oszczędności i ze szczupłych zasiłków kasy robotniczéj. Z pogorszenia się warunków ekonomicznych oczekiwać należało wzrostu śmiertelności wśród dzieci. Tymczasem miało miejsce zjawisko wprost przeciwne—dzieci umierało mniéj. Obecność matek w domu, ich opieka nietylko zrównoważyły, ale nawet przeważyły gorsze warunki materyalne. Ten fakt wywołał w swoim czasie wielkie poruszenie. W różnych kołach roztrząsano społeczne korzyści i szkody z pracy matek po za domem. W r. 1884 komisya, wydelegowana przez Akademią paryską, oświadczyła się przeciwko pracy zarobkowéj kobiet i zwróciła uwagę na fatalne skutki téj pracy nawet pod względem ekonomicznym. Głosy różnych uczonych przyłączyły się do tego orzeczenia.

Jak w wielu innych wypadkach, tak i w tym szkodliwość zjawiska potęguje się przy przejściu na grunt mniéj uprawiony przez cywilizacyą. Robotnicy manchesterczy, wychodząc na robotę, dzieci swoje zostawiają pod opieką nadzorczyni w dobrze zorganizowanéj ochronie, lub przytułku. U nas, mniejsze porucza się łasce Opatrzności, lub powierza pieczy Burka; starsze nieco wyprawić trzeba z pastuchami na wygon, jeszcze nieco starsze idą do ciężkiéj pracy, która nie da im nigdy należycie wyróść, ani rozwinąć się.

Skądże ta część ludności ma późnićj znaleść siłę i energią do pracy! Przywalona nieustannie nadmierną robotą, odżywia się źle, nie dosypia prawie nigdy, w zimie dni i nocy, w lecie nocy spędza w trującćj atmosferze?

Co wart późniéj taki robotnik? Czy możliwą jest z nim sprężystość w gospodarce, pośpiech w chwili potrzeby? Czy można mu zaufać, czy można liczyć na niego? Zidyociały wskutek strasznych warunków życia, ma wszystkie wady martwéj maszyny i ani jednego jéj przymiotu!

Słusznie twierdzi autor powołanego artykułu, że pomimo lichego wynagrodzenia, parobek nasz droższy jest od najwyżéj płatnego robotnika amerykańskiego. Tamten bierze za pięciu, ale robi za dziesięciu.

„Wiek“ widzi możność wyjścia z tego opłakanego stanu, a jako piérwszy środek zaleca znaczne podwyższenie ordynaryi i pensyi. Nam ten środek wydaje się nateraz nietylko piérwszym, ale i najważniejszym. Należało by nań wielki nacisk położyć i zwracać nieustannie uwagę interesowanych zarówno drukiem jak i ustnie na zjazdach, posiedzeniach itd. Dzisiaj tak rzeczy stanęły, że, chcąc się ratować przed naciskiem zwiększonéj i obostrzonéj konkurencyi, trzeba prowadzić gospodarstwo nakładowe. Takiéj rady udziela Galicyi p. Szczepanowski, toż samo zalecają ziemianom w Królestwie wszyscy znawcy téj sprawy. Spotęgowanie siły roboczéj przez powiększenie nakładu jest cząstką tego programu. Zdaje nam się, że niepotrzeba się tu uciekać do frazesów i wzywać w imię dobra publicznego, bo bankrutujący posiadacz, niepewny jutra dla własnéj rodziny, argumentu tego nie zrozumie i nie odczuje. Prawdopodobnie da się wyrachować, że interes własny, materyalny, potrzeba ratowania mienia dla siebie i dla dzieci, wymaga podwyższenia płacy, i że jest to tylko dobre ulokowanie kapitału. Kradzież zwykle przynosi właścicielowi większą stratę, niż rzecz sama warta, a złodziejowi mniejszy pożytek. Należy dać służbie takie warunki, aby kradzież przestała być koniecznością, a stała się występkiem.

Normalne, umoralniające życie rodzinne tam tylko rozwijać się może, gdzie ojciec jest w stanie zapracować sam jeden na utrzymanie wszystkich. Odrywanie matki do pielenia lub żniwa dzień w dzień pcha dzieci do wykręcania gniazd wróblich, do zrywania gruszek w cudzych ogrodach, a wreszcie i do większych występków, wpływa szkodliwie na odżywianie się, na czystość, więc i na zdrowie całego domu. Zarobek powinien tak być obliczony, aby starczył dla całéj rodziny. Jest to wymaganie wspólne dziś wszystkim niemal poważnym reformatorom na zachodzie.

Stanowi to naturalnie połowę tylko sprawy, dotyczy zapewnienia bytu na dzień dzisiejszy, młodym, zdrowym i silnym. Pozostaje jutro, pozostają biédacy, którzy utracili możność pracowania. Co do tego, zadanie o wiele trudniejsze, i chyba je wypadnie pozostawić pokoleniom dalszym i szczęśliwszym; załatwienie śpieszne i pomyślne pierwszéj połowy było by już wielkiém dziełem. A przytém, bodaj czy trwalsze ugruntowanie losu warstwy całéj, osłonięcie jéj przyszłości przed klęskami niemocy i wypadków da się dokonać na drodze inicyatywy prywatnéj, czy gdziekolwiek uda się dojść w tym kierunku do stalszych rezultatów bez udziału władzy prawodawczéj?

Autor z „Wieku" proponuje inne jeszcze różne środki w celu moralnego podniesienia parobków i uczynienia z nich produkcyjniejszéj siły. Radzi on zwracać uwagę na odpowiednie zarządzanie robotą i umiejętne skierowywanie ludzi do pewnych rodzajów czynności, aby każdy mógł najwłaściwiéj zużytkować swe uzdolnienia. W ten sposób wykształci się zamiłowanie, pracowitość. Daléj zwraca „Wiek" uwagę, jak właściwą i pożyteczną rzeczą byłoby powiększanie płacy w miarę lat przesłużonych. Oświadcza się przeciwko naddatkom przy kwartalnych obrachunkach i nadawaniu drobnych działek ziemi. Piérwszy środek nie wywiera żadnego skutku na parobków, drugi powiększa tylko liczbę — jak pokazało doświadczenie w Poznańskiém i w Prusach—mało produkcyjnych „karłowatych" gospodarstw. Nie bardzo także autor nasz zaleca szerokie stosowanie tak zwanych tantyem, t. j. dodatków od ilości wykonanéj dziennie pracy; natomiast twierdzi, że tantyemy, obliczane od czystego dochodu z całego gospodarstwa i rozdzielane między wszystkich zatrudnionych w niém robotników, w stosunku do pobieranych przez nich zasług, przedstawiają niemal wszystkie warunki dzielnego środka zachęty do pracy i bezpośredniego wpływu na podniesienie dobrobytu robotnika.

Na zakończenie „Wiek" przytacza pomysł Libelta, wyrażony niegdyś w broszurce: „Koalicya kapitału i pracy", a polegający na dopuszczeniu robotników do współwłasności. Odtrąciwszy jakiś szczegół co do sposobu zarządu majątkiem, autor uważa cały projekt uczonego poznańskiego za możliwy do wprowadzenia w życie, a główną dobrą stronę jego widzi w tém, iż proletaryat staje się odrazu właścicielem, „rozszerza się jego żywa, czynna osobistość". „Własność jest najdzielniejszym bodźcem, podnoszącym moralnie tych, którzy żadnych innych moralnych zasobów nie mają".

Sądzę, że projekt Libelta posiadać tylko może znaczenie świadectwa jak szlachetny ten mąż troszczył się o los upośledzonych, jak gorąco pragnął polepszyć ich twardą dolę. Broszura napisana zo-

stała w epoce urodzajnéj w utopije. Nad umysłami panowali przez swoje dzieła i przez swoich uczniów: Saint-Simon, Fourrier, Cabet; była to złota doba socyalizmu, świeżo sprzymierzonego z demokratyzmem i zrewolucyonizowanego przez ten związek. Socyologowie, którzy nie zgadzali się na projektowane przez komunistów przewroty państwowe, chcieli w ten sposób wytrącić z rąk gwałtownych nowatorów broń, że sami budowali projekty bardzo radykalnych przemian. Pomysł Libelta nosi na sobie cechy takiego właśnie zamiaru.

Te czasy, których punktem środkowym, owocem i wyrazem były ruchy 1848 roku, posiadają wiele uroku; ludzie, którzy wycisnęli na nich piętno swego charakteru i dążności jaśnieć będą w historyi wielu cnotami, można się z ich dzieł i życia uczyć miłości dla upośledzonych, ale bodaj czy da się wyszukać wskazówek dla skutecznéj pracy na przyszłość. Przez ostatnie kilka lat dziesiątków dzieje nagromadziły wiele nowych cennych doświadczeń, nauka zdobyła wiele ważnych prawd. Założenie i charakter nauk społecznych uległy zupełnéj przemianie. Szlachetni działacze z przed 48 roku byli przeważnie alchemikami socyologii.

Prócz parobków należy zwrócić także uwagę na wiejskich najemników dziennych. Stanowią oni także dużą siłę roboczą, a stan ich materyalny i moralny jest również jak pierwszych okropny. Tu naturalnie powtórzyć należy to, co się tam powiedziało o potrzebie wyższego wynagrodzenia, bo w obec takich środków do życia, które jedynie mogą przedłużyć konanie z głodu, o żadnéj zmianie myśléć niepodobna. Ale w danym wypadku występuje inne jeszcze pytanie, które „Wiek“ roztrząsa. Czy należy zaprowadzić pracę „wydziałową“ inaczéj zwaną „na akord“, czy też trzymać się dotychczasowéj metody, wykonywując każdą czynność za pomocą bezładnie zgromadzonych robotników, płatnych odpowiednio do zużytego czasu.

Najemnik dzienny — według autora z „Wieku“ — myśli o tém tylko, aby robiąc jak najmniéj, najmniéj téż wytężać swe siły; wprawia się wciąż tylko do próżnowania i dochodzi pod tym względem do wysokiéj doskonałości. Pracujący na wydział — przeciwnie. Myśli o sposobach ułatwienia sobie roboty, aby zrobić jak najwięcéj, aby wszystkie swe siły produkcyjnie zużytkować. Roboty akordowe wspólne, w których kilku lub kilkunastu ludzi bierze udział, a następnie dzieli się zarobkiem, rodzą we wspólnikach poczucie organizacyi sił, podziału pracy, wzajemnych obowiązków i wspólnych korzyści, a te pierwsze idee, zrodzone na gruncie doświadczenia, nie zaś w sferze oderwanych pojęć, lub dogmatów, stanowią trwałą podwalinę „r z e t e l n é j c y w i l i z a c y i“!

Nie będę wdawał się w domysły, jaką cywilizacyą nazywa szanowny autor rzetelną, a jaka jest fałszywa; nie będę również roztrząsał, czy istotnie roboty „akordowe wspólne“ mają takie wysokie znaczenie moralne. W danéj kwestyi chodzić powinno przedewszystkiém o to, czy postawiony projekt nie jest kanarkiem na dachu, pobożném westchnieniem, czy da się łatwo wcielić w życie w chwili obecnéj. Nie znając stanu rzeczy zblizka, na gruncie — co ma, zdaje się, za sobą autor artykułu — nie myślę bynajmniéj nic orzekać, tém niemniéj niech mi wolno będzie wyrazić wątpliwość, czy u nas w bieżącéj dobie, przy rozwiniętym silnie systemie parobczanym można dojść rychło do urządzenia na wsiach robót zbiorowych „na akord“. Nie widzę przygotowania do téj reformy, nie widzę materyału, z którego dała by się łatwo ulepić organizacya na wzór wielko-ruskiéj a r t i e l i (autor sam wskazał na podobieństwo pomiędzy tym sposobem prowadzenia robót i proponowaną przez siebie inowacyą). Roboty wiejskie przy dotychczasowym trybie, przy dążności do uprawy roli i sprzętu za pomocą maszyn i służby stałéj, mało dają bodźca do tworzenia się jakichś grup lub stowarzyszeń wśród robotników wiejskich. Najemnik odgrywa podrzędną, dopełniającą rolę, musi być jedynie wykonawcą, a z biegiem czasu wskutek udoskonaleń technicznych bierność ta potęgować się jeszcze musi; zapełnia on i zapełniać będzie niejako luki, których objąć nie jest w stanie maszyna i parobek.

Robotnicy czasowi rekrutują się przeważnie z małorolnych gospodarzy. Dla nich pójście do roboty na cudzy zagon jest czynnością dodatkową. Wątpić więc można, czy przy niewyrobieniu w chłopie naszym ducha asocyacyi, przy małém zaludnieniu wiosek, przy zwróceniu głównéj uwagi na uprawę pola własnego,—czy przy tych wszystkich warunkach dały by się prędko zorganizować jakieś zbiorowe przedsiębierstwa, które przytém z rokiem każdym traciły by racyę bytu, wskutek niezaprzeczenie szybkiego rozwoju techniki i zwycięskiego wkraczania maszyn do każdego rodzaju produkcyi.

Wobec tego kwestya sprowadzi się do pytania, stawianego nieraz przy rozważaniu stosunków fabrycznych: czy robotnikom płacić od s z t u k i, czy d z i e n n i e?

Pytanie to od lat dawnych zajmowało, zajmuje, i zajmować długo jeszcze będzie wszystkich w tych krajach, gdzie sprawa robotnicza jest coraz bardziéj naglącém zagadnieniem społeczném. Lat temu 6-ć, czy 7-m rozprawiano o niéj gorąco w Paryżu w syndykatach, na mityngach, w warsztatach i w kawiarniach. Impuls dały bezrobocia, jakie w owym czasie wybuchnęły, naprzód stolarzy, potém ślusarzy itd. Słyszałem wtedy wiele sporów, debatów, uwag i wyjaś-

nień na zebraniach i od znajomych robotników Francuzów i Polaków. Do narad należały wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem naturalnie socyalistów. Ci stoją na zbyt górnych wyżynach, aby mogli dostrzedz jakiś szczegół. Przebudować świat cały—to dobrze, ale mniejsze przedsięwzięcia zostawiają „burżuazyi“. Zbyt mocno wierzą w doktrynę, aby potrzebowali coś rozpatrywać; znajdują w niéj tak stanowcze odpowiedzi, że nie widzą potrzeby narad. Zbyt są przeświadczenie o niemylności swych mistrzów, aby mogli nie tylko zastanowić się nad cudzém zdaniem, ale go nawet bez ironicznego uśmiechu wysłuchać.

Kwestya, czy zarobek ma się rachować według czasu, czy według rezultatów pracy ma dwie strony, sprzeczne z sobą, i dla tego narady do tryumfu jednego zdania nie doprowadziły. Jedni nadają główne znaczenie jednéj, drudzy drugiéj stronie kwestyi, stąd nie dające się usunąć różnice żądań.

Fabrykanci i lepsi robotnicy żądają wynagrodzenia od sztuki. Gorsi wyrobnicy, a tych jest ogromna większość, wolą dzienny rachunek. Ze względu na ilość produkcyi, na oszczędność czasu, pierwsze żądanie jest o wiele słuszniejsze. Jeżeli wartość pracownika nie ocenia się przy zapłacie, to najnieudolniejszy robotnik staje się normą, do niego stosują się wszyscy, sił się wiele traci, wybitni i zdolni robotnicy nie mają pobudki do rozwinięcia pilności i energii.

Jestto jedna strona sprawy.

Gdyby niezdolność robotnika była zawsze wynikiem lenistwa, to ludzie nie zainteresowani mogli by wydać jeden tylko sąd. Ale ileż się razy zdarza, że najgorętszą chęć pracy paraliżuje brak sił, organiczny brak zręczności i tępość umysłowa. Ci ludzie jednak potrzebują dla siebie, dla swych rodzin tyleż, co ich koledzy szczęśliwiéj obdarowani. Czyż należy im utrudniać walkę o byt? Żądania opinii, instytucye stawać przecie powinny w obronie słabszych, opiekować się mniéj udolnymi.

Jak rozstrzygnąć ten spór, jakim racyom dać pierszeństwo? Sądzimy, że to zależy od warunków—od czasu i od miejsca. Tam, gdzie, jak u nas w téj chwili, przedewszystkiém na widoku należy mieć wydajność, bo jeżeli ta upadnie, to wszystkim może zabraknąć chleba powszedniego, a bezlitośna konkurencya sąsiadów w żadnym względzie bankrutów oszczędzać nie będzie, to może należałoby zacząć od środków, wzmagających przedewszystkiém produkcyą. Do tego dążą rady autora artykułu w „Wieku“. Sądzimy, że w prasie naszéj jeszcze nieraz spotkamy się z dyskusyą nad tym przedmiotem.

Ludwik Straszewicz.

Jeszcze o Banku poznańskim. — W sprawie alimentacyi Warszawy. — Wizyta w Studzieńcu.

W przeszłym zeszycie „Ateneum“ wspomnieliśmy o usiłowaniach i nadziejach wprowadzenia zabagnionéj sprawy banku poznańskiego na lepsze tory, a mianowicie nadania mu charakteru wyłącznie parcelacyjnego, w celu dopomożenia włościaninowi polskiemu do nabycia i utrzymania kawałka ziemi, którego chłop poznański, wypierany przez falę germańską, niejednokrotnie aż za oceanem szukać musi. W wypowiedzianéj wzmiance byliśmy wyrazicielami nie tylko osobistych poglądów, ale i zbiorowych życzeń poważnéj grupy akcyonaryuszów banku poznańskiego. Obecnie otrzymujemy wiadomość, że w pierwszéj połowie lipca ma się odbyć w Poznaniu walne zebranie akcyonaryuszów banku, a jednocześnie dochodzą nas niepokojące pogłoski o nacisku, jaki niektórzy posiadacze ziemscy w Poznańskiém na pewną część akcyonaryuszów, najbliższych swych współobywateli, wywrzéć jakoby usiłują.

Pogłoski te, gdyby były prawdziwe, taki wykazywałyby zanik rozsądku i poczucia narodowego w Poznańskiém, że uwierzyć w nie zaiste trudno. Czyż jest bowiem do wiary podobną wieść, że sumy złożone w znacznéj, w przeważnéj nawet części z po za obrębu Poznańskiego, złożone w imię sprawy publicznéj i na korzyść téj sprawy, pewna część panów poznańczyków chciałaby rozdrapać na przedłużenie agonii finansowéj indywiduów, które, niepamiętne na obowiązki osobiste, rodzinne, obywatelskie, narodowe, strwoniły swoją ojcowiznę. Podobny użytek z cudzego grosza, na cel publiczny oddanego, byłby nadużyciem dobréj wiary ofiarodawców, byłby—nazwijmy rzecz po imieniu—kradzieżą cudzego grosza.

To téż nie wierząc w te fatalne wieści i zaznaczając jedynie fakt ich istnienia, zastanówmy się nad ważną kwestyą, która ma być przedmiotem narady akcyonaryuszów, a mianowicie: czy bank ma, czy téż nie ma istniéć i w razie odpowiedzi twiedzącéj na pytanie pierwsze, w jakim kształcie istniéć winien?

Że nadzieje społeczeństwa naszego co do doniosłości projektowanego banku w przeciwdziałaniu germanizacyi Poznańskiego zawodnemi się okazały, to chyba w obecnéj chwili dla każdego już widoczne.

Chodzi tylko o stopień tego zawodu. Chodzi o to, czy—mówiąc językiem matematycznym—działalność banku da się wyrazić przez ilość znacznie drobniejszą wprawdzie od spodziewanéj, ale zawsze dodatnią,—czy będzie przedstawiać zero, czy téż ilość ujemną.

Ilością ujemną nazwałbym taki wypadek, jakiego każą się obawiać fałszywe, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wieści o grożącém rostrwonieniu grosza publicznego na podtrzymanie wegetacyi garstki szkodliwych społecznie jednostek. Nazywam je szkodliwemi nie dla tego, bym wszystkich upadłych finansowo za brudnych moralnie poczytywał. Nie;—między zbankrutowanymi, lub mającymi jutro zbankrutować przedstawicielami własności większéj w Poznańskiém mogą być ludzie, których osobiście surowo sądzić niepodobna, z uwagi że „nie wiedzieli, co czynili". Nie zła wola, lecz niedołęstwo, brak myśli, woli, charakteru, brak podnioślejszych nad próżnowanie i użycie aspiracyi były przyczyną ruiny majątkowéj prawie wszystkich tych panów. A jednak, z wyjątkiem nielicznéj garstki takich, którzy stracili mienie tylko w skutek losowych klęsk, i takich, którzy pokutują za winy cudze, za winy ojców swoich, wszystkich pozostałych, chociażby osobiście najsympatyczniejszych, nie waham się nazwać szkodliwą społeczeństwa naszego zarazą. Dotknięci tą zarazą—próżniactwem i życiem nad stan—nie dość że giną sami, ale przykładem, wciąganiem w swe koła młodzieży, nadawaniem zgubnego „tonu" całéj klasie społecznéj, na innych zarazę przenoszą, śmierć w około siebie sieją. Im to właśnie zawdzięczamy, że wielcy świata tego pozwalają sobie urągać nam publicznie, wysyłać nas do Monaco, rzucać w oczy obelgę: żeśmy do tego stopnia upadli, iż między ludźmi myśli i pracy miejsca dla nas nie ma,—że jaskinie szulerskie, domy nierządu, najbezecniejsze nory, to odpowiednie dla nas otoczenie. I takich to ludzi, sprawców naszéj niesławy mybyśmy mieli ofiarami grosza publicznego podtrzymywać!?! Kiedy dżuma, lub trąd w jakiéj okolicy się szerzy, wówczas nie o dogodnościach zarażonych jednostek, lecz o uratowaniu tych, którzy jeszcze nie są zarażeni przedewszystkiém myśléć należy. A więc usuwa się zarażonych, odgradza ich kwarantanną,—jedném słowem całą uwagę zwraca się na zabezpieczenie zdrowych.

Gdybyśmy postąpili inaczéj w Poznańskiem, bylibyśmy podobni do człowieka, który, chcąc ocalić jeden palec, pozwala gangrenie stoczyć cały organizm.

Niezależnie od bezużyteczności, a nawet w pewnéj mierze szkodliwości sztucznego podtrzymywania agonii bankrutów, zmarnowanie grosza publicznego pociągnęłoby jeszcze inne fatalne skutki. Ofiarność na cele publiczne nie jest cechą wybitną naszego społeczeństwa w zwykłym jego nastroju. W chwilach nagłych podrażnień zapalamy się łatwo jak słoma, ale téż jak słoma prędko gaśniemy.

Jeżeli jeszcze i ten słaby popęd do ofiarności będziemy przygaszać przez smutne przykłady strwonienia ofiarowanego grosza,

możemy dojść do tego, że na cele najniezbędniejsze, na potrzeby konieczne żaden worek się nie rozwiąże. Łatwo przewidzieć, że nie jeden akcyonaryusz zobaczywszy, iż jego zapracowany nieraz ciężko i od własnych potrzeb odjęty grosz, zamiast iść na cel publiczny, trafił do kieszeni jakiegoś darmozjada, niczém się już w przyszłości skłonić nie da do złożenia datku na jakiekolwiek cele społeczne.

Oto są przyczyny, dla których nazywam rozpożyczenie grosza banku poznańskiego bankrutującym właścicielom ziemskim za rezultat najgorszy ze wszystkich możliwych.

Lepszém już—względnie, oczywiście—byłoby zwrócenie grosza akcyonaryuszom. Nie zrobiłoby się wprawdzie nic, byłoby zero, ale nie byłoby zbyt poważnych skutków ujemnych na przyszłość. Nie jeden z akcyonaryuszów zwrócony mu wkład użyłby z pewnością znowu na jaki cel publiczny, ufny z doświadczenia, że jeśli zamierzone projekta często u nas nie przychodzą do skutku, to przynajmniéj nie spotykamy się z rabunkiem ofiar pieniężnych.

Najlepszym jednak, chociaż znacznie drobniejszym od zamierzonego, rezultatem byłoby założenie z tą sumą jaka już jest prawie zebrana, tj. z milionem marek skromnego przedsiębiorstwa parcelacyjnego. W majowym zeszycie „Ateneum" pisałem, dla czego uważam bank parcelacyjny w Poznańskiém za najodpowiedniejsze przedsiębiorstwo finansowe w celu przeciwdziałania naporowi germanizmu.

Obecnie dodam tylko, że na czele takiego banku o skromnym, parcelacyjnym zakresie działania nie potrzebaby już stawiać, finansisty-bankiera (o trudność znalezienia finansisty rozbił się projekt banku z szerszym zakresem działania), ale dość będzie postawić dobrego urzędnika gospodarczego, uczciwego zdolnego i energicznego administratora (czyżby i taki nie był możliwy do znalezienia w całém Poznańskiém?) i że administratorowi konieczném byłoby wyznaczyć przyzwoite, dostatnie wynagrodzenie i udział w ewentualnych zyskach przedsiębiorstwa. Złożyć ofiarę ze stu, a nawet tysiąca marek może nie jeden, ale złożyć ofiarę z całego swego czasu nie może żaden człowiek pracy. Jeżeliby przeto stanowisko kierownika banku parcelacyjnego pozostało bezpłatném, to objąć by je mógł albo jakiś wycofowany od zajęć emeryt, albo ktoś mający inną, przynoszącą mu dochód pracę. W jednym i drugim wypadku sprawy banku nie mogłyby iść energicznie, a wynikłe ztąd straty byłyby z pewnością nieporównanie większe, od cyfry wysokiéj nawet pensyi i dywidendy dyrektorskiéj.

Przy takich warunkach bank parcelacyjny mógłby rozpocząć skromną, ale trwałą działalność, może zaś po pewnym czasie zna-

źli by się niewierni, lecz chętni do nawrócenia Tomasze, którzy, przekonawszy się naocznie, że bank trwa i działa, dopomogliby do rozszerzenia jego działalności.

*

W sprawie alimentacyi Warszawy gazeta rosyjska „Birżewyja Wiedomosti" zawiadamia, że w obec nowego położenia naszego miasta jako fortecy, zwołana została „komisya, która zajmie się obliczeniem, ile należy zbudować w Warszawie magazynów prowiantowych, budynków dla bydła, wielkich składów węgla kamiennego i innych przedmiotów pierwszéj potrzeby, tak aby Warszawa, w czasie oblężenia, mogła się obyć przez czas dłuższy bez dostaw z zewnątrz".

W niektórych pismach polskich spotykaliśmy się również ze wzmiankami o działalności sfer rządowych w sprawie alimentacyi, która — po otoczeniu naszego miasta fortami — palącą się stała. A społeczeństwo samo — jego organa zbiorowe — czy też przedsięwzięły cokolwiek w téj mierze?

Mówiono o sprawie alimentacyi Warszawy w tow. popierania przemysłu i handlu; podobno komitet giełdowy naradzał się również w téj mierze; w radzie obywateli, wzywanych zwykle przez p. prezydenta do narad w sprawach miasta, istniał jakoby zamiar opracowania projektu magazynów zbożowych miejskich i wyjednania u zarządów kolei dla tych magazynów pewnych przywilejów taryfowych; daléj były pogłoski o projektach urządzenia giełdy produktowéj, a w szczególności zbożowéj, postawienia budynków, przeznaczonych na dotuczanie dostarczanych z prowincyi podpasionych tylko wołów, wieprzów i baranów, podobnie jak to np. urządzono w Buda-Peszcie; zobowiązania piekarzy, mączarzy, składników węgla itd. do trzymania wciąż w pogotowiu pewnych, określonych przez przepisy obowiązujące, zapasów alimentacyjnych, jak to ma miejsce np. w Paryżu itd. itp.

Dotychczas jednak z tych gawęd czyn nie wyłonił się żaden. A czas by już był wielki. Tak nędznie obsługiwanego pod względem alimentacyjnym, jak Warszawa, miasta wielkiego nie ma żaden kraj cywilizowany.

Mamy na papierze projekt hall i.... no i po za tém nic. Ponieważ zaś projekt, jako taki, jest tylko nadzieją, więc w rzeczywistości nie mamy absolutnie nic. Nie mamy gdzie składać zboża, nie tylko na handel tranzytowy, ale i na własną nawet miasta potrzebę; zresztą nie umieliśmy dojść do zgromadzenia w Warszawie znaczniejszych zapasów zboża drogą naturalną, tj. drogą wytworzenia na naszym rynku jednego z ognisk handlu zbożowego, do czego położenie Warszawy, ze względu na zetknięcie się tu kilku linii kolejo

wych oraz rzeki spławnéj, bardzo się nadaje. Nie mamy budynków dla bydła i dla tego handlarze przywożą tylko tyle sztuk na targ, ile ich na natychmiastową rzeź potrzeba. Dosyć byłoby chwilowéj przerwy w ruchu na kolejach Terespolskiéj i Nadwiślańskiéj, żeby miasto odrazu zostało bez mięsa. Nie mamy składów węgla, a zatém nie mamy i zapasów paliwa. Dość znów jakiego nieprzewidzianego wypadku — zamieci śnieżnéj, powodzi — i ztąd trudności komunikacyjnéj na drodze Wiedeńskiéj i Dąbrowskiéj, dość nareszcie nagłych mrozów, żeby ceny węgla w Warszawie nieproporcyonalnie podskoczyły a mizerne zapasy wprędce się wyczerpały. Podobnie jest i z jarzynami, z solą itp. Właściwie jednego tylko cukru mamy zasób wystarczający; ale to właśnie ten produkt alimentacyjny, bez którego jeszcze względnie najłatwiéj się obejść.

W ogóle więc alimentacya Warszawy na takiéj stoi stopie, że dość drobnéj nieprawidłowości w dostawach, żeby nas, przy najspokojniejszych czasach, w kilka dni, ogłodzić, zamrozić....

A cóż dopiero w tym wypadku, o którym wspominają „Birżewyja Wiedomosti“, tj. w wypadku oblężenia. Wypadku tego nie przewidujemy wprawdzie w czasie bliskim; może i w dalszym się nie zdarzy; ale skoro w około miasta wznoszą się fortyfikacye, to *eo ipso* wyradza się możność oblężenia, tak samo—jak dajmy na to—zbudowanie teatru, lub wogóle gmachu jakiegoś stwarza możliwość pożaru. A więc, jak w dobrze urządzonym teatrze powinny istnieć środki ratunkowe na wypadek pożaru, tak w ufortyfikowaném mieście, powinny istnieć urządzenia alimentacyjne na wypadek oblężenia. Żeby zaś jasno zrozumiéć jakich to olbrzymich zapasów potrzebuje miasto podczas oblężenia, zatrzymujemy się na kilku cyfrach, dotyczących alimentacyi Paryża w czasie oblężenia przez Prusaków w r. 1870/71. Cyfry te biorę z umieszczonego w czerwcowym zeszycie „Ateneum“ artykułu p. t. „Z czasów oblężenia Paryża“. Przy dwumilionowéj ludności (cztéry razy tylko od Warszawy więcéj) Paryż posiadał w dniu rozpoczęcia oblężenia następujące zapasy: 350,000 cetnarów metrycznych, czyli około półczwarta miliona pudów mąki, 150,000 centnarów metrycznych, czyli około półtora milijona pudów ryżu, sto tysięcy wołów, pięćkroć sto tysięcy baranów, sześć tysięcy wieprzy—z odpowiednią ilością paszy dla całego tego inwentarza, — sześćdziesiąt tysięcy racyi mięsa solonego, olbrzymi zapas kartofli i jarzyn, olbrzymie zapasy węgla, trzymiesięczną prowizyę soli, korzeni, kawy, séra, tłuszczów i sześciomiesięczny zapas win i spirytualiów. To były zapasy publiczne. Kto zaś zna Paryż z jego olbrzymiemi hallami, składami żywności, ten łatwo zrozumié, jakie tam jeszcze były, do obliczenia w swym ogromie trudne, zapasy prywatne. I oto, przy takich zapasach, we trzy

tygodnie po rozpoczęciu oblężenia już zaczynają paryżanie poznawać smak mięsa końskiego i oślego, na targu głównym *(Halles Centrales)* zaczynają się robić pustki, a ceny żywności podnoszą się nieproporcyonalnie. Po cztérech tygodniach mięso już jest wydawane drobnemi, niedostatecznemi do prawidłowego odżywiania racyami; w sześć tygodni kilogram masła solonego dochodzi do ceny 36 franków (funt około 9 rubli); we dwa miesiące już mięsa wołowego nie ma wcale, a powstają natomiast jatki z mięsem psiém i kociém; w dziesięć tygodni już są zabijane krowy, pozostawione dla mléka, niezbędnego dla dzieci i chorych; we trzy miesiące idą na rzeź zwierzęta z menażeryi i ogrodu zoologicznego, dekalitr kartofli dochodzi do ceny 20 franków t. j. garniec około 4 rubli, szczur się płaci 2 franki, wróbel 1 fr. 25 cent., kruk 5 fr.; we cztéry miesiące jest już racyonowany chléb, który się wypieka zresztą przeważnie z otrąb, z mączki kartoflanéj itp., a w 140 dni, tj. przed saméni poddaniem się Paryża nie zostaje już literalnie prawie w całém mieście do jedzenia nic. Znacznie przedtém, a mianowicie wkrótce po rozpoczęciu mrozów, zabrakło paliwa, tak że musiano wycinać lasek Buloński i zaprzestać oświetlania miasta gazem. Ruch kołowy ustał zupełnie, bo nie było już koni. Śmiertelność w czasie oblężenia wzrastała w miarę zmniejszania się zapasów i pod koniec w czwórnasób przewyższała śmiertelność normalną, pomimo że do zupełnego głodu jednak miasto nie doszło, bo do ostatniéj chwili, aczkolwiek skąpo, wydzielano żywność, a gdy jéj zupełnie już zbrakło, wówczas, po 143 dniach oblężenia, poddano się.

Przełóżmy te cyfry na nasze stosunki.

Ponieważ mamy 4 razy mniejszą niż w Paryżu w r. 1870 ludność, przy zapasach tedy publicznych i prywatnych 4 razy mniejszych tj. przy milijonie pudów mąki, czterukroć stu tysiącach ryżu, lub kaszy, 25 tysiącach wołów, 125 tysiącach baranów itd. itd. mielibyśmy rezultat taki sam, jak w Paryżu tj. moglibyśmy pierwsze trzy tygodnie po przecięciu komunikacyi żywić się normalnie, a potém, przymierając coraz bardziéj z głodu i chłodu (z chłodu bardziéj niż w Paryżu, bo klimat mamy ostrzejszy), znaleźć się w miesiącu czwartym u progów śmierci.

Ponieważ jednak my nie tylko $^1/_4$, ale nawet $^1/_{40}$, nawet $^1/_{400}$ massy podanych wyżéj przedmiotów żywnościowych nie mamy,—ponieważ nie mamy, po za potrzebą chwili bieżącéj, żadnych, ale to literalnie żadnych zapasów, więc ostateczna nędza, głód i śmierć czekałyby nas już po 2-ch, 3-ch dniach.

Czyż więc kwestya alimentacyi Warszawy nie jest kwestyą palącą?

*

W środę, dnia 27-go czerwca grono osób zaproszonych przez zarząd osad rolnych zwiedzało zakład poprawczy dla nieletnich w Studzieńcu. Ponieważ podobnéj wizyty publicznéj Studzieniec nie miał już od lat cztérech, a w niedawnym czasie pisma nasze rozbrzmiéwały echami zarzutów, czynionych zarządowi w namiętnym tonie przez byłych urzędników zakładu, przeto ciekaw byłem poznać wrażenia tych, którzy w r. b. zwiedzili osadę Studzieniecką i zaraz na drugi dzień po wizycie odwiedziłem jednego z uczestników wycieczki, na którego umiejętność obserwacyi i sumienność liczyłem. Niniejsza wzmianka będzie właściwie powtórzeniem prawie dosłownem naszéj rozmowy. Muszę tylko ostrzedz czytelników, że mój znajomy ma usposobienie nieco kostyczne i że rozmawiając ze mną, nie przypuszczał, iż opowiadanie jego żywcem nieomal do druku podane będzie. Przepraszam téż najmocniéj mego interlokutora za małą niedyskrecyę, jaką względem niego popełniam, a liczę na łaskawe przebaczenie w imię założonego przezemnie celu, to jest dobra instytucyi.

Przystępuję do powtórzenia rozmowy.

— Jakże się wydał Studzieniec?

— Studzieniec?! A no ładnie zabudowany.... Cegła w murach bardzo porządna, dobrze wypalona....

— I więcéj pan żadnych wrażeń nie wyniósł ze Studzieńca?

— Prawie żadnych, przynajmniéj żadnych stanowczych.

— Jakto? — pytam zdumiony — a wrażenia wyniesione z rozmowy z wychowańcami?

— Z wychowańcami wcale nie rozmawiałem.

— Przepraszam, ale ja chyba niedobrze zrozumiałem pańską odpowiedź. Przecież zdaje mi się, że pan jeździł do Studzieńca dla zbadania stanu wychowańców, ale nie stanu murów. Więc rozmowa z wychowańcami....

— Zapewne; ale nam z nimi zabroniono rozmawiać. Przewodniczący zarządu osad rolnych w *speech*'u, jaki miał na wstępie do zaproszonych gości, oznajmił najwyraźniéj, że wolno nam patrzyć, słuchać, ale rozmawiać z pupilami studzienieckimi wara.

— Pan dobrodziéj raczy żartować, a ja pytam poważnie....

— Ależ jak najpoważniéj zapewniam, że nam kategorycznie zabroniono rozmawiać z wychowańcami zakładu.

— I dla czego?

— Alboż ja wiem. Dotychczas łamię sobie głowę i zrozumiéć nie mogę. Może obawiano się, że zgorszymy tych maluczkich.

— To przypuszczenie jest niemożliwe. Przecież to nie hałastra jakaś, nie wpraszający się wreszcie, nieznani zarządowi lu-

dzie, ale zaproszeni, wybrani, tacy, któych bytność zarząd uznał za pożyteczną, pożądaną dla zakładu. Trzeba szukać innego objaśnienia.

— Ja żadnego znaleść nie umiem. Wiem tylko, że gdym posłyszał w jaki sposób ten regulamin dla przybyłych gości jest ułożony, zdało mi się, że odczytuję na nowo tak dosadnie skreśloną przez Dickensa wizytę pensyi wzorowéj, albo ów rozdział z „Nababa“, gdzie Daudet opowiada, jak doktór Jenkins przedstawia w odświętnéj szacie dygnitarzom paryskim swój zakład „Betleemski.“

— Chcesz pan powiedzieć, że w Studzieńcu istnieją rzeczy, których zarząd się wstydzi i pragnie je ukryć przed okiem publiczności?

— Tego powiedzieć nie chcę; ale mniemam, że zakaz rozmowy z wychowańcami daje złe pozory, a w każdym razie pozbawia zwiedzających jednego z ważnych środków zbadania stanu rzeczy.

— I nikt z gości nie rozmawiał z chłopakami.

— Owszem byli podobno tacy, którzy, wbrew zakazowi, krótką rozmowę przeprowadzić zdołali, dozorcy jednak natychmiast rozpędzili rozmawiających uczniów.

— I cóż te dzieciaki mówiły?

— Skarżyły się na złe jadło i na surowe obchodzenie się....

— Czy miały słuszność?

— Alboż ja wiem. Krótka, dorywcza i nagle przerwana rozmowa nie pozwala dojść do przekonania, czy dzieci mówią prawdę, czy kłamią. Może być, że to skarga zwykła w zakładach wychowawczych, a niczém w istocie nieusprawiedliwiona.

— A z tego, co panom pokazywano i czego pozwalano słuchać, jakie pan wyniósł wrażenia?

— Wychowańcy ulokowani są dobrze, odziani wcale przyzwoicie, — ogromny procent chorych na oczy; wyraz twarzy mają charakterystycznie przypominający żydków, uczących się w chederach....

— Jak pan określa ten wyraz?

— Wyraz osłupiałości i apatyi, sińce pod oczami—ślady pewnego, zgubnego nałogu....

— Wspomniał pan o chorych na oczy. Czy zakład Studzieniecki ma lekarza?

— Miejscowego nie ma; a więc to już nie domysł, lecz pewnik, że obsługa lekarska urządzona jest w Studzieńcu wadliwie. Lekarz stały w takim zakładzie, to osobistość potrzebniejsza jeszcze od dyrektora, od księdza i od nauczycieli. Gdyby był w Studzieńcu stały lekarz, dobrze wynagrodzony i gorliwie o hygienie wychowańców myślący, toby dziatwa inaczéj wyglądała. Studzieniec wzorował

się podług kolonii rolniczéj w Mettray pod Tours, daleko mu jednak do pierwowzoru pod wielu bardzo względami, co się zaś tyczy urządzeń sanitarnych, nie może być żadnego porównania między tymi dwoma zakładami. W Mettray istnieje zakład hydropatyczny dla wychowańców, co w Studzieńcu, pozbawionym wody bieżącéj, a więc i kąpieli, podwójnie byłoby potrzebném; podobne zakłady, jak np. szczepienia ospy— w Mettray są to takie ideały, których Studzieniec nawet w zaczątkach nie posiada.

— Jakże się panu wydali przełożeni kolonii?

— Dyrektor ma siwą brodę i niebieskie okulary.

— Znowu pan żartuje.

— Bo cóż ja mogę powiedzieć o człowieku, którego widziałem kilka godzin, jako aktora pewnego, ułożonego z góry ceremoniału. Zauważyłem tylko, że się go wychowańcy widocznie boją. Przy zbliżeniu dyrektora usuwają się i zbijają trwożliwie w kupki, odpowiadając mu zaś, zapominają języka w gębie. Co do nauczycieli, czyli tak zwanych przełożonych z prawem nauczania, wykłady ich wydały mi się na ogół wcale zadawalniające. Egzaminowanie uczniów przez nauczycieli dawało również zadawalniające rezultaty. Szkoda znów tylko, że publiczności nie pozwolono zadawać pytań, co do których nie byłoby już żadnéj wątpliwości, że uczniowie o treści ich uprzedzeni nie byli. Zastrzegam się znowu, że wcale nie podejrzéwam, aby słyszane przez nas pytania i odpowiedzi były zawczasu ułożone, ale chodzi mi raz jeszcze o usunięcie wszelkich pozorów, a tych właśnie dałoby się tak łatwo uniknąć, gdyby nie niefortunny zakaz, przez pana przewodniczącego zarządu na wstępie wygłoszony. Co do dozorców wreszcie, ci wyglądają rozmaicie, ale wszyscy noszą pręty.

— Prawdopodobnie laski?

— Nie, giętkie, zdaje się brzozowe pręty.

— I na cóż to?

— Na co, nie wiem, ale wiem, że to fatalnie wygląda.

— Czy w Studzieńcu istnieje kara cielesna.

— Istnieje.

— Czy jest konieczna?

— Wchodzimy na tor kwestyi zasadniczych, o których zbyt wiele byłoby do powiedzenia. Podług mnie wcale nie konieczna. W koloniach poprawczych francuskich nie ma kary cielesnéj a rzeczy idą niezgorzéj,—lepiéj niż u nas! W kilku zakładach rosyjskich także nie ma kary cielesnéj, nie ma jéj wogóle w większości podobnych zakładów w Europie, a więc mniemam, że i u nas mogłaby, a nawet powinnaby być usuniętą. Ale nawet z punktu widze-

nia tych, którzy z uwagi na konieczność większego rygoru w koloniach poprawczych, niż w zwykłych, wychowawczych zakładach, są za utrzymaniem kary cielesnéj dla małoletnich przestępców, kara cielesna, tak jak ją wykonywują w Studzieńcu, jest nonsensem. Nie dowierzając dyrektorowi i chcąc go kontrolować, zarząd osad rolnych w Warszawie każe sobie przedstawiać na zatwierdzenie każdą decyzyę co do kary cielesnéj. Tym sposobem znika jedno, prawie jedyne usprawiedliwienie téj kary—doraźność działania, bezpośredniość jéj po przewinieniu, a stąd silny wpływ na ukaranego. Przy praktykowanym w Studzieńcu systemacie, upływa tydzień, dziesięć dni, albo i dwa tygodnie czasu między winą a karą. I pytam się, jak ma sobie postępować dyrektor miejscowy z ogłoszeniem swojéj decyzyi, tj. kiedy ma ją ogłaszać. Zaraz po zdecydowaniu przez siebie, że kara konieczna, ogłosić swéj decyzyi winnemu i całemu zakładowi nie może, bo nie wiadomo czy zarząd decyzyę tę zatwierdzi, ogłaszanie zaś takich decyzyi, których potém wykonać dyrektorowi zarząd nie pozwoli, zmniejszałoby powagę dyrektora w obec całego zakładu. Musi więc dyrektor czekać parę tygodni, milcząc, i dopiero potém, kiedy dzieciak już zapomniał o swéj winie, nagle przystępować do egzekucyi.

— Cóż się panu najwięcéj podobało w Studzieńcu?

— Panna Jadwiga Czaki.

— Ciągle pan żartuje. Ale zkądże się wzięła w Studzieńcu panna Czaki? Przecież na poprawę jéj tam nie wysłali? No a do zbadania czy instytucya funkcyonuje prawidłowo, nie wiem, czy stanowisko „naiwnéj“ daje dostateczne kwalifikacye.

— Dla czego i po co panna Czaki była zaproszona do Studzieńca przez zarząd osad rolnych, nie wiem. Ale skoro ją zaproszono, to miała wszelkie prawo zaproszenie przyjąć. A raz przyjechawszy do Studzieńca, zrobiła w bardzo miły sposób tyle dobrego, ile zrobić mogła, a mianowicie rozweselała nas podczas obiadu, łagodziła dyssonanse między obrażonymi o brak dostatecznych względów reporterami a notablami zgromadzenia i w końcu zebrała wśród gości składkę na wychowańców Studzienieckich, przy czém dokazała istnego cudu, bo potrafiła skłonić przysięgłego wroga zwierzchności Studzienieckiéj, ex-dyrektora tego zakładu p. Ryszarda Puciatę (który przybył do Studzieńca w charakterze korespondenta „Głosu“), że przy zbieraniu składki, mającéj iść do rąk nienawistnego sobie zarządu, oprowadzał pannę Jadwigę pod rękę i sam ofiarę złożył. Chociaż więc twierdzenie moje może się wydać panu żartem, powtarzam raz jeszcze, że panna Czaki wypełniła w Studzieńcu swą rolę wybornie.

Być może zresztą, że inni zrobili dla kolonii o wiele więcéj i lepiéj, ale myśmy tego sprawdzić nie mogli. Tyle więc tylko jeszcze z wrażeń przelotnych zakomunikować panu mogę, że prezes komitetu Tow. osad rolnych p. Ludwik Górski i kurator osady Studzienieckiéj p. Jan Górski robią wrażenie, iż są szczerze zainteresowani sprawami Studzieńca i że bardzo mile są widziani przez małoletnich wychowańców; że przewodniczący w zarządzie osad rolnych profesor Miklaszewski umié wybornie, jakby *ex cathedra* wyłożyć szkic urządzeń Studzienieckich, a tak jest przejęty swą rolą przewodnika zakładu wychowawczo-poprawczego, iż po trochu i gości jak rekrutów musztruje (jeszcze raz wracam do przykładu zabronienia rozmowy z wychowańcami i cytuję stawione chcącemu wnieść przy obiedzie toast reporterowi, p. Skrzyneckiemu żądanie, żeby najprzód opowiedział treść projektowanego toastu i otrzymał aprobatę zarządu); że ksiądz Ciemniewski, wykładający religię, jest widocznie uosobieniem dobroci i o ile z przelotnego wrażenia sądzić można—jest przez uczniów kochany; że majstrowie w warsztatach, jak mi się zdaje, fach swój znają; że okazy wyrobów Studzienieckich są wcale przyzwoite i że roboty rolne w Studzieńcu oglądaliśmy z odległości około pół wiorstowéj.

Otóż i wszystko, co mogę opowiedziéć o Studzieńcu.

— A cyfry statystyczne, szczegóły?

— Mogę panu ofiarować rozdawany nam w drodze przez prof. Miklaszewskiego półarkusik z rodzajem raportu o stanie osady Studzienieckiéj.

W taki to sposób zdobyłem opowiadanie ustne i egzemplarz sprawozdania piśmiennego o Studzieńcu. Rozmowę przytoczyłem, treść zaś sprawozdania piśmiennego jest następująca.

Towarzystwo Osad Rolnych. — Studzieniec.

Towarzystwo Osad Rolnych powstało w r. 1872 (1).

Prezesem komitetu jest Ludwik *Górski*, vice-prezesem Edward *Stummer*. Komitet składa się z 30 członków. Przewodniczącym w zarządzie profesor Walenty *Miklaszewski*. W zarządzie zasiada 8 członków. Kuratorem osady jest Jan *Górski* z Woli Pękoszewskiéj. Towarzystwo w d. 1 stycznia r. b. składało się z 68 członków stałych honorowych (którzy złożyli jednorazowo przynajmniéj 100 rs.) i 1886 członków honorowych, (płacących rocznie po rs. 6). Główne źródła dochodu: *a*) składki członków Towarzystwa. Zaległość z tego tytułu wynosi od członków warszawskich rs. 10676, od prowincyonalnych 34579 rs.—ogółem rs. 45255. Umorzono w roku 1887 zaległości 1542 rs., *b*) ofiary w gotowiźnie i w naturze, *c*) dochód z odczytów, widowisk itd., *d*) procenta od kapitałów, *e*) z gospodarstwa rolnego, ogrodu i warsztatów, *f*) zasiłek z kasy m. Warszawy i opłaty od rządu za żywność i ubranie wychowańców. Za żywność w r.

(1) Osada Studzieniecka istnieje od r. 1876.

1888 rząd płaci po 7,96 kop., a za obówie $^2/_5$ kop. dziennie za wychowańca. W r. 1887 wydatki przewyższyły dochody w tym roku osiągnięte o rs. 1626 kop. 33½.

W osadzie Studzienieckiéj: Dyrektor Ksawery *Nalepiński*, pomocnik Dyrektora *Ostrowski*, kapelan ks. Marceli *Ciemniewski*, starszy przełożony oddziału Andrzéj Kołodziejski. Przełożonych z prawem nauczania 4; dozorców bez prawa nauczania 5; ogrodnik, ekonom, 5 nauczycieli rzemiósł, lekarz (przyjezdny), felczer, sekretarz-buchhalter, magazynier i niższéj służby 8. Pomieszczenie urządzone dla 162. W ubiegłym roku przecięciowo było 148 wychowańców, d. 27 Czerwca było 144, podzielonych na IX oddziałów czyli rodzin. Od 1 Stycznia r. b. przyjęto 29; uwolniono warunkowo 11, po upływie terminu wyrokiem zakreślonego 24; miejsc wakujących 16. Pozostający w osadzie skazani byli: przez sądy okręgowe 4, zjazdy 9, sędziów pokoju 50, sądy gminne 81. Na lat 2—18, od 2—3, 58; od 3—4, 37; od 4—5, 14; od 5—6, 14; od 6—7, 3. Mających rodziców 64, tylko ojca 36, tylko matkę 19, sierot 14, nieprawego łoża i podrzutków 11. Wyznania rzymsko-katolickiego 129, prawosławnego 3, ewangelick. 3, mojżeszow. 9. Przed przybyciem do osady zajmowało się: rzemiosłem 18, wyrobkiem w mieście 15, na wsi 3, posługą u rodziców 50, u obcych 42, żebraniną 1, włóczęgą i kradzieżą 15.

Z pośród przybywających do osady 12 umiało czytać i pisać po rosyjs. i po pols., 20 tylko po polsku, 9 znało litery, 103 nic nie umiało.

Dnia 27 Czerwca znajdujący się w osadzie wychowańcy dzielili się: pod względem sprawowania się w kl. I—29, II—48, III—43, IV—22; warunkowo uwolnionych 2; co do nauki: biegle czytających, piszących i umiejących cztery działania arytmetyczne 29, uczących się czytać, pisać i rachować 90, zaczynających się uczyć 25; co do wieku: od 11—12 — 7, 12—13 — 11, 13—14 — 14, 14—15 — 21, 15—16 — 29, 16—17 — 41, 17—18 — 21; co do zajęcia: stolarzy, tokarzy i rzeźbiarzy 23, kołodziei i bednarzy 17, kowali i ślusarzy 16, krawców 11, szewców 12, ogrodników 21, rolników 44.

Dochodu z warsztatów w r. z. osiągnięto brutto 5760 rs. 44 k. Gospodarstwo rolne na 50 morgach przyniosło w r. z. dochodu brutto 2517 rs. 6 kop.; w r. b. będzie wprowadzony płodozmian na 60 morgach 9 polowy, oraz zaprowadzone będzie urządzenie leśne.

W r. b. uwolniono wychowańców 30 i dla wszystkich wynaleziono pomieszczenia, a mianowicie: u stolarzy 3, kowali 1, szewców 2, krawców 4, ogrodników 4, do gospodarstwa wiejskiego 10, zwrócono rodzicom 6.

Od otwarcia osady uwolniono: warunkowo 25, po odbyciu terminu 339, wydalono 11, zmarło 26. Z pośród nich oddano rodzicom 95, umieszczono na naukę: u stolarzy 37, kołodziei 22, kowali 16, krawców 11, szewców 15, tokarzy 3, piekarzy 7, cieśli 1, pszczelnictwa 1, felczera 2, seminaryum nauczycielskiego 1, do ogrodu 20, do gospodarstwa rolnego 108. Z oddanych na naukę rzemiósł wyzwolono na czeladników różnych rzemiósł 65, posiada własne warsztaty 13, żonatych 15, nadto 1 nauczyciel elementarny. Pod opieką Towarzystwa pozostaje 151.

(—X—)

KONKURSY.

I.

W redakcyi tygodnika „Głos“ złożono kwit Banku Handlowego na rs. 200 wystawiony na imię p. J. Karłowicza, z następującém zawiadomieniem:

„Ogłasza się konkurs na powiastkę dla ludu historyczną, lub obyczajową, z kierunkiem obywatelsko-społecznym. W obu razach akcya odbywać się winna w sferze naszego ludu wiejskiego i z głównym jego udziałem. Rzecz ma być oryginalna, nigdzie niedrukowana, napisana zajmująco, językiem prostym, zrozumiałym dla ludu, ale literackim. Objętość 3—4 arkuszy druku w 16-ce. Za 2 powiastki, uznane przez sąd konkursowy za bezwzględnie dobre i odpowiadające warunkom konkursu, przeznacza się z rs. 200 — dwie nagrody: po 100 rs., przy równéj wartości powiastek, lub jedna 120 rs., druga 80—przy wartości ich nierównéj; poczém, bez osobnego wynagrodzenia, zostaną one jednorazowo wydane w Warszawie.

Sąd konkursowy składają: pp. M. Brzeziński, A. Dygasiński, J. K. Gregorowicz, J. Karłowicz, T. Korzon, S. Norblin, K. Prószyński, A. Pułaski, J. Sawicka (Ostoja), A. Zakrzewski i J. L. Popławski, jako delegat redakcyi „Głosu.“

Termin konkursu upływa z dniem 1-ym stycznia 1889 r. Rękopisy wraz z zapieczętowanemi kopertami, zawierającemi wewnątrz nazwisko i adres autora, nadsyłać należy do Redakcyi „Głosu.“—Na kopertach i rękopisach winny być umieszczone jednakowe godła. Uprasza się pisma polskie o powtórzenie tego zawiadomienia“

II.

Konkurs Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu imienia J. U. Niemcewicza (ogłoszony na posiedzeniu publiczném dnia 3 maja 1888 r.).

Na konkurs kończącego się z dniem dzisiejszym dwulecia, ogłoszone było zadanie następujące:

„Opracowanie monograficzne (oparte na wyczerpującém zużytkowaniu wydanych dotychczas materyałów), dowolnie obranego przedmiotu z zakresu historyi stosunku politycznego między Litwą a Polską od r. 1386 do 1569.“

We właściwym terminie żadna praca z odpowiedzią na wystawione przez nas zadanie złożoną nie została. Wszakże, zważywszy

doniosłość zadania, oraz niezwykły interes naukowy, przywiązany do wyjaśnienia stosunków pomiędzy Polską a Litwą w obrębie czasu od roku 1386 do 1569, rada Towarzystwa historyczno-literackiego wystawia ponownie na konkurs dwulecia następującego (1888—1890) zadanie na wstępie wymienione. Żądana praca, w języku polskim ma obejmować nie mniéj 15 arkuszy druku. Autor najlepszéj rozprawy otrzyma nagrody 3,600 franków; nagroda ta jednak w danym razie będzie mogła być rozdzieloną na dwie części, i wtenczas najlepsza praca otrzyma fr. 2,000, następująca po niéj fr. 1,000. Kto sobie życzy brać udział w tym konkursie, zechce przysłać swą pracę w rękopisie pod adresem sekretarza generalnego Akademii umiejętności w Krakowie, albo sekretarza Towarzystwa historyczno-literackiego (Paryż, 6, quai d'Orléans). Rękopis powinien być przysłany bezimiennie i opatrzony godłem wybraném przez autora, a toż samo godło ma się znajdować na liście zapieczętowanym, dołączonym do rękopisu i zawierającym nazwisko autora. Terminem ostatecznym dla złożenia rękopisów jest dzień 15-go lutego 1890. Na posiedzeniu publiczném dnia 3-go maja 1890 r., rada odpieczętuje list noszący godło pracy, któréj została przyznana nagroda, i ogłosi imię jéj autora. Inne listy zostaną spalone. Gdyby do wymienionego terminu nie była przysłana żadna praca, któraby w myśl obecnego konkursu zasługiwała na nagrodę, w takim razie suma 3,600 franków użytą zostanie na nagrodzenie historycznego dzieła z ostatnich dwóch lat, lub cel inny do poparcia badań i prac nad dziejami polskiemi służący.

W imieniu rady Towarzystwa — sekretarz: *L Gadon.*

III.

Rada administracyjna szkoły polskiéj w Paryżu na Batignolles, a zarazem fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego im. Śniadeckich, zawiadomiła Akademią umiejętności, iż na rok bieżący 1888/9 ma fundusz na stypendyum dodatkowe w kwocie 2000 franków.

Stypendyum to, które nie jest stałem, ani jako takie warunkami fundacyi objętém, nadawane bywało zawsze kandydatom poświęcającym się naukom humanistycznym. Rada administracyjna wyraża życzenie, iżby w tym roku nadaném było Docentowi oddającemu się studyom literatury ojczystéj przy jednym z uniwersytetów krajowych.

Do tego życzenia stosując się, wzywa miejscowy komitet fundacyi ś. p. Gałęzowskiego wszystkich, którzyby o rzeczone stypendyum ubiegać się mieli chęć i prawo, iżby podania swoje wnieśli do dnia 10 lipca 1888 r.

Do podania ma być dołączony dowód, że kandydat jest docentem literatury polskiéj, wykaz jego wykładów i liczby uczniów, oraz program studyów, jakie w téj naukowéj podróży przedsiębrać zamierza. W Krakowie dnia 4 czerwca 1888 r.

St. Tarnowski, sekr. jener. Akad. um.

NEKROLOGIA.

† **Józef Sapalski** urodzony r. 1821 w Daszowie, powiecie lipowieckim na Ukrainie, oddawał się gorliwie badaniom przyrodniczym, mianowicie geologicznym i paleontologicznym. Od r. 1841 do 1850 był spółpracownikiem „Przeglądu naukowego“ i „Biblioteki warszawskiéj.“ Osobno ogłosił: „O kometach i teoryi biegu ciał“ (Warsz. 1843), „O trzęsieniu ziemi podług Huga“ (Warsz. 1850), „Pogląd na historyą naturalną gubernii radomskiéj“ (Kielce, 1862), „Badania o jestestwach organicznych na kuli ziemskiéj“ (Kraków, 1872). Umarł 31 maja r. b. w Miechowie.

† **Leon Zaleski** urodzony r. 1841 w Chlewiszczach (pow. bialskim, gub. grodzieńskiéj) nauki szkolne odbył w Lublinie, a uniwersyteckie na wydziale matematycznym w Petersburgu rozpoczął, lecz dla klimatu dokończyć nie mógł. W r. 1860 wyjechał do Paryża i kształcił się tam w szkole centralnéj. Ożeniwszy się za powrotem, zajął się gospodarstwem w Serocku, w lubelskiém, dbając o dobrobyt i oświatę ludu. Pisywał wiersze i korespondencye do czasopism warszawskich pod pseudonimem Bolesława z Ustronia. Utraciwszy wzrok, osiadł w Lublinie i założył w roku 1875 „Gazetę lubelską“, zapełniając nieraz całe jéj numery własnymi utworami. W r. 1878 połączył się z nią dawniéj już istniejący „Kuryer lubelski.“ Odtąd jeszcze przez lat 6 kierował Z. swém wydawnictwem, aż wreszcie dotkliwe ciosy: śmierć żony, utopienie się dwu synów, podkopały jego siły fizyczne; usunął się od pracy dziennikarskiéj i w ciężkiéj chorobie przebył ostatnie lata. Zmarł 30 maja r. b. w Woli Skromowskiéj, pow. lubartowskim.

† **Albert Gąsiorowski,** były spółredaktor „Dziennika literackiego“ we Lwowie, autor dwu dziełek biograficzno-krytycznych: „A. Mickiewicz do wyjazdu z Petersburga“ (Krak. 1872) i „A. Mickiewicz od wyjazdu z Petersburga i Pan Tadeusz“ (Wadowice 1874), profesor gimnazyum w Wadowicach, zmarł tamże 11 czerwca r. b. w wieku lat 40 kilku. Pisywał on nowelle i obrazki pod pseudonimem *Tristis*. „Ateneum“ pomieściło w zeszycie czerwcowym jednę z nich.

† **Adam Goltz** urodził się w Sieniawie 12 października 1817 r. z ojca, lekarza Czartoryskich; nauki szkolne odbył w Warszawie na Lesznie, skąd r. 1832 przeszedł do liceum. W 1836 wyjechał za granicę, bawiąc czas dłuższy w Niemczech i Francyi. Za powrotem osiadł na Podlasiu, a gdy powstało Towarzystwo rolnicze, został jednym z najczynniejszych jego członków, pisując do Roczników gospodarstwa krajowego o oczynszowaniu włościan, przemyśle wiejskim, oraz wielu kwestyach rolniczych. W r. 1860 przeniósł się do Warszawy i zajął się sprawą ochronek, co go poprowadziło do studyów nad nauczaniem elementarném, o którém w „Bibliotece Warszawskiéj" obszerną ogłosił rozprawę. We wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach, dobro ogółu mających na celu, czynny zawsze brał udział i zabierał głos w kwestyach bieżących, to w osobnych broszurach („Reforma w wychowaniu kobiet"), to w dziennikach („Wiek", „Echo"). Gdy stronnictwo zachowawcze zaczęło się grupować około „Niwy", a następnie „Słowa", należał do tych, co słowem i pismem przyczyniali się do zamienienia projektów w czyn. Odznaczał się zawsze umiarkowaniem. Ostatnia jego praca publicystyczna poświęcona była kwestyi silnie go zajmującéj; są to „Listy o konserwatyzmie", wydane przed miesiącem jako odbitka ze „Słowa." Zmarł w Warszawie 21 czerwca r. b.

SPROSTOWANIE.

W pierwszéj części art „Wola zbiorowa" wkradła się pomyłka, mogąca wywołać nieporozumienie. W zeszycie Czerwcowym na str. 513 w wierszu 6-tym od dołu zamiast: „I nie ma zasadniczego p r a w d o p o d o b i e ń s t w a w przypuszczeniu", powinno być: „I nie ma zasadniczego n i e p r a w d o p o d o b i e ń s t w a w przypuszczeniu, że na wyższych szczeblach rozwoju etyka może obejść się bez podpory religijnéj."

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄZKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu drugiego kwartału 1888 r.

---

1. **Encyklopedya techniczna.** Podręcznik praktyczny technologii chemicznej w zastosowaniu do przemysłu, opracowana podług najnowszych źródeł pod redakcyą *D-ra Joachima Wiernika.* Z 200 drzeworyt. Warsz. 1888, 8-o, zeszyt 4 (str. 241—320).
2. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona przez *Maryana Dubieckiego.* Zeszyt V (od str. 321 do 400). Warsz. nakł. Maur. Orgelbranda 1888, 8-o.
3. **Janek.** Przez *Wincentego Kosiakiewicza.* Warsz. skład u Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, str. 332.
4. **Hieronim Łaski.** Przez *Aleksandra Hirschberga.* Lwów, nakł. księg. Seyfartha i Czajkowskiego, 1888, 8-o, str. 328.
5. **Zasady filozofii i moralności buddyjskiej**, według kanonu szkoły południowej, zebrane przez Henry S. Olcott'a, prezesa towarzystwa teozoficznego, praca zatwierdzona przez H. Sumangala Arcykapłana.... Przełożył na język polski *W. Z.* Przekład z 14-go wydania. Warsz. druk Zawiszewskiego, 1888, 8-o, str. 59.
6. *Antoni Kudasiewicz.* **Nowelle i arabeski.** Warsz. 1888, 8-o, str. 151.
7. **Zdroje siarczane w Lubieniu.** Sprawozdanie z sezonu kąpielowego w roku 1887. Napisał *D-r C. Sztembarth.* Lwów, 1888. 8-o str. 24.
8. **Praktyka w sprawach małżeńskich** w sądach duchownych dyjecezyi krakowskiej w wieku XV. Zebrał i wydał *Bolesław Ulanowski.* Krak. 1888, 4-o, str. 110.
9. **„Modus inquirendi** super statu ecclesiae generalis“ z pierwszej połowy XV stulecia podał i objaśnił *Bolesław Ulanowski.* Krak. 1888, 4-o, str. 24.
10. **Polacy w Bazylei** w XVI wieku. Z metryk uniwersytetu bazylejskiego wydał *D-r Józef Kallenbach.* Krak. 1888 8-o, str. 11.
11. **Zarys Gieografii powszechnej** (rozumowej). Napisał *Wacław Nałkowski* (z 41 drzeworytami w tekście). Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. 598+II.
12. **Starzy i nowi.** Szkic powieściowy z niedalekiej przeszłości Przez *Es-em-era.* Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1888, 8-o, str. 238.
13. **Zupełny kurs języka światowego** „Volapük“ opracował *S. Kornmann.* Wyd. drugie. Lwów, nakł. księg. J. Leona Pordesa, 1888, małe 8-o, str. 92+III.
14. **Mechanika** przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera. Warsz. nakład Drukarni Zawiszewskiego, 1888, 8-o. Zeszyt 10 tomu I-go od str. 433 do 480; zeszyt 11 od str. 481 do 534.
15. **Wojny Bolesława Chrobrego** z Henrykiem II. Pod względem geograficznym. 1002—1018. Opracował *Edmund Callier.* Poznań. 1888, 8-o, str. 48.
16. **Sprawozdanie z posiedzeń Komisyi historyi sztuki** za czas od 1 Stycznia do 31 marca 1888. Zestawienie przez sekretarza Komisyi D-ra *Stanisława Tomkowicza.* Kraków, 1888. 4-to, str. 14 (z rysunkami w tekście).
17. **Sprawozdanie z kolonii letnich** dla biednych słabowitych dzieci, urządzonych w r. 1887, napisał D-r *Gustaw Fritsche.* Warsz. 1888, w 16-e, str. 20.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Іюня 1888 г.